

**Agata Christie**

Niemy świadek

Tłumaczyły Beata Hrycak Anna Rojkowska

Tytuł oryginału Dumb Witness

# Rozdział pierwszy

## Pani z Littlegreen House

Panna Arundell zmarła pierwszego maja. Chociaż chorowała krótko, jej śmierć nie wywarła większego wrażenia na małym miasteczku Market Basing, gdzie mieszkała od szesnastego roku życia. Emilia Arundell, ostatnia z pięciorga rodzeństwa, miała bowiem dobrze po siedemdziesiątce i już od wielu lat była znana ze słabego zdrowia, a jakieś półtora roku wcześniej o mały włos nie umarła na atak podobny do tego, który ostatecznie ją zabił.

I choć sama śmierć panny Arundell nie zaskoczyła nikogo, mieszkańców zdumiało co innego. Treść jej testamentu wzbudziła mieszane uczucia: zdziwienie, przyjemne podniecenie, głębokie potępienie, wściekłość, rozpacz, złość i powszechne plotki. Całymi tygodniami, a nawet miesiącami w Market Basing nie mówiło się o niczym innym! Każdy wtrącał swoje trzy grosze, począwszy od pana Jonesa ze sklepu spożywczego, który twierdził, że krew nie woda, a skończywszy na pani Lamphrey z poczty, która powtarzała do znudzenia: „Coś się za tym kryje, dam sobie głowę uciąć! Wspomnicie moje słowa”.

Spekulacjom dodawał pikanterii fakt, iż testament został sporządzony dopiero dwudziestego pierwszego kwietnia. Jeśli dorzucić do tego jeszcze jedną okoliczność, a mianowicie wizytę bliskich krewnych Emilii Arundell w jej domu w Poniedziałek Wielkanocny, tuż przed wspomnianą datą, łatwo zrozumieć, że mogły być wysuwane nawet najbardziej gorszące teorie, przyjemnie urozmaicające monotonię codziennego życia w Market Basing.

Sprytnie podejrzewano, iż pewna osoba wie więcej niż jest skłonna przyznać. Była to Wilhelmina Lawson, towarzyszka panny Arundell. Tymczasem panna Lawson utrzymywała, że wiadomo jej równie mało, co innym. Ponoć ona także oniemiała, gdy odczytano testament.

Oczywiście wiele osób nie dawało temu wiary. Czy panna Lawson rzeczywiście była tak nieświadoma, jak twierdziła, czy też rzecz przedstawiała się zgoła inaczej, prawdę znała tylko jedna osoba. Tą osobą był nikt inny jak sama zmarła. Zgodnie ze swym zwyczajem Emilia Arundell trzymała język za zębami. Nawet własnemu adwokatowi nie zdradziła motywów swojego posunięcia. Poprzestała na ujawnieniu swojej woli.

W owej powściągliwości można dopatrzeć się głównego rysu charakteru Emilii Arundell. Była ona pod każdym względem typową przedstawicielką swojej generacji. Dzieliła zarówno jej przymioty, jak i wady. Była autokratyczna i często wyniosła, a zarazem ogromnie życzliwa. Miała cięty język, za to jej uczynki były dyktowane dobrocią. Z pozoru sentymentalna, ale obdarzona przenikliwym umysłem. Miała wiele kobiet do towarzystwa, które bezlitośnie trzymała w ryzach, lecz traktowała z wielką szczodrobliwością. Cechowało ją głębokie poczucie rodzinnego obowiązku.

W Wielki Piątek Emilia Arundell przystanęła w holu Littlegreen House, wydając rozmaite polecenia pannie Lawson. Niegdyś Emilia była atrakcyjną dziewczyną, teraz zaś dobrze

zakonserwowaną, przystojną .starszą damą o prostych plecach i energicznym sposobie bycia.

Ledwie widoczna żółtawość cery stanowiła ostrzeżenie, iż nie wolno jej bezkarnie jadać tłustych potraw.

Panna Arundell mówiła właśnie:

— Powiedz, Minnie, gdzie ich wszystkich ulokowałaś?

— Pomyślałam sobie... mam nadzieje, że postąpiłam słusznie... doktora i panią Tanios w pokoju dębowym, Teresę w pokoju niebieskim, pana Karola w dawnym pokoju dzieciennym...

— Teresę można umieścić w pokoju dzieciennym, a Karol dostanie pokój niebieski — przerwała panna Arundell.

— Tak jest, przepraszam... wydawało mi się, że pokój dziecienny nie jest tak wygodny...

— Dla Teresy będzie w sam raz.

W czasach panny Arundell kobiety zajmowały miejsce drugoplanowe. W społeczeństwie prym wiedli mężczyźni.

— Jaka szkoda, że nie przyjadą kochane dzieciaczki — zamruczała sentymentalnie panna Lawson.

Uwielbiała dzieci, ale też zupełnie nie potrafiła sobie z nimi radzić.

— Czwórka gości wystarczy aż nadto — oświadczyła panna Arundell. — Zresztą Bella obrzydliwie rozpieszcza swoje dzieci. Ani myślą robić, co im się każe.

— Pani Tanios jest bardzo oddaną matką — odezwała się półgłosem Minnie Lawson.

— Bella to dobra kobieta — przytaknęła poważnie panna Arundell.

Panna Lawson westchnęła i rzekła:

— Czasem musi jej być bardzo ciężko — mieszkać na takim końcu świata jak Smyrna.

— Jak sobie posłała, tak się wyśpi — odparła Emilia Arundell.

Wypowiedziawszy to ucinające dyskusję wiktoriańskie porzekadło, poinformowała:

— Wybieram się do miasta w sprawie zamówień na weekend.

— Ależ panno Arundell, ja to zrobię...

— Nonsens. Wołg pójść sama. Rogersowi należy się ostre słowo. Szkopuł w tym, Minnie, że nie jesteś dostatecznie stanowcza. Bob! Bob! Odzież się podział len pies?

Oslrowłosy terier /biegł po schodach jak strzała. Zaczął krążyć wokół swej pani, poszczekując radośnie. Wyszli razem na krótką ścieżkę wiodącą do furtki. Panna Lawson stała na progu domu z głupawą miną, posyłając za nimi uśmiech. Za jej plecami rozległ się opryskliwy głos:

— Te poszewki nie pasują na poduszki.

— Co takiego? Ale ze mnie gapa.

Minnie Lawson ponownie rzuciła się w wir domowych zajęć.

Emilia Arundell w towarzystwie Boba sunęła dystyngowanie główną ulicą Market Basing. Pochód był to iście królewski. Gdy tylko przekraczała próg jakiegoś sklepu, właściciel natychmiast spieszył ją obsłużyć. Przecież to panna Arundell z Litllegreen House. „Jedna z naszych najstarszych klientek”. Należała do „starej szkoły. W dzisiejszych czasach niewiele pozostało takich jak ona”.

— Dzień dobry pani. Czym mogę służyć?... Nie dość kruchy? Ogromnie mi przykro. Comber wyglądał ładnie... Ależ oczywiście, panno Arundell. Skoro pani tak mówi, musi tak być... Nie, doprawdy, nawet przez myśl mi nie przeszło, by przesyłać pani Canterbury’ego... Tak, dopilnuje tego osobiście.

Bob i Spot, pies rzeźnika, wolno okrążały się nawzajem z najeżonymi grzbietami, cicho powarkując. Spot był opasłym psem nieokreślonej rasy. Wiedział, że nie wolno atakować czworonogów klientów, ale pozwalał sobie informować je za pomocą subtelnych sygnałów, jaką zrobiłby z nich miazgę, gdyby tylko dano mu wolną rękę.

Bob, pies z temperamentem, odplacił mu pięknym za nadobne.

— Bob! — krzyknęła ostro Emilia Arundell i udała się do kolejnego sklepu.

W warzywniaku doszło do spotkania „ciał niebieskich”. Pewna starsza dama o kulistych kształtach, odznaczająca się takim samym królewskim majestatem, jak panna Arundell, rzekła:

— Dzień dobry, Emilio.

— Dzień dobry. Karolino.

— Spodziewasz się wizyty kogoś ze swych młodych krewnych? — spytała Karolina Peabody.

— Tak, wszystkich. Teresy, Karola i Belli.

— Więc Bella przyjechała? Z mężem?

— Tak.

Za tą prostą monosylabą kryły się poglądy wspólne obu paniom.

Bella Biggs, siostrzenica Emilii Arundell, wyszła bowiem za Greka. A członkowie rodu

Amndellów, którzy bez wyjątku służyli koronie, z. Grekami się po prostu nie wiązali.

Starając się dyskretnie pokrzepić pannę Arundell na duchu (bo przecież o takich sprawach nie można było mówić otwarcie), panna Peabody rzekła:

— Mąż Belli ma głowę na karku. I jest przemiły w obejściu.

— Maniery ma czarujące — przyznała panna Arundell. Znalazłszy się na ulicy, panna Peabody spytała:

— A cóż to słyszałam o zaręczynach Teresy z młodym Donaldsonem?

Panna Arundell wzruszyła ramionami.

— W dzisiejszych czasach młodzi są tacy lekkomyślni. Obawiam się, że będzie to dość długie narzeczeństwo — jeżeli w ogóle coś z tego wyjdzie. On jest bez grosza.

— Teresa ma własne pieniądze — zauważyła panna Peabody.

— To niedopuszczalne, aby mężczyzna był na utrzymaniu żony — odparta sztywno Emilia Arundell.

Panna Peabody wydała z siebie głęboki, gardłowy chichot.

— Zdaje się, że dzisiejsi mężczyźni nie mają. nic przeciwko temu. Ja i ty, Emilio, mamy staroświeckie poglądy. Nie mogę tylko zrozumieć, co ta dziewczyna w nim widzi. Żeby spośród tylu miłych młodzieńców wybrać właśnie jego!

— Jest podobno zdolnym lekarzem.

— To pince-nez i ten oschły sposób mówienia! Za mojej młodości nazywano by go okropnym drętwusem!

Nastąpiła pauza, podczas której panna Peabody sięgnęła pamięcią w odległą przeszłość, przywołując obraz dziarskich młodzianów z bokobrodami... Rzekła z westchnieniem:

— Przyślij do mnie tego młokosa Karola, jeśli się zjawi.

— Oczywiście. Przekażę mu. Pożegnały się i rozstały.

Znały się od pięćdziesięciu z górą lat. Pannie Peabody nieobce były pewne godne politowania potknięcia w życiu generała Arundella, ojca Emilii. Wiedziała dokładnie, jakim wstrząsem dla sióstr było małżeństwo Tomasza Arundella. Doskonale orientowała się w kłopotach, jakich przysparzało młodsze pokolenie.

Niemniej na żaden z tych lematów nigdy nie zamieniły ze sobą nawet słowa. Obie stały na straży godności rodziny, jej solidarności i wyznawały zasadę zachowywania całkowitej dyskrecji w

kwestiach rodzinnych.

Panna Arundell skierowała kroki ku domowi. Bob spokojnie biegł przy nodze. Emilia Arundell przyznawała się przed sobą do czegoś, czego nigdy nie wyjawiałaby żadnemu innemu człowiekowi — do rozczarowania młodszymi potomkami własnej rodziny.

Na przykład Teresa. Od kiedy w wieku dwudziestu jeden lat weszła w posiadanie majątku, zupełnie wymknęła się spod kontroli. Od tamtej pory dziewczyna zyskała pewien rozgłos. Jej zdjęcie często pojawiało się w gazetach. Należała w Londynie do błyskotliwego i pozbawionego hamulców młodego towarzystwa, które uczestniczyło w zwariowanych przyjęciach i od czasu do czasu lądowało w komisariatach policji. Taki rodzaj rozgłosu nie był, zdaniem Emilii Arundell, odpowiedni dla kogoś noszącego to nazwisko. Prawdę mówiąc, bardzo nie pochwalała sposobu życia Teresy. W sprawie zaręczyn dziewczyny miała nieco mieszane uczucia. Z jednej strony nie uważała parweniusza, doktora Donaldsona, za dostatecznie dobrą partię dla rodu Arundellów. Z drugiej zaś miała niepokojącą świadomość, iż trudno o bardziej nieodpowiednią żonę dla spokojnego wiejskiego lekarza niż Teresa.

Z westchnieniem przeniosła myśli na Bellę. Nie miała jej nic do zarzucenia. Bella była dobrą kobietą, oddaną żoną i matką, którą można było stawiać innym za wzór — za to wyjątkowo przyziemną! Jednak nawet ona nie zasługiwała w pełni na aprobatę. Przecież Bella poślubiła obcokrajowca — nie dość tego — poślubiła Greka. W oczach nie wolnej od uprzedzeń panny Arundell małżeństwo z Grekiem było prawie tak samo niestosowne, jak z Argentyńczykiem albo Turkiem. Fakt, iż doktor Tanios miał ujmujący sposób bycia i uważano go za niezwykle utalentowanego w swej profesji, jeszcze bardziej podsycił uprzedzenia starszej damy. Podejrzliwie traktowała urok osobisty i tanie komplementy. Również i z tego powodu trudno jej było polubić dwójkę ich dzieci. Wygląd odziedziczyły po ojcu — nie miały w sobie ani krztyny angielskości.

No i ten Karol...

Tak, Karol...

Przymykanie oczu na fakty miało się z celem. Karol, jakkolwiek czarujący, niewart był zaufania...

Emilia Arundell westchnęła. Nagle poczuła się zmęczona, stara, przygnębiona...

Odniosła wrażenie, iż jej dni są policzone...

Powróciła myślami do testamentu, jaki sporządziła kilka lat temu. Zapis na rzecz służby, na cele dobroczynne — i przeważająca część pokaźnego majątku do równego podziału między tę trójkę krewnych...

Nadal uważała, iż uczyniła rzecz słuszną i sprawiedliwą. Właśnie przeniknęło jej przez myśl, by sprawdzić, czy nie ma przypadkiem jakiegoś sposobu zabezpieczenia pieniędzy przypadających w udziale Belli, żeby nie mógł ich tknąć jej mąż... Będzie musiała spytać pana Purvisa.

Skręciła w furtkę Littlegreen House.

Karol i Teresa Arundell przyjechali samochodem, Taniosowie pociągiem.

Najpierw przybyło rodzeństwo. Karol, wysoki i przystojny, odezwał się lekko drwiącym tonem:

— Czołem, ciociu Emilio, jak się miewasz? Wyglądasz kwitnąco.

Następnie ją ucałował. Teresa przystawiła obojętnie młody policzek do przywiedłej twarzy ciotki.

— Jak się masz, ciociu?

Teresa, pomyślała ciotka, bynajmniej nie wyglądała dobrze. Twarz przykryta ciężkim makijażem była wymizerowana, wokół oczu rysowały się zmarszczki.

Herbatę wypito w salonie. Bella Tanios w modnym kapeluszu nasuniętym na niewłaściwą stronę, spod którego wysypywały się bezładnie kosmyki włosów, utkwiała wzrok w kuzynce Teresie, żałośnie usiłując przyswoić sobie jej styl i zapamiętać strój. Biedna Bella pasjami uwielbiała się stroić, lecz los poskąpił jej jakiegokolwiek zmysłu elegancji. Teresa nosiła ubrania drogie, nieco ekstrawaganckie, a przy tym miała znakomitą figurę.

Po przybyciu ze Smyrny do Anglii Bella próbowała gorliwie naśladować szyk Teresy za niższą cenę, zadowolając się pośledniejszym krojem.

Doktor Tanios, postawny, brodaty mężczyzna o wesołej powierzchowności, rozmawiał z panną Arundell. Miał pociągający głos — ciepły i głęboki — który oczarowywał słuchacza niemal wbrew jego woli. Urzekł i pannę Arundell, nieomal na przekór jej samej.

Panna Lawson uwijała się jak w ukropie. Krzątała się wokół stolika do herbaty, podając talerze. Karol, młodzieniec o nienagannych manierach, parę razy wstał, oferując jej pomoc, ale nie spotkał go żaden wyraz wdzięczności z jej strony.

Kiedy po herbacie całe towarzystwo wyszło na przechadzkę do ogrodu, Karol mruknął do siostry:

— Ta Lawson mnie nie lubi. Dziwne, prawda?

— Niesłychane. A więc istnieje chociaż jedna osoba, która potrafi oprzeć się twemu zniewalającemu urokowi? — dogryzła mu Teresa.

Karol wyszczerzył zęby w uśmiechu — ujmującym, od ucha do ucha — i rzekł:

— Na szczęście tylko ona...

Panna Lawson spacerowała po ogrodzie z panią Tanios i zasypywała ją pytaniami o dzieci. Bezbarwna dotąd twarz Belli Tanios ożywiła się. Bella zapomniała o obserwowaniu Teresy. Mówiła ochoczo, z zapałem. „Marysia powiedziała na statku coś absolutnie niezwykłego”...

Znalazła w Minnie Lawson wyjątkowo życzliwego słuchacza.

W tej chwili do ogrodu wprowadzono powaźnego jasnowłosego młodzieńca z pince-nez. Wyglądał na dość zakłopotanego. Panna Arundell powitała go uprzejmie.

— Witaj, Rex! — wykrzyknęła Teresa.

Wsunęła mu rękę pod ramię i oboje się oddalili.

Karol zrobił skwaszoną minę. Wymknął się na słówko do ogrodnika, swego sprzymierzeńca z dawnych lat.

Kiedy panna Arundell ponownie weszła do domu, Karol bawił się z Bobem. Pies stał na szczycie schodów, trzymając w pysku piłkę i delikatnie merdając ogonem.

— Dalej, piesku — zachęcał Karol.

Bob przysiadł na tylnych łapach i powoli posuwał piłkę nosem ku krawędzi schodów. Gdy wreszcie popchnął ją, podskoczył w wielkim podnieceniu. Piłka zaczęła wolno staczać się na dół. Karol złapał ją i rzucił psu. Bob zgrabnie schwycił piłkę zębami. Zabawa się powtórzyła.

— To jego stała rozrywka — rzekł Karol. Emilia Arundell uśmiechnęła się.

— Potrafi tak godzinami — przyznała.

Udała się do salonu, a Karol poszedł w jej ślady. Bob zaszczeakał rozczarowany.

— Spójrz na Teresę i jej adoratora. Osobliwa z nich para — odezwał się Karol, wyglądając przez okno.

— Sądzisz, że Teresa traktuje to poważnie?

— Szaleje za nim! — oświadczył z przekonaniem Karol. — Dziwaczny gust, ale cóż począć. Pewnie podoba się jej ten szczególny sposób, w jaki na nią patrzy, jakby była jakimś okazem naukowym, a nie żywą kobietą. Dla Teresy to raczej nowość. Szkoda, że młodzieniec jest tak ubogi. Teresa ma kosztowne upodobania.

Panna Arundell odparła sucho:

— Nie wątpię, że potrafi zmienić swój styl życia — jeśli tylko zechce! Zresztą ma własne dochody.

— Co? Ależ tak, oczywiście — Karol rzucił jej zmieszane spojrzenie.

Tego wieczoru, gdy rodzina zebrała się w salonie w oczekiwaniu na kolację, na schodach rozległ się rumor, a po chwili popłynął stek przekleństw. Wszedł Karol czerwony na twarzy.

— Przepraszam, ciociu Emilio, jestem pewnie spóźniony? Przez tego twojego psa o mały włos nie wykonałem straszliwego salta. Zostawił piłkę na schodach.



— Nieuważna psina — wykrzyknęła panna Lawson, pochylając się nad Bobem.

Bob spojrział na nią z pogardą i odwrócił głowę.

— Stale to robi — odezwała się panna Arundell. — To bardzo niebezpieczne. Minnie, schowaj gdzieś tę piłkę.

Panna Lawson pospiesznie wyszła.

Przez większość czasu rozmowę przy stole monopolizował doktor Tanios. Opowiadał zabawne historyjki ze swego życia w Smyrnie.

Goście wcześniej udali się na spoczynek. Panna Lawson towarzyszyła swej chlebodawczyni w drodze do sypialni, niosąc za nią wełnę, okulary, duży welwetowy worek oraz książkę, trajkocząc przy tym z ożywieniem.

— Doprawdy, strasznie zabawny ten doktor Tanios. Dusza towarzystwa! Nie żebym sama marzyła o takim życiu... Pewnie trzeba przegotowywać wodę... I pić kozie mleko — ono ma taki przykry smak...

— Nie bądź głupia, Minnie — ucięła panna Arundell. — Kazałaś Ellen obudzić mnie o wpół do siódmej?

— O tak, panno Arundell. Powiedziałam, żeby nie przynosiła herbaty, ale nie uważa pani, że mądrzej byłoby... Wic pani, pastor z Southbridge — wyjątkowo sumienny człowiek — mówił wyraźnie, że nie ma obowiązku przychodzić na czczo...

Panna Arundell przerwała jej po raz kolejny.

— Do tej pory nie jadałam niczego przed porannym nabożeństwem i nie zamierzam tego zmieniać. Ty rób jak chcesz.

— Ależ nie... nie miałam na myśli... naprawdę... Panna Lawson była zmieszana i podenerwowana.

— Zdejmij Bobowi obrozę — poleciła panna Arundell.

Niewolnica pospieszyła wykonać rozkaz. Próbując się jeszcze przypodobać, rzekła:

— Jaki miły wieczór. Wszyscy są tacy zadowoleni z przyjazdu.

— Phi — odparła Emilia Arundell. — Każdy przyjechał coś wyżebrać.

— Ależ droga panno Arundell...

— Moja pocziwa Minnie, co jak co, ale oleju w głowie mi nie brakuje! Zastanawiam się tylko, kto pierwszy poruszy temat.

Nie musiała długo czekać na zaspokojenie swojej ciekawości. Z porannej mszy wróciła z panną Lawson tuż po dziewiątej. Państwo Taniosowie siedzieli w jadalni, natomiast po rodzeństwie Arundellów nie było ani śladu. Po śniadaniu panna Arundell zajęła się wpisywaniem do notesu wydatków.

Około dziesiątej do pokoju wszedł Karol.

— Przepraszam za spóźnienie, ciociu Emilio. Ale Teresa jest gorsza ode mnie. Nawet nie otworzyła jeszcze oka.

— O wpół do jedenastej śniadanie zostanie uprzątnięte — oznajmiła panna Arundell. — Wiem, że dziś nikt nie liczy się ze służbą, lecz w moim domu sprawy mają się inaczej.

— I dobrze. To rozumiem! Cóż za nieugiętość!

Karol nałożył sobie cynaderki i usiadł obok. Uśmiechał się jak zwykle rozbrajająco. Emilia Arundell wkrótce przyłapała się na tym, że pobłażliwie odwzajemnia uśmiech. Ośmielony tą oznaką przychylności Karol podjął ryzyko.

— Posłuchaj, ciociu Emilio, przepraszam, że zawracam ci głowę, ale wpadłem w piekielne tarapaty. Mogłabyś mnie poratować? Setka załatwiłaby problem.

Twarz ciotki nic wyrażała zachęty. Przybrała surowy wyraz.

Emilia Arundell nie bała się głośno mówić tego, co myśli. Uczyniła tak i tym razem.

Niewiele brakowało, by nadchodząca korytarzem panna Lawson zderzyła się z Karolem w chwili, gdy opuszczał pokój. Spojrzała na niego z zaciekawieniem. Weszła do jadalni i zastała pannę Arundell siedzącą bardzo sztywno z wypiekami na twarzy.

# Rozdział drugi

## Krewni

Karol lekko wbiegł po schodach i zastukał do drzwi siostry. Natychmiast usłyszał w odpowiedzi „proszę” i wszedł do środka. Teresa siedziała na łóżku i ziewała. Karol przysiadł obok.

— Urodziwa z ciebie osóbką, Tereso — zauważył z uznaniem.

— Czego chcesz? — spytała ostro. Uśmiechnął się szeroko.

— W gorącej wodzie kąpana, co? No więc ubiegłem cię, moja droga. Postanowiłem uczynić krok, zanim ty przystąpisz do dzieła.

— No i?

Karol rozłożył ręce.

— Nic z tego. Ciotka Emilia zbeształa mnie niemiłosiernie. Oznajmiła, że nie ma żadnych złudzeń co do powodu, dla którego jej kochająca rodzinka zgromadziła się wokół jej osoby. Oświadczyła również, iż wyżej wspomniana kochająca rodzinka dozna zawodu, ponieważ w jej domu nie rodzi się nic prócz uczucia — i to nie w nadmiarze.

— Mogłeś trochę poczekać — powiedziała oschle Teresa. Karol znowu uśmiechnął się promiennie.

— Bałem się, że ty albo Taniosowie mnie uprzedzicie. Mam poważne obawy, moja kochana Tereso, iż tym razem nic nie wskóramy. Staruszka Emilia nie jest ani trochę naiwna.

— Nigdy jej za taką nie uważałam.

— Próbowałem nawet napędzić jej stracha.

— Jak mam to rozumieć? — spytała ostrym tonem.

— Powiedziałem, że sama prosi się o to, żeby ktoś ją sprzątnął. Przecież nie może wszystkiego zabrać ze sobą do nieba. Dlaczego nie otworzy sakiewki?

— Karolu; jesteś głupcem!

— Wcale nie. Mam swoistą żyłkę psychologiczną. Podlizywanie się staruszce nigdy nie przynosi żadnego pożytku. Ona dużo bardziej woli, by stawić jej czoło. A poza tym mówiłem przecież do rzeczy. Dostaniemy pieniądze po jej śmierci — równie dobrze może rozstać się z ich częstką odrobinę wcześniej. W przeciwnym razie pokusa usunięcia jej z drogi może stać się nieodparta.

— Zrozumiała, do czego zmierzasz? — spytała Teresa, krzywiąc z wyższością delikatne usta.

— Nie jestem pewien. Tego nie potwierdziła. Podziękowała mi dość złośliwie za radę i powiedziała, że doskonale potrafi się o siebie zatroszczyć. No cóż, odparłem, ostrzegałem cię. Na to ona, że będzie o tym pamiętać.

— Doprawdy, Karolu, jesteś skończonym idiotą — rzekła ze złością Teresa.

— Do licha, sam byłem wściekły! Staruszka po prostu śpi na forsie. Założę się, że nie wydaje nawet jednej dziesiątej swych dochodów — zresztą na co miałyby je wydawać? Tymczasem my, młodzi, potrafiący cieszyć się życiem, mamy figę z makiem. Nam na złość zdolna jest dożyć setki... Chcę używać świata teraz... Tak jak ty...

Teresa skinęła głową.

— Starzy ludzie nie rozumieją... nie wiedzą, co znaczy naprawdę żyć — powiedziała cichym, stłumionym głosem.

Zamilkli na kilka minut. Wreszcie Karol wstał.

— No to, skarbie, życzę powodzenia. Choć wątpię, czy ci się uda.

Teresa rzekła:

— Prędej Rex dokona tej sztuki. Liczę na niego. Jeżeli zdołam uświadomić ciotce Emilii, jaki jest błyskotliwy i jak bardzo trzeba dać mu szansę, by nie ugrzązł w swej karierze na etapie lekarza ogólnego... Och, Karolu, kilka tysięcy zdobyte w tym momencie całkowicie odmieniłoby nasze życie!

— Mam nadzieję, że dopniesz swego, chociaż to mało prawdopodobne. Swego czasu odrobinę za dużo roztrwoniłaś na hulanki. Nie sądzisz chyba, że dostanie się coś ponurej Belli albo temu podejrzanemu Taniosowi?

— Nie wierzę, by pieniądze przyniosły Belli jakiś pożytek. Wygląda jak kuchta i ma typowo domowe zamiłowania.

— Co z tego — powiedział Karol. — Pewnie troszczy się o te swoje nijakie dzieciaki, chce zapewnić im szkoły, aparaciki na przednie zęby i lekcje muzyki. Zresztą nic chodzi mi o Bellę, tylko o Taniosa. Założę się, że już on ma nosa do pieniędzy. W tych sprawach Grecy nie zawodzą. Słyszałaś, że przepuścił prawie cały majątek Belli? Spekulował i stracił wszystko co do grosza.

— Wyciągnie coś od ciotki Emilii? Jak ci się wydaje?

— Nie, jeśli zdołam mu przeszkodzić — odparł ponuro Karol.

Opuścił pokój i zszedł bez celu na dół. W holu siedział Bob. Przymilnie podskoczył do Karola. Pobiegnął w stronę drzwi salonu i obejrzał się.

— Czego chcesz? — spytał Karol, podążając za nim wolnym krokiem.

Bob wpadł do salonu i usiadł wyczekująco przy małym sekretarzyku. Karol podszedł bliżej.

— No, co jest?

Pies zamerdał ogonem, utkwiał wzrok w szufladach sekretarzyka i błagalnie zapiszczał.

— Chcesz coś ze środka?

Karol otworzył górną szufladę. Uniósł brwi.

— O rany — mruknął.

Po jednej stronie leżała kupka banknotów. Karol wziął plik do ręki i przeliczył. Z szerokim uśmiechem wyjął z niego trzy banknoty jednofuntowe i dwa dziesięcioszylingowe, po czym schował je do kieszeni. Resztę ostrożnie odłożył na miejsce.

— Miałeś niezły pomysł, Bob. Wujkowi Karolowi wystarczy przynajmniej na wydatki. Drobną gotówka zawsze się przyda.

Bob wydał z siebie słabe, pełne wyrzutu szczeknięcie, gdy Karol zamykał szufladę.

— Przepraszam, stary.

Wysunął następną szufladę. W rogu leżała piłka Boba. Wyjął ją.

— Masz. Baw się dobrze.

Bob złapał piłkę, wybiegł truchtem z pokoju, a na schodach natychmiast rozległo się swojskie bęc, bęc, bęc.

Karol wyszedł do ogrodu. Był piękny słoneczny poranek przesycony wonią bzu.

Pannie Arundell dotrzymywał towarzystwa doktor Tanios. Rozwodził się nad zaletami solidnej angielskiej edukacji oraz nad tym, jak to ogromnie żałuje, że nie jest w stanie zapewnić takiego luksusu własnym dzieciom.

Karol uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją. Wesół przyłączył się do rozmowy, zręcznie kierując ją na zupełnie inne tory. Emilia Arundell obdarzyła go miłym uśmiechem. Wyobraził sobie nawet, iż rozbawiła ją jego taktyka i że udziela mu ledwie wyczuwalnego poparcia. Natychmiast poprawił mu się humor. Może, mimo wszystko, zanim wyjedzie... Karol był nieuleczalnym optymistą.

Tego popołudnia doktor Donaldson przyjechał po Teresę samochodem i zabrał ją do opactwa

Worthern, jednej z miejscowych atrakcji. Idąc w stronę lasu, Rex Donaldson szczegółowo rozprawiał o swoich teoriach i kilku najnowszych eksperymentach. Teresa rozumiała z tego niewiele, ale słuchała jak urzeczona, myśląc sobie w duchu: „Jaki ten Rex mądry — i absolutnie cudowny!” Narzeczony zrobił pauzę i rzekł z nagłym zwątpieniem:

— Obawiam się, że cię zanudzam, Tereso.

— Ależ kochany, to niezwykle pasjonujące — oświadczyła stanowczo Teresa. — Mów dalej. Pobrałeś krew od zainfekowanego królika... i co?

Potem rzekła z westchnieniem:

— Praca znaczy dla ciebie tak wiele.

— Naturalnie — przytaknął doktor Donaldson.

Teresie wcale nie wydawało się to takie naturalne. Za ledwie garstka jej przyjaciół miała jakiegokolwiek zajęcie, a jeśli już, polegało ono głównie na robieniu szumu wokół siebie. Pomyślała sobie nie po raz pierwszy, jakie to wyjątkowo niestosowne, że musiała zakochać się właśnie w Reksie Donaldsonie. Dlaczego człowiekowi przydarzają się takie rzeczy, takie nedorzeczne i zdumiewające szaleństwa? Daremne pytanie. Ona tego doświadczyła.

Zmarszczyła czoło, dziwiąc się sama sobie. Jej znajomi prowadzili rozwiązły tryb życia, byli cyniczni. Romanse są, oczywiście, niezbędnym elementem życia, ale po co traktować je poważnie? Człowiek kocha, a potem wszystko przemija.

Jednak jej uczucie do Rexa Donaldsona było inne, sięgało głębiej. Instynkt podpowiadał jej, że nie przemienie... Potrzebowała Rexa dogłębnie i szczerze. Wszystko ją w nim zachwycało. Jego spokój i opanowanie, tak odmienne od gorączkowości i zachłanności znamionujących jej własne życie, jasność i chłodna logika naukowego umysłu, i coś jeszcze, nie do końca zrozumiałego, tajemna męska siła ukryta pod bezpretensjonalnymi, odrobinę pedantycznymi manierami, której obecność wyczuwała instynktownie.

W Reksie Donaldsonie tkwił geniusz, a fakt, że poświęcał się głównie pracy zawodowej, ona zaś była jedynie częścią — ‘co prawda nieodzowną — jego świata, tylko wzmacniał jego atrakcyjność. Po raz pierwszy w swym samolubnym, goniącym za przyjemnościami życiu Teresa zadowalała się drugorzędną rolą. Ta perspektywa ją fascynowała. Dla Rexa byłaby zdolna do wszystkiego — bez wyjątku!

— Brak pieniędzy to piekielna kula u nogi — powiedziała rozdrażniona. — Gdyby ciotka Emilia umarła, moglibyśmy bezzwłocznie się pobrać, ty mógłbyś osiąść w Londynie, mieć laboratorium pełne probówek i morskich świnek, i już nigdy więcej nie zawracać sobie głowy dziećmi chorymi na świnkę albo starszymi paniami z dolegliwościami wątroby.

— Nie ma powodu, dla którego twoja ciotka nie miałaby cieszyć się długim życiem, pod warunkiem, że zachowa ostrożność — rzekł Donaldson.

— Wiem... — odparła Teresa z przygnębieniem.

W dużej sypialni z podwójnym łóżem umeblowanej staroświeckimi dębowymi sprzętami doktor Tanios odezwał się do żony:

— Myślę, że dostatecznie przygotowałem grunt. Teraz twoja kolej, moja droga.

Nalewał wodę do porcelanowej miski w różyczki ze staromodnego, miedzianego dzbanka. Bella Tani os siedziała przy toalecie, zachodząc w głowę, dlaczego jej włosy nie układają się tak jak włosy Teresy, skoro czesze je w ten sam sposób.

Nie odpowiedziała od razu. Po chwili rzekła:

— Nie mam ochoty prosić ciotki Emilii o pieniądze.

— Nie prosisz dla siebie, Bello, chodzi o dobro dzieci. Nasze inwestycje okazały się takie niefortunne.

Stał odwrócony plecami, nie widział więc szybkiego spojrzenia, jakie mu rzuciła — ukradkowego, niechętnego. Odpowiedziała z łagodnym uporem:

— Mimo wszystko, wolałabym nie... Ciotka Emilia ma dość trudny charakter. Potrafi być hojna, ale nie lubi, gdy się ją prosi.

Wycierając ręce, Tanios odszedł od miski.

— Doprawdy, Bello, ten upór jest do ciebie niepodobny. Ostatecznie, po co tu przyjechaliśmy?

— Nie miałam zamiaru... nawet nie przyszło mi do głowy zebrać o pieniądze — odparła półgłosem.

— Jednak sama przyznałaś, że jeśli chcemy zapewnić dzieciom właściwe wykształcenie, naszą jedyną nadzieją jest pomoc ze strony twojej ciotki.

Bella Tanios nie odpowiedziała. Poruszyła się niespokojnie. Ale jej twarz nosiła wyraz łagodnej zawziętości, którą wielu mądrych mężów niemądrych żon odczuło na własnej skórze.

Rzekła:

— Może ciotka Emilia sama zaproponuje...

— Niewykluczone, lecz jak dotąd nic na to nic wskazuje.

— Szkoda, że nie mogliśmy zabrać tu dzieci. Na pewno nie oparłaby się Marysi. No i Edwardowi — jest taki inteligentny.

Tanios odezwał się chłodno:

— Twoja ciotka nie wygląda na wielką miłośniczkę dzieci. Ich obecność prawdopodobnie nie zrobiłaby różnicy.

— Och, Jakubie, ale...

— Tak, tak, moja droga. Wiem, co czujesz. Lecz te zasuszone angielskie stare panny są wyzute z człowieczeństwa. Chcemy jak najlepiej zatroszczyć się o przyszłość Marysi i Edwarda, prawda? Panna Arundell, czy raczej jej majątność, nic by na tym nie ucierpiała.

Bella Tanios odwróciła się z wypiekami na twarzy.

— Och, proszę cię, Jakubie, nie tym razem. Jestem pewna, że byłoby to nieroztropne. Bardzo się przed tym wzbraniam.

Tanios stał tuż za jej plecami. Otoczył ją ramieniem. Odrobinę zadrżała, potem znieruchomiała, niemal zeszywniała.

Jego głos nadal brzmiał przyjemnie.

— A jednak myślę, Bello, że zrobisz, o co proszę... Przecież wiesz, że tak się zwykle kończy... Chyba nie odmówisz...



# Rozdział trzeci

## Wypadek

Był wtorek po południu. Boczne drzwi do ogrodu były otwarte. Na progu stała panna Arundell i rzucała Bobowi piłkę. Terier pędem wypadał na ścieżkę w pogoni za zabawką.

— Jeszcze tylko raz, Bob — powiedziała Emilia Arundell. — Za to daleko.

Piłka znowu potoczyła się po ziemi, a w ślad za nią Bob pognał jak szalony.

Panna Arundell schyliła się, podniosła spod nóg piłkę przyniesioną przez Boba i weszła do domu, pies tuż za nią. Zamknęła drzwi, skierowała się do salonu i schowała piłkę do szuflady. Bob nadal nie odstępował jej na krok. Zerknęła na zegar na kominku. Było wpół do siódmej.

— Krótki odpoczynek przed kolacją, Bob.

Weszła po schodach do sypialni. Pies ciągle jej towarzyszył. Położywszy się na dużej, obitej perkalem sofie, z psem przy nodze, panna Arundell westchnęła. Cieszyła się, że już wtorek i goście wyjadą następnego dnia. Ich wizyta nie odkryła przed nią wprawdzie niczego, o czym dotąd by nie wiedziała. Chodziło raczej o fakt, że nie pozwoliła jej zapomnieć o czymś aż za dobrze wiadomym.

Powiedziała do siebie:

— Chyba się starzeję...

A po chwili dodała z nagłym zaskoczeniem:

— Przecież ja już jestem stara...

Leżała z przymkniętymi oczami przez pół godziny. Kiedy Ellen, podstarzała pokojówka, przyniosła gorącą wodę, wstała i zaczęła szykować się do kolacji.

W wieczornym posiłku miał im towarzyszyć doktor Donaldson. Emilia Arundell pragnęła przyjrzeć mu się z bliska. Nadal wydawało się jej dość nieprawdopodobne, że niekonwencjonalna Teresa chce poślubić tego raczej sztywnego i pedantycznego młodzieńca. Równie osobliwy był fakt, iż ten sztywny i pedantyczny młodzieniec chce się ożenić z Teresą.

W miarę upływu wieczoru nie odniosła wrażenia, że udało się jej poznać doktora Donaldsona choć trochę lepiej. Był bardzo uprzejmy, bardzo oficjalny i, jej zdaniem, przeraźliwie nudny. Zgodziła się w duchu z oceną pani Peabody. Przemknęła jej przez głowę myśl: „Za naszej młodości było w czym wybierać”.

Doktor Donaldson nie został długo. O dziesiątej zebrał się do wyjścia. Po jego odejściu Emilia Arundell również oznajmiła, że idzie spać. Udała się na piętro, a młodszy krewni poszli w jej ślady. Tego wieczora wszyscy wydawali się jacyś przytłumieni. Panna Lawson została na dole, by wypełnić ostatnie wieczorne obowiązki: wypuścić psa, wygasić ogień, ustawić osłonę przed kominkiem i odsunąć dywanik na wypadek pożaru.

Mniej więcej pięć minut później weszła zdyszana do sypialni swej chlebodawczyni.

— Chyba wszystko zabrałam — powiedziała, kładąc wełnę, robótkę i książkę z biblioteki. — Mam nadzieję, że książka będzie dobra. Nie było żadnego tytułu z listy, ale bibliotekarka powiedziała, że ta na pewno się pani spodoba.

— Cóż to za głupia dziewczyna — oświadczyła Emilia Arundell. — Nigdy nie spotkałam osoby o gorszym guście czytelnicy.

— Ojej. Bardzo mi przykro. Może powinnam...

— Bzdura, to nie twoja wina. Po chwili dodała życzliwie:

— Mam nadzieję, że przyjemnie spędziłaś dzisiejsze popołudnie.

Twarz panny Lawson się rozjaśniła. Była ożywiona i wyglądała niemal młodzieńczo.

— O tak, dziękuję. Bardzo miło, że dała mi pani wychodne. Miałyśmy talerzyk dla medium, odczytałyśmy z niego niesłychane rzeczy. Wiadomości było kilka... Oczywiście to nie to samo co normalny seans... Julii Tripp powiodło się machinalne pisanie. Kilka przesłań od tych, którzy odeszli z tego świata. Zawsze ogarnia mnie taka wdzięczność za to, że jest nam dane doświadczać takich rzeczy...

Panna Arundell powiedziała z lekkim uśmiechem:

— Lepiej żeby nasz pastor tego nie słyszał.

— Ale droga panno Arundell, jestem przekonana — całkowicie przekonana — że nie ma w tym nic złego. Szkoda, że szanowny pan Lonsdale nic chce zgłębić tego zjawiska. Uważam potępienie czegoś, czego się nawet nic zbadało, za przejaw ciasnoty umysłowej. Zarówno Julia, jak i Izabela Tripp są prawdziwie uduchowionymi kobietami.

— Aż nadto uduchowionymi jak na żywe istoty — odparła panna Arundell.

Nie przepadała za Julią i Izabelą Tripp. Uważała ich stroje za śmieszne, wegetariańskie posiłki i dania z surowych owoców za absurd, a sposób bycia za afektowany. Były kobietami bez tradycji, bez korzeni — co gorsza — bez wychowania! Jednak ich powaga i gorliwość dostarczały jej pewnej rozrywki, a ponieważ w gruncie rzeczy była osobą życzliwą, nie żałowała biednej Minnie przyjemności, jaką sprawiała jej ta znajomość.

Biedna Minnie! Emilia Arundell spojrzała na swoją towarzyszkę z mieszaniną serdeczności i

pogardy. Służyło u niej już tak wiele niezbyt rozcarniętych kobiet w średnim wieku — a wszystkie do siebie podobne: poczciwe, gderliwe, usłużne i niemal całkowicie pozbawione zdolności rozumowania.

Tego wieczoru biedna Minnie rzeczywiście wyglądała na bardzo podnieconą. Błyszczały jej oczy. Kręciła się po pokoju, bezwiednie dotykając różnych przedmiotów.

Zdenerwowana wyjąkała:

— Wielka szkoda, że pani tam nie było... Choć mam wrażenie, że nie bardzo pani w to wierzy. W każdym razie dziś nadeszła wiadomość dla E.A. — inicjały były widoczne jak na dłoni. Od mężczyzny — bardzo przystojnego wojskowego, który zmarł wiele lat temu. Izabela widziała go zupełnie wyraźnie. To musiał być generał Arundell. Piękna wiadomość, pełna miłości i otuchy — że cierpliwość jest drogą do osiągnięcia celu.

— Takie sentymenty są do papy zupełnie niepodobne — rzekła panna Arundell.

— Po tamtej stronie nasi bliscy się zmieniają. Tam rządzi miłość i wyrozumiałość. A potem było coś o kluczu... Zdaje się, że chodziło o klucz do sekretarzyka Boule'a — czy to możliwe?

— Klucz do sekretarzyka Boule'a? — w ostrym tonie Emilii Arundell pobrzmiwała nuta zainteresowania.

— Tak mi się wydaje. Pomyślałam sobie, że może leżą tam ważne dokumenty albo coś w tym rodzaju. Pamiętam pewien dobrze udokumentowany wypadek, kiedy to medium poleciło zajrzeć do jakiegoś mebla i w środku znaleziono testament.

— W sekretarzyku nie ma testamentu — powiedziała panna Arundell. Po chwili dodała bezceremonialnie:

— Idź spać, Minnie. Jesteś zmęczona. Ja również. Wkrótce zaprosimy na wieczór siostry Tripps.

— Och, wspaniale! Dobranoc. Niczego więcej nie potrzeba? Mam nadzieję, że odwiedziny tak wielu osób bardzo pani nie dokuczyły. Muszę powiedzieć Ellen, by dobrze wywietrzyła jutro salon i wytrzepała zasłony — zapach dymu tytoniowego unosi się w powietrzu tak długo. Swoją drogą bardzo miło z pani strony, że pozwoliła im pani wszystkim palić w pokoju.

— Muszę czynić pewne ustępstwa wobec nowoczesności — odparła Emilia Arundell. — Dobranoc, Minnie.

Kiedy panna Lawson zniknęła za drzwiami, Emilia Arundell zaczęła się zastanawiać, czy te spirytystyczne zabawy rzeczywiście służą Minnie. Oczy niemal wychodziły jej z orbit, była niespokojna i rozgorączkowana.

Osobliwa sprawa z tym sekretarzykiem, pomyślała, kładąc się spać. Uśmiechnęła się ponuro, przypomniawszy sobie obrazek sprzed wielu lat. Klucz odnaleziony po śmierci taty i lawinę opróżnionych butelek po brandy, która spadła z łoskotem po otwarciu sekretarzyka. Błahostki, o

których ani Minnie Lawson ani Izabela czy Julia Tripp z pewnością nie mogły wiedzieć, skłaniały do namysłu, czy mimo wszystko w całym tym spirytyzmie nie tkwiło ziarno prawdy...

Leżała bezsenne w dużym łóżu z baldachimem. Z wiekiem coraz trudniej było jej zasnąć. Ale wzgardziła rzuconą mimochodem sugestią doktora Graingera, by pić zioła nasenne. Takie napary są dobre dla słabeuszy, dla tych, którzy nic potrafią znieść bólu palca, słabego bólu zęba albo nudy i uciążliwości bezsennej nocy.

Często wstawiała i bezszelestnie krążyła po domu, to biorąc jakąś książkę, to przesuując bibeloty, poprawiając kwiaty wazonie, pisząc parę listów. W tych nocnych godzinach miała wrażenie, że dom jest tak samo rozbudzony, jak ona. Owe wędrówki o północy były wcale przyjemne. Wydawało się, że obok spacerują duchy jej sióstr: Arabelli, Matyldy i Agnieszki, duch brata Tomasza, porządnego człowieka, póki nie zawładnęła nim tamta kobieta. Nawet duch generała Karola Lavertona Arundella, domowego tyrana o ujmujących manierach, który wrzeszczał na córki i je terroryzował, a który mimo to, ze względu na swoje przeżycia z czasu rewolty sipajów oraz znajomość świata, był dla nich powodem do dumy. Cóż z tego, że zdarzały się dni, kiedy „nie miewał się zbyt dobrze”, jak wymijająco określały jego stan córki.

Powróciwszy myślami do narzeczonego bratanicy, panna Arundell pomyślała: „Jemu ten nałóg zapewne nie grozi. Uważa się za mężczyznę, tymczasem przez cały wieczór pił wyłącznie wodę. Nic tylko wodę! A ja otworzyłam porto papy na specjalne okazje.

Karol zaś portem nie pogardził. Och, gdyby tylko można było mu ufać. Gdyby człowiek nie wiedział, że z nim... Tok jej myśli się urwał... Sięgnęła pamięcią do wydarzeń tego weekendu... Wszystko wydawało się niejasno zatrwajające... Próbowwała wyprzeć z głowy dręczące myśli. Nic z tego. Podparła się na łokciu i spojrzała na zegar oświetlony lampką nocną, która zawsze się paliła. Pierwsza, a ona nie mogła nawet zmrużyć oka. Wstała z łóżka, włożyła ranne pantofle i ciepły szlafrok. Zejdzie na dół i przejrzy przygotowane na jutro do zapłaty rachunki z ostatniego tygodnia.

Niczym cień wysliznęła się z pokoju i przemknęła korytarzem, gdzie przez całą noc świeciła się mała lampka elektryczna\*

Doszła do szczytu schodów, wyciągnęła ramię w stronę poręczy i nagle z niewyjaśnionych powodów potknęła się, mimo wysiłków nie zdołała odzyskać równowagi i spadła na sani dół głową naprzód.

Odgłos upadku i krzyk wyrwały cały dom ze snu. Otworzyły się drzwi, rozblęsnęło światło.

Panna Lawson wystawiła głowę ze swego pokoju przy schodach. Wydając krótkie, rozpaczliwe okrzyki, pędem zbiegła na dół. Jeden po drugim zjawiali się pozostali — ziewający Karol w kosztownym szlafroku, Teresa otulona ciemnym jedwabiem, Bella w granatowym kimonie, z głową najeżoną grzebykami, które powtykała we włosy dla „ułożenia fal”.

Oszołomiona i skonsternowana Emilia Arundell leżała nieruchomo jak kłoda. Bolało ją ramię i kostka — całe ciało było jednym wielkim bólem. Zdawała sobie sprawę, że stoją nad nią ludzie, że ta głupia Minnie Lawson płacze i daremnie usiłuje coś zrobić, że w ciemnych / oczach Teresy maluje

się strach i zaskoczenie, że Bella stoi z otwartymi ustami i wyrazem wyczekiwania na twarzy, słyszała dobiegający skądś — jakby z bardzo daleka — głos Karola:

— To przez tego przekłętego psa! Musiał zostawić na górze piłkę, a ciotka się o nią potknęła. Proszę. Jest tutaj.

Po chwili dotarła do niej świadomość obecności kogoś z autorytetem, kto odsunął pozostałych na bok, klęknął przy niej i dotykał dłońmi, które nie błędziły niezdarnie, lecz wiedziały, czego szukają.

Ogarnęło ją uczucie ulgi. Teraz będzie już dobrze.

Doktor Tanios mówił stanowczym, uspokajającym głosem:

— Nie, wszystko w porządku. Nie ma złamań... Jest tylko mocno poturbowana i posiniaczona — i oczywiście doznała ogromnego szoku. Ale miała dużo szczęścia. Mogło być gorzej.

Następnie odsunął nieco zgromadzonych, podniósł ją bez wysiłku i zaniósł na górę do sypialni. Tam ujął jej nadgarstek, trzymał przez minutę, sprawdzając puls, kiwnął głową i polecił Minnie (która ciągle płakała i była Jedynie zawadą) przynieść brandy i zagrzać wodę do termoforu.

Oszołomiona, roztrzęsiona i udręczona bólem czuła w tej chwili dogłębną wdzięczność dla Jakuba Taniosa. I ulgę z powodu znalezienia się w kompetentnych rękach. Dawał jej poczucie bezpieczeństwa, pewności, jakie lekarz dawać powinien.

Było w tym wszystkim coś, czego nie potrafiła sprecyzować, coś niejasno niepokojącego — ale postanowiła nie zawracać sobie tym na razie głowy. Wypije brandy i postara się zasnąć.

Jednak bez wątpienia czegoś tutaj brakowało — a raczej kogoś.

Co tam, teraz nie czas się zastanawiać... Doskwiera ból ramienia.

Wypiła podany trunek. Słyszała, jak doktor Tanios mówi zrównoważonym, pewnym głosem: „Już nic jej nie grozi”.

Zamknęła oczy.

Obudził ją dobrze znany dźwięk — ciche, stłumione szczeknięcie. W jednej chwili całkowicie oprzytomniała. Bob — nieznośny Bob! Szczekał na dworze pod drzwiami frontowymi — w ten swój specyficzny sposób, który oznaczał: „nie było mnie przez całą noc i okropnie mi wstyd” — głosem łagodnym i przyciszonym, ale pełnym nadziei.

Panna Arundell wyteżyła słuch. Ach, w porządku. Usłyszała, jak Minnie schodzi na dół wpuścić psa. Usłyszała skrzypnięcie otwieranych drzwi frontowych, wypowiedane półgłosem bezładne i

daremne wyrzuty Minnie: „Och, ty niegrzeczna psino — bardzo niegrzeczny mały Bobik...” Potem słyhać było otwieranie drzwi do spiżarni. Legowisko Boba znajdowało się pod spiżarnianym stołem.

W tym momencie Emilia zdała sobie sprawę, czego brakowało jej podświadomie w chwili wypadku. Brakowało Boba. Na całe to zamieszanie — jej upadek, bieganinę — powinien zareagować wzmagającym się szczekaniem, które dobiegałoby zza drzwi spiżarni.

Zatem to mąciło jej spokój. Teraz jednak sprawa się wyjaśniła — Bob wypuszczony wczorajszego wieczora bezwstydnie i z premedytacją udał się na poszukiwanie przygód. Takie uchybienia cencie zdarzały mu się od czasu do czasu — za to późniejszym przeprosinom nie można było nigdy nic zarzucić.

W takim razie problem został rozwikłany. Ale czy na pewno? Cóż jeszcze trapiło ją w głębi duszy, nie dawało spokoju? Wypadek — coś dotyczącego upadku ze schodów.

A właśnie, ktoś powiedział — chyba Karol — że potknęła się o piłkę Boba pozostawioną na górze schodów... Piłka rzeczywiście musiała tam leżeć — Karol trzymał ją w ręku... Emilii Arundell dokuczał ból głowy. Ramię rwało. Posiniaczone ciało było obolałe...

Jednak pomimo cierpienia umysł miała jasny i bystry. Doznany szok nic plątał już myśli. Absolutnie nic nie mąciło pamięci.

Prześledziła wszystkie wydarzenia wczorajszego wieczoru od godziny szóstej... Odtworzyła każdy krok... aż do chwili, kiedy dotarła do schodów i zaczęła schodzić w dół...

Przeszył ją dreszcz przerażenia pomieszanego z niedowierzaniem...

Z całą pewnością się myli... Często miewa się dziwaczne urojenia. Próbowwała — i to z wielką gorliwością — przypomnieć sobie niebezpieczną krągłość piłeczki Boba pod stopą...

Jednak nie potrafiła odszukać w pamięci niczego podobnego.

Zamiast tego...

— To tylko nerwy — orzekła Emilia Arundell. — Nedorzeczne fantazje.

Tymczasem jej praktyczny, przenikliwy wiktoriański umysł nawet na chwilę nie zadowolili się takim wytłumaczeniem. Duchowi spadkobiercy epoki wiktoriańskiej nie mieli w sobie naiwnego optymizmu. Z największą łatwością potrafili uwierzyć w najgorsze.

Emilia Arundell wierzyła w najgorsze.

# Rozdział czwarty

## Panna Arundell pisze list

Był piątek. Goście wyjechali. Opuścili jej dom w środę, jak pierwotnie planowano. Wszyscy jak jeden mąż okazali gotowość pozostania dłużej, ale ich propozycje zostały kategorycznie odrzucone. Panna Arundell wyjaśniła, że woli mieć „całkowity spokój”.

Przez dwa dni, jakie upłynęły od wyjazdu rodziny, Emilia Arundell trwała w dziwnym zamyśleniu. Często nie słyszała, co mówi do niej Minnie Lawson. Wbijała w nią wzrok i szorstko nakazywała zacząć od początku.

— To ten szok. Biedaczka — kwitowała panna Lawson. I zaraz dodawała, zdradzając posępne upodobanie do katastrof, które ożywiają skądinąd monotonne życie tak wielu ludzi:

— Przypuszczani, że już nigdy nie będzie w pełni sobą.

Natomiast doktor Grainger serdecznie sobie z Emilii żartował.

Powiedział, że zejdzie na dół jeszcze przed końcem tygodnia, że to po prostu wstyd, iż nie połamala sobie żadnych kości, no bo co z niej za pacjentka dla lekarza lubiącego wyzwania. Gdyby wszyscy pacjenci byli tacy jak ona, mógłby równie dobrze od razu zdjąć z drzwi wywieszkę.

Emilia Arundell odparowała mu z werwą — ona i doktor Grainger byli wypróbowanymi przyjaciółmi. On ją karcił, ona postępowała na przekór, a wzajemne towarzystwo zawsze sprawiało obojgu niemałą przyjemność.

Tym razem, gdy lekarz wyszedł z pokoju, starsza dama zmarszczyła brwi i intensywnie rozmyślała, z roztargnieniem reagując na krzątanie Minnie Lawson. Raptem oprzytomniała, ciętą uwagą przywołując Minnie do porządku.

— Mały, biedny Bobik — szczebiotała panna Lawson, pochylając się nad psem, któremu posłano dywanik w rogu łóżka. — Mały Bobik byłby pewnie zmartwiony, gdyby wiedział, co zrobił swojej biednej pani.

Panna Arundell warknęła:

— Nie zachowuj się idiotycznie, Minnie. Gdzie się podziało twoje angielskie poczucie sprawiedliwości? Nie wiesz, że każdy obywatel tego kraju jest uznawany za niewinnego, póki jego wina nie zostanie udowodniona?

— Och, przecież wiadomo... Emilia przerwała oschle:

— Zupełnie nic nie wiadomo. Przestań się kręcić, Minnie. Tu coś dotkniesz, tam pociągniesz. Nie potrafisz się zachować w pokoju chorego? Wyjdź i przyślij do mnie El len.

Panna Lawson potulnie wymknęła się za drzwi.

Emilia Arundell popatrzyła za nią, czyniąc sobie lekkie wyrzuty. Chociaż Minnie była irytująca, starała się, jak mogła najlepiej.

Po chwili na czole panny Arundell znowu pojawiła się bruzda.

Była głęboko nieszczęśliwa. Jak na energiczną, stanowczą starszą panią przystało, nie znosiła beczynności. Lecz w tych szczególnych okolicznościach nie potrafiła zdecydować, jakie podjąć kroki.

Chwilami nie dowierzała własnym zmysłom, własnej pamięci. A nie miała nikogo, absolutnie nikogo, komu mogłaby się zwierzyć.

Pół godziny później, kiedy skrzypiąc podłogą panna Lawson weszła na palcach do pokoju z filiżanką bulionu i przystanęła niezdecydowanie na widok swej chlebobawczyni leżącej z zamkniętymi oczami, Emilia Arundell nieoczekiwanie wymówiła dwa słowa z taką siłą i determinacją, że panna Lawson niemal upuściła filiżankę.

— Maria Fox — rzekła panna Arundell.

— Koks? — odezwała się panna Lawson. — Mówiła pani coś o koksie?

— Głuchniesz, Minnie. Nie mówiłam nic o żadnym koksie. Powiedziałam: Maria Fox. To kobieta, którą poznałam w Cheltenham w zeszłym roku. Siostra jednego z kanoników katedry w Exeter. Daj mi tę filiżankę. Wylałaś bulion na podstawkę. I nie wchodź do pokoju na palcach. Nie masz pojęcia, jakie to denerwujące. Teraz idź na dół i przynieś londyńską książkę telefoniczną.

— Odszukać jakiś numer? Albo adres?

— Gdyby mi na tym zależało, nie omieszkałabym ci powiedzieć. Rób, co mówię. Przynieś książkę, a obok łóżka połóż moje przybory do pisania.

Panna Lawson posłuchała rozkazu. Gdy opuszczała pokój, wypełniwszy wszystkie polecenia, Emilia Arundell rzekła niespodziewanie:

— Jesteś dobrą, oddaną istotą, Minnie. Nie zważaj na moją opryskliwość. Nie jestem taka straszna, na jaką wyglądam. Jesteś dla mnie bardzo cierpliwa i dobra.

Panna Lawson wyszła z pokoju z rumieńcem na twarzy, mamrocząc coś niewyraźnie pod nosem.

Emilia Arundell usiadła w łóżku i zaczęła pisać list. Pisała powoli i starannie, robiąc liczne przerwy dla skupienia myśli i wielokrotnego podkreślania fragmentów. Skreślała słowa, poprawiała, nauczono ją bowiem, że nie wolno marnować papieru listowego. Wreszcie z westchnieniem



satysfakcji złożyła podpis i wsadziła list do koperty. Na kopercie napisała nazwisko. Potem wyjęła czystą kartkę papieru. Tym razem sporządziła brudnopis, a po przeczytaniu go i dokonaniu pewnych poprawek przepisała tekst na czysto. Odczytała całość bardzo uważnie, po czym, zadowolona z rezultatu, schowała list do koperty i zaadresowała: JW Pan William Purvis, Purvis, Purvis, Charlesworth i Purvis, Doradcy Prawni, Harchester.

Ponownie wzięła do ręki pierwszą kopertę, z nazwiskiem Herculeśa Poirota, i otworzyła książkę telefoniczną. Znalazłszy adres, dopisała go na kopercie.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Panna Arundell pospiesznie wepchnęła list za okładkę papeterii.

Nie miała zamiaru wzbudzać ciekawości Minnie. Minnie była stanowczo nazbyt wścibska.

Zawołała „proszę” i oparła się na poduszkach z westchnieniem ulgi.

Podjęła kroki, by uporać się z zaistniałą sytuacją.

# Rozdział piąty

## Herkules Poirot dostaje list

O wydarzeniach, które właśnie przedstawiłem, dowiedziałem się oczywiście z dużym opóźnieniem. Ale dzięki szczegółowym indagacjom rozmaitych członków rodziny odnotowałem je, jak sądzę, dość dokładnie.

Poirot i ja zostaliśmy wciągnięci w tę sprawę z chwilą otrzymania listu panny Arundell.

Dobrze pamiętam tamten dzień. Gorący, bezwietrzny poranek pod koniec czerwca.

Poirot ma niezmienny sposób załatwiania porannej korespondencji. Bierze każdy list do ręki, bacznie mu się przygląda i starannie rozcina kopertę nożykiem do papieru. Uważnie czyta treść, po czym odkłada list na jeden z czterech stosów za dzbankiem z czekoladą. (Poirot zawsze pije na śniadanie czekoladę — odrażający nawyk.) I wszystko to czyni z regularnością automatu.

W takiej sytuacji najdrobniejsze zakłócenie rytmu zwraca uwagę.

Siedziałem przy oknie, spoglądając na ruch uliczny. Dopiero co powróciłem z Argentyny i fakt ponownego znalezienia się w zgiełku Londynu budził we mnie jakieś szczególne podniecenie.

Odwracając głowę, powiedziałem z uśmiechem:

— Słuchaj Poirot, ja — pokorny Watson — mam zamiar zaryzykować pewien wniosek.

— Jestem zachwycony, przyjacielu. Cóż to takiego?

Przyjąłem odpowiednią pozę i rzekłem pompatycznie:

— Dostałeś dzisiaj jeden szczególnie interesujący list.

— Co za Sherlock Holmes z ciebie! Tak, masz całkowitą rację.

Roześmiałem się.

— Widzisz, znam cię na wylot, Poirot. Jeśli czytasz list dwukrotnie, musi to oznaczać, że zawiera coś wyjątkowo zajmującego.

— Oceń sam, Hastings.

Mój przyjaciel podał mi z uśmiechem wspomniany list. Wziąłem go z niemalym zainteresowaniem, ale natychmiast odrobinę się skrzywiłem. Był napisany staroświeckim, pająkowatym pismem, a do tego jeszcze pokreślony na dwóch stronach.

— Muszę to czytać? — jęknąłem.

— Ależ nie, nie ma takiego przymusu. Z pewnością nie.

— Nie możesz mi go streścić?

— Wolałbym, żebyś wyrobił sobie własne zdanie. Lecz nie fatyguj się, jeśli cię to nudzi.

— Nie, nie, chcę wiedzieć, o co chodzi — zaprotestowałem.

— To prawie niemożliwe — zauważył z przekąsem Poirot. — Ściśle mówiąc, list zupełnie niczego nie wyjaśnia.

Biorąc to za przesadę, bez dalszych ceregieli pogрузyłem się w lekturze.

*Do Pana Herkulesa Poirota.*

*Szanowny Panie,*

*Po wielu wątpliwościach i wahaniach piszę (ostatnie słowo było przekreślone, a dalej było napisane) ośmielam się pisać do Pana w nadziei, że hyc może zdoła Pan mi pomóc w sprawie o ściśle poufnym charakterze. (Słowa „ściśle poufny” podkreślono trzykrotnie.) Zaznaczam, iż Pańskie nazwisko nie jest mi obce. Wspomniała mi o Panu panna Fox z Exeteru, i chociaż nie via Pana osobiście, nadmienila, że siostra jej szwagra (której nazwiska, stwierdzam to z przykrością, nie mogę sobie przypomnieć) opowiadała o Pana życzliwości i dyskrecji w sprawach najwyższej wagi („najwyższej wagi” podkreślone raz). Naturalnie nie wnikam w charakter („charakter” podkreślone) dochodzenia, jakie przeprowadził Pan w jej sprawie, ale ze stów panny Fox wywnioskowałam, iż było ono natury poufnej i bolesnej (ostatnie cztery słowa grubo podkreślone).*

Oderwałem się od znużonego odcyfrowywania pająkowatych słów.

— Poirot — powiedziałem — muszę czytać dalej? Czy ona wreszcie przystąpi do rzeczy?

— Czytaj, przyjacielu. Cierpliwości.

— Cierpliwości! — mruknąłem. — To wygląda dokładnie tak, jakby pająk wlaźł do kałamarza, a potem przespacerował się po kartce papieru! Pamiętam, że moja stryjeczna babka Maria miała bardzo podobne pismo.

Ponownie zagłębiłem się w epistole.

*W moim obecnym kłopotliwym położeniu przyszło mi na myśl, że mógłby Pan podjąć w moim imieniu niezbędne dochodzenie. Jak Pan bez trudu zrozumie, sprawa wymaga najwyższej dyskrecji i mogę w gruncie rzeczy całkowicie się mylić — nie muszę dodawać, jaką mam szczerą nadzieję i jak gorąco się modłę („modłę” podkreślone dwa razy), że właśnie tak będzie w tym wypadku. Człowiek jest czasem skłonny przypisywać zbyt wielkie znaczenie faktom dającym się wyjaśnić w sposób naturalny.*

— Nie przeoczyłem jednej kartki? — wymamrotałem lekko zdezorientowany.

Poirot zachichotał.

— Ależ skąd.

— Nie dostrzegam w tym sensu. O czym ona pisze?

— *Continuez toujours\**.

— *Jak Pan bez trudu zrozumie, sprawa wymaga — nie, to już czytałem. O, mam. — W okolicznościach, które poddaję Pańskiej ocenie, zasięgnięcie rady kogokolwiek z Market Basing jest zupełnie niemożliwe (Ponownie zerknąłem na nagłówek. Littlegreen House, Market Basing, Berks.). Mój niepokój zapewne Pana nie zdziwi („niepokój” podkreślone). W ciągu kilku ostatnich dni czyniłam sobie wyrzuty z powodu nadmiernego fantazjowania („fantazjowania” podkreślone trzykrotnie), ale poczułam jedynie narastający zamęt w głowie. Być może przypisuję zbyt dużą wagę czemuś, co ostatecznie jest błahostką („błahostką” podkreślone dwa razy), niemniej jednak niepokój pozostaje. Uważam, że moje obawy w tej kwestii muszą zostać rozproszone. Dręczą mnie i niekorzystnie wpływają na zdrowie, a ja znajduję się w trudnym położeniu, ponieważ nikomu nie mogę powiedzieć ani słowa („nikomu ani słowa” podkreślone grubą kreską). W swojej mądrości może Pan oczywiście uznać całą sprawę za złudzenie. Niewykluczone, że fakty dadzą się wyjaśnić w sposób najzupełniej niewinny („niewinny” podkreślone). Niemniej od czasu wypadku z piłką psa, jakkolwiek błahy może się on wydawać, narasta we mnie zwątpienie i trwoga. Dlatego chętnie poznam Pańskie poglądy i przyjmę radę w tej kwestii. „Z pewnością zdejmie mi to ciężar z serca. Proszę mnie łaskawie poinformować o wysokości Pańskiego honorarium i co radzi mi Pan w tej sprawie uczynić.*

*Jeszcze raz podkreślam, że tutaj nikt o niczym nie wie. Fakty są — zdaję sobie z tego sprawę — banalne i mało znaczące, ale moje zdrowie szwankuje, a nerwy („nerwy” podkreślone trzykrotnie) nie są już takie jak dawniej. Nie mam wątpliwości, iż tego rodzaju zmarnienie oddziałuje na mnie bardzo niekorzystnie, a im więcej myślę o całej sprawie, tym większego nabieram przekonania, że mam rację i o żadnej pomyłce nie może być mowy. Naturalnie nie mam najmniejszego zamiaru cokolwiek (podkreślone) komukolwiek (podkreślone) mówić.*

Liczę na Pańską rychłą radę w tej sprawie.

Odwróciłem list i badawczo przyjrzałem się każdej stronie.

— Poirot — powiedziałem z pretensją — o co tu właściwie chodzi?

Mój przyjaciel wzruszył ramionami.

— No właśnie.

Puknąłem w kartki z lekkim zniecierpliwieniem.

— Co za kobieta! Dlaczego pani — czy też panna — Arundell nie może...

— Panna. To typowy list starej panny.

— Tak — rzekłem. — Doprawdy grymaśna stara panna. Mogłaby wyjaśnić, co ją trapi.

Poirot westchnął.

— Godny politowania brak porządku i metody w procesach myślowych, a bez porządku i metody, Hastings...

— Tak, tak — pospiesznie przerwałem. — Małe szare komórki praktycznie nie istnieją.

— Tego bym nie powiedział, przyjacielu.

— A ja owszem. Jaki jest sens pisania takiego listu?

— Niewielki, to prawda — przyznał Poirot.

— Długaśne bajdurzenie o niczym — ciągnąłem. — Prawdopodobnie wyrządzono krzywdę jej spasionemu pieskowi salonowemu — jakiemuś astmatycznemu mopsowi albo wrzaskliwie ujadającemu pekińczykowi! — Spojrzałem podejrzliwie na przyjaciela. — A mimo to ty czytasz list dwukrotnie od deski do deski. Nie rozumiem cię, Poirot.

Poirot się uśmiechnął.

— Ty, Hastings, od razu wyrzuciłbyś go do kosza?

— Obawiam się, że tak. — Popatrzyłem z ukosa na list. — Pewnie jak zwykle wykazuję umysłową tępotę, ale nie widzę w tym liście nic frapującego.

— A jednak jest tam jeden niezwykle interesujący szczegół — szczegół, który natychmiast mnie

zaintrygował.

— Poczekaj — zawołałem. — Nie mów. Niech sprawdzę, czy sam potrafię go wyłować.

Być może zachowałem się dziecinnie. Prześledziłem treść listu bardzo dokładnie. Potem potrząsałem głową.

— Niczego nie widzę. Starsza dama ma stracha, z tego zdaję sobie sprawę — ale z drugiej strony u starszych pań to rzecz nader częsta. Może w tym nic nie być — niewykluczone również, że jednak o coś chodzi, lecz nie wydaje mi się, aby dało się to potwierdzić. Chyba że twój instykt...

Urażony Poirot uniósł rękę.

— Instykt! Wiesz, jak nie lubię tego słowa. „Coś zdaje mi się podpowiadać” — to chciałeś powiedzieć. *Jamais dans la vie\**. Ja wyciągam wnioski. Używam małych szarych komórek. List zawiera jeden interesujący szczegół, który przeoczyłeś, Hastings.

— No cóż — rzekłem ze znużeniem. — Poddaję się.

— Poddajesz się? O co ci chodzi?

— To takie sformułowanie. Oznacza, że pozwalam ci zabawić się moim kosztem, wytykając mi, w którym miejscu okazałem się durniem.

— Nie durniem, Hastings, tylko człowiekiem mało spostrzegawczym.

— Zatem mów. Cóż to za intrygujący szczegół? Przypuszczam, że podobnie jak „w wypadku z piłką psa” rzecz w tym, że nie ma tam nic interesującego.

Poirot zignorował mój docinek. Powiedział cicho i z opanowaniem:

— Interesująca jest data.

— Data?

Wziąłem list do ręki. W lewym górnym rogu napisano: 17 kwietnia.

— Tak — odparłem powoli. — To rzeczywiście osobliwe. Siedemnasty kwietnia.

— A dzisiaj mamy dwudziesty ósmy czerwca. *C'est curieux, n'est ce pas?\** Ponad dwa miesiące temu.

Z powątpiewaniem pokręciłem głową.

— Prawdopodobnie zwykła pomyłka. Zamierzała napisać czerwiec, a zamiast tego wpisała kwiecień.

— Nawet wtedy list byłby sprzed dziesięciu czy jedenastu dni. Jesteś jednak w błędzie. Spójrz na kolor atramentu. Ten list napisano więcej niż dziesięć czy jedenaście dni temu. Siedemnasty kwietnia jest niechybnie właściwą datą. Tylko dlaczego nie został wysłany?

Wzruszyłem ramionami.

— To proste. Staruszka zmieniła zdanie.

— W takim razie dlaczego nie zniszczyła listu? Po co miałyby go przechowywać przez ponad dwa miesiące i wysłać teraz?

Musiałem przyznać, iż na to pytanie trudniej było znaleźć odpowiedź. Faktycznie nie przychodziło mi do głowy żadne zadowalające wyjaśnienie. Pokręciłem jedynie głową i milczałem.

Poirot pokiwał głową.

— Widzisz — i to właśnie jest istota sprawy. Tak, rzecz zdecydowanie osobliwa.

— Odpiszesz? — spytałem.

— *Oui, mon ami.*

W pokoju panowała cisza zakłócana jedynie skrzypieniem pióra Poirota. Był gorący, parny poranek. Przez okno wdzierał się zapach kurzu i smoły.

Poirot wstał od biurka, trzymając w ręku ukończony list. Otworzył szufladę i wyciągnął małe kwadratowe pudełko. Wyjął z niego znaczek. Zwilżywszy go na małej gąbce, szykował się do przyklejenia go na kopercie. Raptownie zastygł ze znaczkiem w dłoni i zaraz potrząsnął energicznie głową.

— *Non!* — wykrzyknął. — Postępuję niewłaściwie. Przedarł list na pół i cisnął do kosza.

— Nie tak powinniśmy zabrać się do tej sprawy. Pojedziemy tam, przyjacielu.

— Masz na myśli Market Basing?

— Właśnie. Czemu nie? Czyż człowiek nie dusi się dzisiaj w Londynie? Wiejskie powietrze dobrze nam zrobi.

— Jeśli tak się na to zapatrujesz — rzekłem. — Pojedziemy samochodem?

Niedawno kupiłem używanego austina.

— Wyśmienicie. Bardzo przyjemny dzień na przejażdżkę. Nie trzeba wkładać szalika. Lekki płaszcz, jedwabna apaszka...

— Mój drogi, nie wybieramy się na biegun północny — zaprotestowałem.

— Należy uważać, żeby się nie przeziębic — oświadczył sentencjonalnie Poirot.

— W taki dzień?

Nie zważając na moje protesty, Poirot poszedł wdziać beżowy płaszcz, a szyję owinął białą jedwabną chustką. Ostrożnie położył na bibule zwilżony znaczek, aby wysechł, i razem opuściliśmy pokój.



# Rozdział szósty

## Jedziemy do Littlegreen House

Nie wiem, jak Poirot wytrzymał w płaszczu i apasce, w każdym razie ja byłem ugotowany, jeszcze zanim wydostaliśmy się z Londynu. W gorący letni dzień przejażdżka otwartym samochodem w ruchu ulicznym nie jest bynajmniej odświeżająca.

Kiedy znaleźliśmy się poza Londynem i zaczęliśmy nabierać prędkości na Great West Road, humor wyraźnie mi się poprawił.

Jazda zajęła nam około półtorej godziny. Dochodziło południe, gdy wjechaliśmy do małego miasteczka Market Basing. Niegdyś leżało przy głównej drodze, teraz jednak nowoczesna obwodnica przesunęła główny strumień ruchu o jakieś trzy mile na północ, w rezultacie czego miejscowość zachowała atmosferę staroświeckiego dostojęstwa i spokoju. Jedyna szeroka ulica oraz obszerny rynek zdawały się mówić: „dawniej było to miejsce ważne i dla każdej osoby rozumnej oraz dobrze wychowanej nadal takim pozostaje. Niech współczesny, gnający naprzód świat mknie sobie tą swoją nowomodną drogą; to miasteczko zostało zbudowane w czasach, kiedy solidność i piękno szły ze sobą w parze”.

Pośrodku dużego skweru znajdował się parking. Stało na nim zaledwie kilka aut. Zaparkowałem prawidłowo swojego austina, Poirot uwolnił się ze zbytecznych części garderoby, upewnił się, czy wąsy są ułożone jak należy, to znaczy symetrycznie podkrecone do góry, i wreszcie byliśmy gotowi ruszyć przed siebie.

Jak rzadko dotąd, nasza pierwsza próba zasięgnięcia informacji nie spotkała się ze zwyczajową odpowiedzią: „przykro mi, jestem nietutejszy”. Wydawało się nader prawdopodobne, iż w Market Basing nie było żadnych nietutejszych. Na to wyglądało. Zdążyłem już odnieść wrażenie, że Poirot i ja sam (a zwłaszcza Poirot) rzucamy się nieco w oczy. Wyróżnialiśmy się na tle okrytego patyną wieków angielskiego miasteczka targowego, bezpiecznie trwającego w swych tradycjach.

— Littlegreen House? — mężczyzna, krzepki jegomość z wylupiastymi oczami obrzucił nas uważnym spojrzeniem. — Trzeba iść prosto główną ulicą. Po lewej stronie. Nie sposób go przegapić. Na furtce nie ma tabliczki, ale to pierwszy duży dom za bankiem.

I jeszcze raz powtórzył:

— Nie można go przeoczyć.

Odprowadził nas wzrokiem, kiedy ruszyliśmy w drogę.

— Mój Boże — marudziłem. — To miejsce ma w sobie coś, co sprawia, że czuję się wyjątkowo widoczny. A co do ciebie, Poirot, ty wyglądasz zdecydowanie egzotycznie.

— Daje się zauważyć, iż jestem obcokrajowcem — to masz na myśli?

— To wręcz uderzające — zapewniłem go.

— Przecież noszę ubranie od angielskiego krawca — zadumał się Poirot.

— Ubranie to nie wszystko — powiedziałem. — Nie da się zaprzeczyć, Poirot, że masz łatwo wpadającą w oko powierzchowność. Wielekroć zastanawiałem się, jakim cudem nie zawadza ci ona w karierze.

Poirot westchnął.

— To dlatego, że masz zaszczerpane w głowie błędne pojęcie, iż detektyw musi koniecznie przyklejać sobie sztuczną brodę i kryć się za słupem. Sztuczna broda to *viens jeu*<sup>\*</sup>, a szpiegowaniem parają się tylko najmarniejsi przedstawiciele mojej profesji. Takim jak Herkulcs Poirot, przyjacielu, wystarczy zasiąść na krześle i myśleć.

— I z tego właśnie powodu wlecemy się tą nadzwyczaj rozgrzaną ulicą w nadzwyczaj upalny dzień.

— Bardzo zgrabna uwaga, Hastings. Przynajmniej raz mnie zakasowałeś, przyznaję.

Littlegreen House znaleźliśmy bez trudu, lecz na miejscu czekało nas wielkie zaskoczenie — tablica biura nieruchomości.

Kiedy się w nią wpatrywaliśmy, moją uwagę przyciągnęło szczekanie. Krzewy się w tym miejscu przeredzały i psa dało się dostrzec bez trudu. Był to szorstkowłosy terier o nieco zmierzwionej sierści. Stał na szeroko rozstawionych łapach, lekko przechylony na jedną stronę, i szczekał, wyraźnie zadowolony ze swojego wystąpienia, co wskazywało, że kierują nim jak najbardziej przyjazne pobudki.

— Dobry ze mnie stróż, co? — zdawał się mówić. — Nie przejmujcie się. To tylko taka zabawa. Obowiązek oczywiście też. Muszę pokazać, że ktoś tu pilnuje obejścia. Śmiertelnie nudny poranek. Prawdziwe błogosławieństwo, że wreszcie mam co robić. Przyszliście do nas? Mam nadzieję. Jest piekielnie nudno. Przydałaby się mała pogawędka.

— Witaj, stary — powiedziałem i podetknąłem mu pięść.

Wyciągnąwszy szyję między sztachetami, węszył podejrzliwie, potem zamachał lekko ogonem, wydając kilka krótkich szczęknięć.

— Nie zostaliście właściwie przedstawieni, więc muszę być nadal czujny. Widzę jednak, że wiecie, jak obłaskawić psa.

— Dobry piesek — rzekłem.

— Hau — odezwał się przyjaźnie terier.

— No i co, Poirot? — spytałem, urywając tę rozmowę i zwracając się do przyjaciela.

Na jego obliczu malował się osobliwy wyraz — taki, którego nie mogłem do końca przeniknąć. Coś w rodzaju rozmyślnie tłumionego podniecenia — to określenie oddaje go chyba najtrafniej.

— Wypadek z piłką psa — wymamrotał. — Cóż, przynajmniej mamy psa.

— Hau — zauważył nasz nowy przyjaciel. Następnie usiadł, ziewnął szeroko i spojrzał na nas z nadzieją.

— Co teraz? — zapytałem.

Pies zdawał się pytać o to samo.

— *Parbleu*, idziemy do panów — jak im tam — Gablera i Stretchera.

— To byłoby wskazane — zgodziłem się. Zawróciliśmy, a nasz psi znajomy kilkakrotnie zaszczał za nami z oburzeniem.

Biuro panów Gablera i Stretchera było usytuowane w rynku. Weszliśmy do ciemnego pomieszczenia, gdzie zostaliśmy przyjęci przez młodą kobietę o pozbawionych blasku oczach i z przerośniętym trzecim migdałkiem.

— Dzień dobry — przywitał ją uprzejmie Poirot. Młoda kobieta rozmawiała w tym momencie przez telefon, ale wskazała krzesło i Poirot usiadł. Ja znalazłem drugie i przysunąłem je sobie.

— Trudno powiedzieć — rzekła obojętnie do słuchawki. — Nie, nie wiem, jakie będą opłaty... Słucham? Och, myślę, że wodociąg, ale nie mam całkowitej pewności... bardzo mi przykro, proszę mi wierzyć... Nie, wyszedł... Niestety, nie potrafię powiedzieć... Tak, oczywiście, poproszę go... Tak... 8135? Przepraszam, nie dosłyszałam. Aha... 8935... 39... ach, 5135... Tak, przekażę, żeby do pani zadzwonił... po szóstej... Och, przepraszam, przed szóstą... Bardzo pani dziękuję.

Odłożyła słuchawkę, naprędce zanotowała numer 5319 i skierowała na Poirota spojrzenie odrobinę badawcze, ale nie wyrażające zainteresowania.

Poirot rozpoczął z werwą.

— Zauważyłem dom na sprzedaż położony tuż na skraju miasteczka. Nazywa się chyba Littlegreen House.

— Słucham?

— Dom na sprzedaż lub do wynajęcia — powtórzył Poirot powoli i dobitnie. — Littlegreen House.

— Ach, Littlegreen House — odparła półprzytomnie młoda kobieta. — Powiedział pan: Littlegreen House?

— Tak jest.

— Littlegreen House — rzekła kobieta, czyniąc nadludzki wysiłek umysłowy. — Cóż, pan Gabler pewnie będzie coś o tym wiedział.

— Czy mógłbym widzieć się z panem Gablerem?

— Wyszedł — odrzekła kobieta z nutą słabej, anemicznej satysfakcji osoby, która mówi: „punkt dla mnie”.

— Orientuje się pani, kiedy wróci?

— Nie wiem dokładnie.

— Rozumie pani, rozglądam się za domem w tej okolicy — odezwał się Poirot.

— Ach tak? — powiedziała bez cienia zainteresowania.

— A Littlegreen House wydaje się być dokładnie tym, czego szukam. Zechce mi pani podać szczegółowe dane?

— Szczegółowe dane? — kobieta sprawiała wrażenie wstrząśniętej.

— Dane na temat Littlegreen House.

Z ociąganiem otworzyła szufladę i wyjęła niechlujny segregator z dokumentami. Po chwili zawołała:

— Janie!

Siedzący w kącie chudy młodzieniec podniósł wzrok.

— Tak?

— Mamy dokładne dane... o co pan pytał?

— O Littlegreen House — powiedział wyraźnie Poirot.

— Tutaj wisi jego duże zdjęcie — zauważyłem, wskazując na ścianę.

Spojrzała na mnie chłodno. Dwóch przeciw jednemu, zdawała się mówić, to nieuczciwa gra. Wezwała posiłki.

— Nie wiesz nic na temat Littlegreen House, prawda, Janie?

— Nie, proszę pani. Powinno coś być w segregatorze.

— Przykro mi — rzekła młoda kobieta, nawet nie zaglądając do środka. — Musieliśmy rozesłać

wszystkie informacje.

— *C'est dommage.*

— Słucham?

— Szkoda.

— Mamy ładny dom parterowy przy Hemel End — dwie sypialnie, salon.

Mówiła bez entuzjazmu, sprawiając jednak wrażenie osoby, która stara się wypełnić swe obowiązki wobec pracodawcy.

— Dziękuję, nie.

— Jest jeszcze dom dwurodzinny z małą oranżerią. Mogę podać panu szczegółowy opis.

— Nie, dziękuję. Interesuje mnie wysokość czynszu za Littlegreen House.

— On nie jest do wynajęcia — odpowiedziała, porzucając postawę całkowitej niewiedzy na temat omawianego domu na rzecz przyjemności ze zdobycia punktu na swoją korzyść. — Tylko do natychmiastowej sprzedaży.

— Na tablicy napisano: do wynajęcia lub na sprzedaż.

— Nie potrafię nic o tym powiedzieć, ale ten dom przeznaczony jest wyłącznie na sprzedaż.

W tym momencie słownej potyczki otworzyły się drzwi i do środka gwałtownie wszedł siwowłosa mężczyzna w średnim wieku. Omiótł nas wojowniczym spojrzeniem. Uniósł brew w niemym pytaniu skierowanym do swej pracownicy.

— To jest pan Gabler — powiedziała młoda kobieta. Pan Gabler szerokim gestem otworzył drzwi do gabinetu.

— Proszę tutaj, panowie.

Wprowadził nas do środka, obszernym ruchem ramienia usadził na krzesłach, a sam zajął miejsce za biurkiem naprzeciw nas.

— Czym mogę panom służyć? Poirot zaczął wytrwale od początku.

— Pragnąłem poznać parę szczegółów na temat Littlegreen House...

Nie zdążył nic więcej dodać. Pan Gabler przejął sprawę we własne ręce.

— A, Littlegreen House — to jest nieruchomość! Wyjątkowa okazja. Dopiero pojawiła się w ofercie. Mogę panom powiedzieć, że nieczęsto się zdarza, by dom tej klasy sprzedawano za taką

cenę. Gdzie nie spojrzeć, widać oznaki dobrego smaku. Ludzie mają dosyć tandetnego budownictwa. Szukają czegoś w dobrym stanie. Porządnego, solidnego domu. Piękna posiadłość — z charakterem, z atmosferą — na wskroś georgiańska. Oto czego pragnie dzisiejszy klient — stylowe domy są w cenie, chyba mnie panowie rozumieją. Tak, Littlegreen House nie zagrzeje długo miejsca w ofercie sprzedaży. Będą go sobie wrywać! Już w minioną sobotę przyjechał go obejrzeć członek parlamentu. Dom przypadł mu do gustu tak bardzo, że zapowiedział się ponownie w najbliższy weekend. Interesuje się nim również gentleman z giełdy. W dzisiejszych czasach ludzie chcą mieć na wsi ciszę i spokój, pragną mieszkać z dala od ruchliwych dróg. Niektórym to wystarcza, ale my przyciągamy tutaj ludzi z klasą. Bo ten dom właśnie to ma. Klasę! Muszą panowie przyznać, że w tamtych czasach potrafiono budować dla gentlemanów. Tak, Littlegreen niedługo pozostanie w naszym rejestrze.

Pan Gabler przerwał dla zaczerpnięcia powietrza.

— Czy przez ostatnie kilka lat często zmieniał właściciela? — spytał Poirot.

— Wprost przeciwnie. Pozostawał w rękach jednej rodziny. Przez ponad pięćdziesiąt lat należał do Arundellów. Rodzina bardzo poważana w miasteczku. Damy starej daty.

Zerwał się z miejsca, otworzył drzwi i zawołał:

— Panno Jenkins, dane dotyczące Littlegreen House. Szybko.

Wrócił do biurka.

— Potrzebuję domu mniej więcej w takiej odległości od Londynu — oznajmił Poirot. — Na wsi, lecz nie w wiosce zabitej deskami, jeśli mnie pan rozumie...

— Doskonale, doskonale. Zapadłe dziury nie wchodzą w rachubę. Po pierwsze, nie lubi ich służba. Tutaj jednak ma pan zalety wsi bez wad wiejskiego życia.

Panna Jenkins wśliznęła się do środka z zapisaną maszynowo kartką papieru, którą położyła przed swoim pracodawcą, a ten odprawił ją skinieniem głowy.

— Proszę — powiedział pan Gabler i zaczął recytować z wyćwiczoną szybkością. — Stylowy dom o wyrazistym charakterze, cztery salony, osiem sypialni z ubieralniami, typowe pomieszczenia niemieszkalne, wygodna kuchnia, obszerne zabudowania dodatkowe, stajnie, itd. Bieżąca woda, ogrody w dawnym stylu, niewielkie koszty utrzymania, w sumie trzy akry powierzchni, dwie altany, itd., itd. Cena 2850 funtów lub zbliżona oferta.

— Może mi pan dać zlecenie obejrzenia posiadłości?

— Naturalnie, drogi panie.

Pan Gabler energicznie zaczął pisać.

— Pańskie nazwisko i adres?

Ku mojemu lekkiemu zdziwieniu Poirot podał nazwisko Parotti.

— Mamy dwie inne nieruchomości, które mogą pana zainteresować — kontynuował pan Gabler.

Poirot pozwolił mu dopisać jeszcze dwa adresy.

— Littlegreen House można obejrzyć o dowolnej porze? — zapytał.

— Oczywiście, drogi panie. W domu stale przebywa służba. Dla pewności mogę zadzwonić. Wybierają się tam panowie natychmiast czy po lunchu?

— Po lunchu byłoby lepiej.

— Naturalnie, naturalnie. Zadzwonię i uprzedzę, by oczekiwano panów około drugiej. To panom odpowiada?

— Tak, dziękuję. O ile dobrze zapamiętałem, właścicielką domu jest niejaka panna Arundell?

— Lawson. Panna Lawson. Tak nazywa się obecna właścicielka. Muszę z przykrością powiedzieć, że panna Arundell niedawno zmarła. Dlatego dom został wystawiony na sprzedaż. I mogę pana zapewnić, iż pójdzie jak woda. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. A tak między nami, powiem panu w zaufaniu, że jeśli rozważy pan złożenie oferty, radziłbym się pośpieszyć.

Jak już wspomniałem, interesują się nim dwaj gentlemani, i nie byłbym zdziwiony, gdyby któryś z nich lada chwila zdecydował się na kupno. Jeden wie o zamiarach drugiego, rozumie pan. A nie ulega wątpliwości, iż nic tak nie zagrzewa do działania jak współzawodnictwo. Ha, ha! Nie chciałbym, żeby spotkało pana rozczarowanie:

— Pannie Lawson zależy na sprzedaży, jak wnioskuję. Pan Gabler zniżył konfidencjonalnie głos.

— Właśnie. Posiadłość jest dla niej za duża — to samotna kobieta w średnim wieku. Chce się jej pozbyć i kupić dom w Londynie. Zupełnie zrozumiałe. Dlatego cena jest tak śmiesznie niska.

— Może będzie zatem otwarta na propozycje?

— Otóż to, sir. Niech pan złoży swoją ofertę na dobry początek. Może mi pan wierzyć, że nie będzie trudności z uzyskaniem ceny zbliżonej do wywoławczej. Jakże absurdalnie niskiej! Zbudowanie takiego domu w dzisiejszych czasach kosztowałoby sześć tysięcy i ani pensa mniej. Nie wspominając już o wartości ziemi oraz cennej fasadzie.

— Panna Arundell zmarła dość nagle, prawda?

— Och, tego bym nie powiedział. Podeszły wiek... podeszły wiek. Już dawno stuknęło jej siedemdziesiąt lat. A do tego chorowała od dłuższego czasu. Ostatnia z rodu. Być może słyszał pan o tej rodzinie?

— Znam kilka osób noszących to nazwisko, którzy mają krewnych w tej części świata. Pewnie to ta

sama rodzina.

— Bardzo prawdopodobne. Były cztery siostry. Jedna dość późno wyszła za mąż, a pozostałe trzy mieszkały tutaj. Damy starej daty. Panna Emilia żyła najdłużej. Bardzo ją ceniono w naszym miasteczku.

Pochylił się i wręczył Poirotowi zlecenia.

— Wstąpi pan potem do mnie i powie, jak się podobało? Oczywiście tu i ówdzie dom może wymagać drobnej modernizacji, ale tego należy się spodziewać. Zawsze mawiam: jaki problem z jedną czy dwoma łazienkami? Łatwa przeróbka.

Wyszliśmy, a ostatnim dźwiękiem, jaki dobiegł naszych uszu, był obojętny głos panny Jenkins, informujący:

— Dzwoniła pani Samuels. Prosiła o kontakt telefoniczny — Holland 5391.

O ile mogłem sobie przypomnieć, nie był to ani numer, jaki panna Jenkins naprędce zanotowała w swoim bloczku, ani ten, który wreszcie dosłyszała w słuchawce.

Doszedłem do przekonania, iż bierze w ten sposób odwet za to, że została jednak zmuszona do odnalezienia informacji na temat Littlegreen House.



# Rozdział siódmy

## Lunch w zajezdzie U George'a

Kiedy znaleźliśmy się z powrotem na rynku, zauważyłem, że pan Gabler jest okropnym gadułą. Poirot zgodził się z uśmiechem.

— Będzie dość rozczarowany, jeśli nie wrócisz — rzekłem. — Pewnie mu się wydaje, że już ci ten dom sprzedał.

— Tak, w istocie, obawiam się, że czeka go zawód.

— Równie dobrze możemy zostać tu na lunch, zanim wyruszymy do Londynu. Czy wolisz zjeść w jakimś bardziej odpowiednim miejscu w drodze powrotnej?

— Mój drogi, nie zamierzam tak szybko opuszczać Market Basing. Nie wykonaliśmy jeszcze zadania, z jakim tu przybyliśmy.

Wytrzeszczyłem ze zdumienia oczy.

— Chcesz powiedzieć... ależ, mój drogi, przecież to musztarda po obiedzie. Staruszka nie żyje.

— Właśnie.

Ton, jakim wypowiedział to jedyne słowo, sprawił, że utkwilem w nim spojrzenie twardsze niż zwykle. Było jasne, że ma bzika na punkcie tego chaotycznego listu.

— Poirot, skoro ona nie żyje, jaki sens tam iść? — odezwałem się łagodnie. — Od niej już się niczego nie dowiesz. Cokolwiek ją trapiło, teraz już po wszystkim, kropka.

— Z jakąż łatwością i lekkomyślnością odkładasz sprawę na bok! Pozwól, że ci przypomnę — żadna sprawa nie jest zakończona, póki nie przestanie się nią zajmować Herkules Poirot!

Nauczony doświadczeniem powinienem był wiedzieć, że perswadowanie czegokolwiek Poirotowi jest całkowicie bezcelowe. Nieostrożnie ciągnąłem dalej.

— Ale ponieważ nie żyje...

— Właśnie, Hastings. Właśnie. Właśnie, właśnie, właśnie... Bez przerwy powtarzasz ten znaczący szczegół, z cudowną tępotą lekceważąc jego znaczenie. Nie rozumiesz jego doniosłości? Panna Arundell nie żyje.

— Mój drogi Poirot, umarła w sposób zupełnie naturalny i zwyczajny. W jej śmierci nie było nic zastanawiającego albo niewyjaśnionego. Tak powiedział Gabler.

— Powiedział również, że 2850 funtów za Littlegreen House to okazja. Czy to także przyjmujesz za świętą prawdę?

— Bynajmniej. Uderzyło mnie, jak dwoił się i troił, żeby znaleźć kupca — prawdopodobnie dom wymaga modernizacji od piwnic aż po dach. Mogę przysiąc, że Gabler — czy raczej jego klientka — będzie gotów przystać na dużo niższą cenę. Musi być piekielnie trudno pozbyć się tych obszernych georgiańskich willi stojących przy samej ulicy.

— *Eh bien* — rzekł Poirot. — Nie mów więc: „Przecież Gabler tak powiedział”, jak gdyby był natchnionym prorokiem, który nie może kłamać.

Już miałem protestować, ale w tej chwili przekroczyliśmy próg zajazdu U George’a i Poirot z wymownym cmoknięciem położył kres dalszej rozmowie.

Skierowano nas do baru kawowego, sali o wspaniałych proporcjach i szczelnie zamkniętych oknach, w której czuć było nieświeżym jedzeniem. Obsłużył nas podstarzały kelner, powolny, posapujący mężczyzna.

Najwyraźniej byliśmy tam jedynymi gośćmi. Zjedliśmy wyśmienitą baraninę, po dużej porcji wodnistej kapusty i trochę nijakich ziemniaków. Potem podano wyzuty ze smaku kompot z owocami i krem. Gdy zagryźliśmy krakersami z serem gorgonzola, kelner przyniósł dwie filiżanki podejrzanej ciecicy zwanej kawą.

Wtedy Poirot wyjął zlecenia z agencji nieruchomości i zasięgnął u kelnera języka.

— Tak, proszę pana. Wiem, gdzie znajduje się większość tych miejsc. Hemel Down jest trzy mile stąd, przy Much Benham Road — raczej niewielka posiadłość. Naylor’s Farm leży jakąś milę stąd. Niedaleko za King’s Head odbiega w tamtą stronę mała dróżka. Bisset Grange? Nie, o tym nigdy nie słyszałem. Littlegreen House jest blisko stąd, nie więcej niż kilka minut na piechotę.

— Zdaje się, że widziałem już ten dom od zewnątrz. Najprawdopodobniej chodzi właśnie o niego. Jest w dobrym stanie?

— O tak, proszę pana. W dobrym — zdrowy dach, rynny, wszystko. Oczywiście jest staromodny. Nigdy go w żaden sposób nie modernizowano. Ogród to prawdziwe cacko. Był oczkiem w głowie panny Arundell.

— Należy, jak widzę, do niejakiej panny Lawson.

— Zgadza się, proszę pana. Panna Lawson była towarzyszką panny Arundell i kiedy starsza pani zmarła, wszystko dostało się jej — dom i cała reszta.

— Coś takiego? Pewnie nie miała żadnych krewnych, którym mogłaby go zapisać?

— To nie całkiem tak, proszę pana. Miała bratanka, bratanicę, siostrzenicę. No, ale panna Lawson była przy niej cały czas. Sama też już ma swoje lata i... no i tak jakoś wyszło.

— W każdym razie spodziewam się, że zostawiła tylko dom, a pieniędzy niewiele?

Wielekroć miałem okazję zaobserwować, że w sytuacji, kiedy bezpośrednim pytaniem nie udaje się wydobyć odpowiedzi, błędne przypuszczenie dostarcza bezzwłocznie potrzebnych informacji.

— A gdzie tam, proszę pana. Bynajmniej. Wszyscy byli zdumieni kwotą, jaką zostawiła starsza pani. Było wypisane w testamencie. Zdaje się, że przez długie lata żyła dużo skromniej niż pozwalały jej dochody. Zostawiła jakieś trzysta albo czterysta tysięcy funtów.

— Pan mnie zadziwia! — wykrzyknął Poirot. — To brzmi jak bajka. Uboga towarzyszka nagle przemienia się w niesłychaną bogaczkę. Czy panna Lawson jest jeszcze młoda? Będzie mogła korzystać ze świeżo zdobytej fortuny?

— Nie, proszę pana, to osoba w średnim wieku.

Słowo „osoba” wypowiedział po mistrzowsku, niczym wytrawny aktor. Było jasne, że panna Lawson nie liczyła się w Market Basing ani trochę.

— Krewni musieli doznać rozczarowania — zamyślił się Poirot.

— Owszem, proszę pana, sędzę, że spadło to na nich jak grom z jasnego nieba. Zupełnie się nie spodziewali. W Market Basing wywołało to poruszenie. Niektórzy uważają, że nie powinno się wydziedziczać własnej rodziny. Ale są i inni, zdaniem których każdy ma prawo robić ze swoim majątkiem, co mu się żywnie podoba, i jedni i drudzy mają oczywiście poniekąd rację.

— Panna Arundell mieszkała tutaj wiele lat, prawda?

— Tak jest. Ona, jej siostry, a jeszcze wcześniej ich ojciec, stary generał Arundell. Nie żebym go pamiętał, ale był, zdaje się, dość znaną postacią. Brał udział w rewolcie sipajów.

— Miał kilka córek?

— Ja pamiętam trzy, ale była jeszcze jedna, która wyszła za mąż. Tak, panna Matyllda, panna Agnieszka i panna Emilia. Panna Matyllda umarła pierwsza, potem panna Agnieszka i na końcu panna Emilia.

— Stało się to całkiem niedawno?

— Na początku maja — albo w końcu kwietnia.

— Chorowała?

— Z przerwami. Miała słabe zdrowie. W zeszłym roku o mało nie wylądowała na tamtym świecie z powodu żółtaczki. Później przez jakiś czas była żółta jak cytryna. Tak, przez ostatnie pięć lat życia niedomagała.

— Macie tu pewnie kilku dobrych lekarzy?

— Jest doktor Grainger. Będzie prawie czterdzieści lat, odkąd tu mieszka i ludzie chodzą głównie do niego. Trochę z niego dziwak i ma swoje humory, ale to dobry lekarz, nie ma lepszego. Pomaga mu młody doktor Donaldson. Należy do tych nowomodnych doktorów. Niektórzy go wolą. No i jest jeszcze doktor Harding, ale on robi niewiele.

— Lekarzem panny Arundell był pewnie doktor Grainger?

— O tak. Nieraz wybawił ją od śmierci. To taki typ, który, czy się chce, czy nie, zmusza człowieka do życia.

Poirot pokiwał głową.

— Warto zaczerpnąć trochę informacji o miejscu, zanim człowiek osiadzie tam na dobre — zauważył. — A dobry lekarz jest jedną z najważniejszych osób.

— Święta prawda, proszę pana.

Poirot poprosił o rachunek, do którego dodał suty napiwek.

— Dziękuję. Bardzo panu dziękuję. Mam szczerą nadzieję, że się pan u nas osiedli.

— Ja również — oświadczył kłamliwie Poirot.

Wyszliśmy od George'a i ruszyliśmy w drogę.

— Zadowolony, Poirot? — spytałem, gdy wyszliśmy na ulicę.

— Ani trochę, mój przyjacielu. Nieoczekiwanie skręcił.

— Dokąd to?

— Do kościoła, przyjacielu. Może trafię na coś ciekawego. Tablice nagrobne, jakiś stary pomnik.

Z powątpiewaniem potrząsnąłem głową.

Poirot dokonał krótkich oględzin wnętrza kościoła. Choć świątynia stanowiła ładny przykład stylu, który w przewodnikach turystycznych zwą wczesnym gotykiem angielskim, została tak skrupulatnie odrestaurowana w barbarzyńskich czasach wiktoriańskich, że zachowało się niewiele interesujących rzeczy.

Następnie Poirot włóczył się na pozór bez celu po kościelnym cmentarzu, odczytując niektóre epitafia, rzucając uwagi na temat liczby zgonów w pewnych rodzinach, od czasu do czasu wydając z siebie okrzyki na widok co bardziej oryginalnych nazwisk.

Nie byłem jednak zaskoczony, kiedy wreszcie zatrzymał się przed czymś, co — jak byłem całkowicie pewien — od samego początku stanowiło cel tej wycieczki. Na okazałym marmurowym nagrobku widniały częściowo zatarte napisy:

POŚWIĘCONY PAMIĘCI

JANA LAYERTONA ARUNDELLA

GENERAŁA 24 DYWIZJI SIKHÓW

KTÓRY ZASNAŁ W CHRYSTUSIE 19 MAJA 1888 ROKU

W WIEKU 69 LAT

„WALCZ W SŁUSZNEJ SPRAWIE ZE WSZECH SIŁ”

ORAZ

MATYLDY ANNY ARUNDELL

ZMARŁEJ 10 MARCA 1912 ROKU

„POWSTANĘ I PÓJDĘ DO MOJEGO OJCA”

ORAZ

AGNIESZKI GEORGINY MARIII ARUNDELL

ZMARŁEJ 20 LISTOPADA 1921 ROKU

„PROŚCIE, A BĘDZIE WAM DANE”

Na samym spodzie widniał zupełnie nowy napis, najwyraźniej dopiero co wryty:

ORAZ

EMILII HARRIET LAYERTON ARUNDELL

ZMARŁEJ 1 MAJA 1936 ROKU

„BĄDŹ WOLA TWOJA”

Poirot przyglądał mu się przez chwilę. Cicho mamrotał:

— 1 maja... 1 maja... A dzisiaj, dwudziestego ósmego czerwca, dostaję od niej list. Rozumiesz chyba, Hastings, że ten fakt wymaga wyjaśnienia?

Rozumiałem. To znaczy wiedziałem, że Poirot zdecydował, iż trzeba koniecznie wyświecić tę sprawę.

# Rozdział ósmy

## W Littlegreen House

Opuściwszy cmentarz, Poirot zważowo ruszył w kierunku Littlegreen House. Wywnioskowałem, iż nadal ma zamiar odgrywać rolę zapowiedzianego nabywcy. Ostrożnie trzymając w ręku zlecenia upoważniające do obejrzenia rozmaitych nieruchomości, w tym do Littlegreen House na samym wierzchu, pchnął furtkę i podążył ku frontowym drzwiom.

Tym razem nie było nigdzie widać naszego przyjaciela teriera, lecz z wnętrza domu, i to z pewnej odległości, dobiegało szczekanie — domyśliłem się, że z kuchni.

Usłyszeliśmy kroki w holu. Drzwi otworzyła kobieta o sympatycznej twarzy, w wieku pięćdziesięciu— sześć— dziesięciu lat, bezspornie w typie rzadko już dziś widywanej staroświeckiej służącej.

Poirot przedstawił swe listy polecające.

— Tak, proszę pana, dzwonił agent. Proszę tędy. Okiennice, które, jak zauważyłem, były zamknięte podczas naszego pierwszego rekonesansu, otwarto teraz na oścież w oczekiwaniu wizyty. Spostrzegłem, że wszystko lśni czystością i jest dobrze utrzymane. Najwyraźniej nasza przewodniczka była z gruntu sumienną kobietą.

— Oto mały salon, proszę pana.

Rozejrzałem się wokół z aprobatą. Przyjemny pokój z wysokimi oknami wychodzącymi na ulicę. Umebłowano go porządnymi, masywnymi, staroświeckimi sprzętami, głównie wiktoriańskimi, ale stała tam również biblioteczka Chippendale'a oraz komplet krzeseł Hepplewhite'a.

Poirot i ja zachowywaliśmy się tak, jak zwykli zachowywać się ludzie, których oprowadza się po domu. Staliśmy nieruchomo, odrobinę skrępowani, mamrocząc uwagi w rodzaju: „bardzo ładne”, „bardzo przyjemny pokój”. „A więc to jest salonik?”

Pokojówka poprowadziła nas do pokoju po przeciwnej stronie holu. Był dużo większy.

— Jadalnia — wyjaśniła.

Ten pokój miał zdecydowanie wiktoriański charakter. Ciężki mahoniowy stół, masywny kredens z niemal purpurowego mahoniu zdobny w wielkie kiście rzeźbionych owoców, solidne, obite skórą krzesła. Na ścianie wisały obrazy — bez wątpienia rodzinne portrety.

Terier nadal ujadał w jakimś odosobnionym miejscu. Nagle dźwięk przybrał na sile. Dało się słyszeć, jak pies pędem przecina hol, szczekając coraz głośniejsze.

„Kto przyszedł? Rozerwę go na kawałki” — tak najwyraźniej brzmiał refren jego piosenki.

Pies pojawił się na progu, intensywnie węsząc.

— Och Bob, ty nieznośne stworzenie! — wykrzyknęła nasza przewodniczka. — Proszę nie zwracać na niego uwagi. Nie zrobi żadnej krzywdy.

Rzeczywiście, odkrywszy intruzów, Bob całkowicie zmienił swoje zachowanie. Pokręcił się koło nas i przedstawił w sympatyczny sposób.

— Miło mi was poznać — zauważył, węsząc wokół naszych kostek. — Wybaczcie ten jazgot, ale muszę robić, co do mnie należy. Pilnować, kogo wpuszczamy do środka, rozumiecie. Tylko że to takie nudne życie, więc naprawdę cieszę się na widok gości. Ty chyba masz psa, co?

Pytanie było skierowane do mnie, ponieważ schyliłem się i pogłaskałem Boba.

— Miły piesek — odezwałem się do kobiety. — Trzeba go jednak szczotkować.

— Tak, proszę pana, zwykle szczotkujemy go trzy razy do roku.

— To stary pies?

— Ależ skąd. Bob ma najwyżej sześć lat. A czasami wyprawia takie rzeczy, jakby był szczeniakiem. Porywa kapcie kucharce i parady z nimi. Jest bardzo łagodny, chociaż trudno w to uwierzyć, słysząc hałas, jakiego potrafi czasem narobić. Jediną osobą, na którą się rzuca, jest listonosz. Okropnie się go boi ten listonosz.

Bob zaczął badać nogawki spodni Poirota. Wywnioskowawszy z nich, ile się dało, pozwolił sobie na jedno dłuższe wciągnięcie w nozdrza zapachu (hmm, nienajgorzej, ale to nie jest prawdziwy miłośnik psów) i powrócił do mnie, zadzierając łeb i wpatrując się we mnie wyczekująco.

— Nie mam pojęcia, dlaczego psy zawsze atakują listonoszy, słowo daję — kontynuowała nasza przewodniczka.

— To kwestia rozumowania — rzekł Poirot. — Pies jest inteligentny, wyciąga wnioski według własnego punktu widzenia. Są ludzie, którzy mogą wchodzić do domu i są tacy, którym jest to zabronione — pies uczy się tego bardzo szybko. *Eh bien*, kto najuporczywiej ze wszystkich usiłuje dostać się do środka, kołacząc do drzwi dwa lub trzy razy dziennie — i kto nigdy, w żadnym wypadku nie zostaje wpuszczony? Listonosz. A zatem, najwyraźniej, jest to niepożądany gość. Zawsze odprawiają go z kwitkiem, a on uparcie wraca i próbuje od nowa. Wobec tego obowiązek psa przedstawia się jasno — pomagać w posyłaniu owego nieproszonego człowieka do wszystkich diabłów i ugryźć, jeśli się da. Postępowanie jak najbardziej racjonalne.

Uśmiechnął się promiennie do Boba.

— Bardzo inteligentne stworzenie.



— O tak, proszę pana. Bob jest prawie jak człowiek. Zamaszystym ruchem otworzyła kolejne drzwi.

— Oto salon.

Salon wywoływał wspomnienia przeszłości. W powietrzu unosił się lekki zapach potpourri. Perkalowe zasłony były podniszczone, wydrukowane na nich girlandy róż wypłowiwały. Na ścianach wisiały ryciny i akwarele. Dużo porcelany — kruche figurki pasterzy i pasterek. Wydziergane z włóczki poduszki. Wyblakłe fotografie w ładnych, srebrnych ramkach. Wiele puszek na herbatę oraz inkrustowanych pudełek z robótkami. Najbardziej ze wszystkiego zafascynowały mnie dwie przepięknie wycięte z bibułki postaci kobiet umieszczone pod szkłem. Jedna z kołowrotkiem, druga z kotem na kolanach.

Otoczyła mnie atmosfera minionych czasów, niespiesznych, pełnych dystynkcji, czasów „dam i gentlemanów”. Był to w istocie salon przeszłości. Tutaj siadywały damy z robótkami, a jeśli cieszący się szczególnymi względami przedstawiciel płci męskiej kiedykolwiek zapalił tu papierosa, jakież odbywało się potem trzepanie portier i generalne wietrzenie pokoju!

Moją uwagę zwrócił Bób. Siedział w pozie wyteżonej czujności tuż obok niewielkiego eleganckiego sekretarzyka z dwoma szufladami.

Kiedy zobaczył, że na niego patrzę, zaskomlał żałośnie, spoglądając to na mnie, to na sekretarzyk.

— Czego on chce? — spytałem.

Nasze zainteresowanie Bobem sprawiało oczywistą przyjemność pokojówce, która wyraźnie bardzo go lubiła.

— Chodzi mu o piłkę. Zawsze trzymano ją w tej szufladzie. Dlatego siedzi tu i prosi.

Jej głos się zmienił. Zwróciła się do Boba wysokim falsetem.

— Już jej tutaj nie ma, skarbie. Piłeczka Boba jest w kuchni. W kuchni, Bobik.

Bob niecierpliwie przeniósł wzrok na Poirota.

— Ta kobieta wygaduje bzdury — zdawał się mówić. — Ty wyglądasz na rozgarniętego gościa. Piłki są przechowywane w określonych miejscach — a ta szuflada jest jednym z nich. Zawsze leżała tutaj piłka. Dlatego powinna się tu znajdować i teraz. To jasna psia logika, prawda?

— Tutaj jej nie ma — powiedziałem.

Zerknął na mnie z powątpiewaniem. Gdy opuszczaliśmy pokój, powlókł się za nami bez przekonania.

Pokazywano nam rozmaite szafki, garderobę na dole i małą spiżarnię, „gdzie pani zwykle układała kwiaty”.

— Długo służyłaś u swojej pani? — zapytał Poi rot.

— Dwadzieścia dwa lata, proszę pana.

— Sama doglądasz domu?

— Ja i kucharka, proszę pana.

— Ona również długo pracowała u panny Arundell?

— Cztery lata, proszę pana. Stara kucharka umarła.

— A jeśli kupiłbym ten dom, byłabyś gotowa tu zostać?

Zaczerwieniła się odrobinę.

— Bardzo miło z pańskiej strony, naprawdę, ale zamierzam odejść ze służby. Pani zostawiła mi ładną sumkę i, widzi pan, wybieram się do brata. Zostałam tutaj tylko dla wygody panny Lawson, żeby dbać o dom, póki nie zostanie sprzedany.

Poirot pokiwał głową.

Zapadła chwilowa cisza, którą przerwał nowy odgłos.

Bum, bum, BUM.

Dochodzący z góry monotony dźwięk przybierał na sile.

— To Bob, proszę pana — uśmiechnęła się. — Dorwał się do swojej piłki i staczają ze schodów. Jego ulubiona zabawa.

Kiedy dotarliśmy do schodów, gumowa czarna piłeczka wylądowała z głuchym odgłosem na ostatnim stopniu. Chwyciłem ją i spojrzałem w górę. Bob leżał na najwyższym schodku z szeroko rozstawionymi łapami i lekko machał ogonem. Rzuciłem mu zabawkę. Złapał ją zręcznie, żuł przez chwilę z wyraźnym upodobaniem, następnie położył między łapami i delikatnie posuwał nosem naprzód, aż wreszcie piłka zatrzymała się na krawędzi, po chwili zaczęła toczyć się po schodach, a Bob śledził jej ruch szaleńczo merdając ogonem.

— Potrafi tak godzinami. To jego stała zabawa. Nie nudzi mu się przez cały dzień. Już dosyć, Bob. Panowie mają co innego do roboty niż się z tobą bawić.

Pies wspaniale ułatwia nawiązanie przyjaznych stosunków między ludźmi. Nasze zainteresowanie i sympatia dla Boba zupełnie przełamały zwyczajową sztywność w zachowaniu dobrej służącej. Kiedy wchodziliśmy na piętro z sypialniami, nasza przewodniczka stała się wręcz gadatliwa, relacjonując nam przejawy cudownej mądrości Boba. Piłka została u podnóża schodów. Kiedy mijaliśmy Boba, zwierzę spojrzało na nas z wyrazem głębokiej odrazy i dumnie zeszło na dół odzyskać zabawkę. Gdy skręcaliśmy w prawo, zobaczyłem, jak wspina się powoli po schodach z piłką w pysku, poruszając

się przy tym niczym sędziwy starzec, zmuszony przez bezmyślnych ludzi do nadmiernego wysiłku.

Kiedy pokojówka oprowadzała nas po sypialniach, Poirot zaczął stopniowo ciągnąć ją za język.

— Mieszkały tutaj cztery panny Arundell, prawda? — spytał.

— Pierwotnie tak, proszę pana, ale to było przede mną. Kiedy przyszedłam tu na służbę, mieszkały tu tylko panna Agnieszka i panna Emilia, a panna Agnieszka wkrótce umarła, choć najmłodsza z rodziny. Dziwne, że odeszła z tego świata przed siostrą.

— Pewnie była od niej słabsza?

— Nie, proszę pana, wcale nie. Moja panna Arundell, panna Emilia, miała zawsze wątłe zdrowie. Przez całe życie nie odstępowali jej lekarze. Panna Agnieszka była silna i krzepka, a mimo to odeszła wcześniej, a panna Emilia, delikatna od dziecka, przeżyła całą rodzinę. Bardzo dziwnie dzieje się na tym świecie.

— Zdumiewające, jakże często się tak zdarza. Poirot pogрузił się w (jestem pewien) od początku do końca zmyślonej historii o wujku inwalidzie, której nie będę się fatygował tutaj powtórzyć. Dość powiedzieć, że wywołała pożądaną efekt. Rozmowy o śmierci i sprawach tego rodzaju bardziej rozwiązują ludziom języki niż jakikolwiek inny temat. Poirot miał teraz możliwość zadawania pytań, które dwadzieścia minut wcześniej zostałyby potraktowane z podejrzliwą wrogością.

— Czy panna Arundell chorowała długo i ciężko?

— Tego bym nie powiedziała, proszę pana. Niedomagala od dłuższego czasu — będzie już ze dwie zimy. Wtedy było z nią bardzo źle — miała żółtaczkę. Żółta twarz, żółte oczy...

— Tak, tak... (Anegdota o kuzynie Poirota, który wyglądał jak ucieleśnienie żółtej śmierci.)

— Właśnie, dokładnie tak, jak pan mówi. Była okropnie chora, biedulka. Nie mogła zatrzymać niczego w żołądku. Jeśli chce pan wiedzieć, doktor Grainger myślał, że ona się już z tego nie wykaraska. Ale potrafił się z nią cudownie obchodzić — wie pan, besztal ją. „Postanowiła pani położyć się na wznak i zamówić nagrobek?” — pytał. A ona odpowiadała: „Nie straciłam jeszcze całkiem bojowego ducha, doktorze”, na co on mówił: „Właśnie — to chciałem usłyszeć”. Mieliśmy tu siostrę szpitalną i ona doszła do wniosku, że to już koniec — raz nawet powiedziała lekarzowi, że chyba lepiej nie męczyć za bardzo starszej pani, nakłaniając ją do jedzenia — ale doktor ją złajał. „Bzdura — powiedział — nie męczyć jej? Trzeba zmusić ją do przyjmowania pokarmu. Bulion wołowy Valentine’a o takiej a takiej godzinie, ekstrakt Branda, kilka łyżeczek koniaku do herbaty”. Na koniec powiedział coś, czego nigdy nie zapomnę. „Jesteś młoda, moja droga — rzekł do niej — nie zdajesz sobie sprawy, jak wspaniała wola walki tkwi w ludziach w podeszłym wieku. To młodzi idą na tamten świat, ponieważ nie zależy im wystarczająco na życiu. Pokaż mi jakąkolwiek osobę, która przeżyła ponad siedemdziesiąt lat, a pokażesz mi wojownika — kogoś, kto ma wolę życia”. I to prawda, proszę pana, starsi ludzie są tacy wspaniali. Ta ich witalność, zachowanie pełni władz umysłowych. Ale, jak się wyraził lekarz, właśnie dlatego dożywają sędziwego wieku.

— Bardzo głębokie słowa — bardzo głębokie! I panna Arundell taka była? Pełna wigoru? Ciekawa życia?

— O tak, proszę pana. Miała słabe zdrowie, ale umysł bystry jak nie wiem co. No i pokonała chorobę — zaskoczyła tym pielęgniarkę, oj zaskoczyła. To było młode, zadzierające nosa stworzenie w wykrochmalonym kołnierzu i mankietach, trzeba jej było usługiwać i bez przerwy podawać herbatę.

— Piękny powrót do zdrowia.

— Zaiste, proszę pana. Na początku pani musiała oczywiście ściśle przestrzegać diety, wszystko gotowane normalnie albo na parze, żadnego tłuszczu, i nie wolno jej było jeść jajek. Bardzo dokuczał jej ten brak urozmaicenia.

— Najważniejsze, że wyzdrowiała.

— Tak, proszę pana. Miewała co prawda drobne nawroty. Tak zwane ataki żółciowe. Gdy upłynęło trochę czasu, nie zawsze uważała na jedzenie — ale ataki nie były poważne aż do ostatniego.

— Przypominał ten sprzed dwóch lat?

— Tak, dokładnie to samo. Paskudna żółtaczka — znowu ten okropny żółty kolor — straszne wymioty i tak dalej. Obawiam się, że sama była sobie winna, biedaczka. Zjadła wiele rzeczy, których nie powinna była jeść. Tamtego wieczora, kiedy źle się poczuła, zjadła na kolację curry, a jak pan wie, curry jest pożywne i trochę tłuste.

— Choroba nadeszła znienacka, tak?

— Na to wyglądało, proszę pana, ale doktor Grainger powiedział, że rozwijała się od jakiegoś czasu. Stan pogorszyło przeziębienie — pogoda była bardzo zmienna — i zbyt bogata dieta.

— Zapewne jej towarzyska — ‘towarzystwa dotrzymywała jej, zdaje się, panna Lawson — mogła odwieść ją od spożywania tłustych potraw?

— Nie sądzę, by panna Lawson miała wiele do powiedzenia. Panna Arundell nie należała do osób, które słuchają czyichkolwiek rozkazów.

— Czy panna Lawson towarzyszyła jej przy poprzednim ataku?

— Nie, pojawiła się później. Mieszka tu mniej więcej od roku.

— Przypuszczam, że wcześniej były inne panie do towarzystwa?

— A jakże, i to niejedna.

— Nie zagrzewały miejsca tak długo jak służące

— powiedział z uśmiechem Poirot. Kobieta oblała się rumieńcem.

— Widzi pan, to co innego. Panna Arundell nie wychodziła zbyt często z domu, a biorąc to pod uwagę — urwała.

Poirot przypatrywał się jej przez chwilę, a potem rzekł:

— Rozumiem trochę mentalność starszych dam. Łakną nowości. Wyciągają z człowieka prawie wszystkie soki.

— Bardzo pan domyślny. Trafił pan w sedno. Kiedy przychodziła nowa pani, z początku panna Arundell zawsze się interesowała — wypytywała o życie, dzieciństwo, gdzie była, co sądzi o różnych sprawach — a potem, gdy znała ją już na wylot, zaczynała się... nudzić, myślę że to właściwe słowo.

— Właśnie! A tak między nami, panie do towarzystwa nie bywają zazwyczaj szczególnie interesujące ani zabawne, prawda?

— W rzeczy samej, proszę pana. Większość z nich to ubogie duchem istoty. Czasami do cna głupie. Panna Arundell szybko je, że tak powiem, odprawiała. A potem dla odmiany przyjmowała kogoś nowego.

— Musiała być jednak niezwykle przywiązana do panny Lawson.

— Nie wydaje mi się, proszę pana.

— Panna Lawson nie była kobietą wyjątkową?

— Nie powiedziałabym, proszę pana. Całkiem zwyczajna osoba.

— Lubiłaś ją?

Pokojówka wzruszyła lekko ramionami.

— Trudno ją było lubić czy nie lubić. Ciągle zrędziła — typowa stara panna z głową nabitą bzdurami o duchach.

— O duchach? — Poirot wzmógł czujność.

— O duchach, proszę pana. Siada się po ciemku wokół stolika, a wtedy z zaświatów powracają zmarli i przemawiają. Dla mnie to kompletna bezbożność — przecież wiadomo, że dusze zmarłych znajdują się w należnym im miejscu i nie mają możliwości go opuszczać.

— Zatem panna Lawson była spirytystką! Czy panna Arundell podzielała jej wiarę w spirytyzm?

— Panna Lawson nie posiadałaby się wówczas ze szczęścia! — odparła oschle. W jej głosie dała się wyczuć nuta złośliwej satysfakcji.

— Ale nie miała po temu okazji? — Poirot nie dawał za wygraną.

— Pani miała zbyt wiele zdrowego rozsądku — prychnęła. — Nie twierdzę, że jej to nie bawiło. „Jestem skłonna dać się przekonać”, mawiała. Ale często spoglądała na pannę Lawson, jak gdyby chciała powiedzieć: „Moja ty biedaczko, jakąż jesteś głupia, że dajesz się tak nabierać”.

— Rozumiem. Sama nie wierzyła, lecz było to dla niej źródłem rozrywki.

— Zgadza się, proszę pana. Zastanawiałam się czasami, czy... czy nie miała, że tak powiem, cichej uciechy, popychając stolik i tak dalej. Podczas gdy inni siedzieli ze śmiertelnie poważnymi minami.

— Inni?

— Panna Lawson i dwie panny Tripp.

— Czy panna Lawson głęboko wierzyła w spirytyzm?

— Brała wszystko za świętą prawdę.

— A panna Arundell była, bez wątpienia, mocno do niej przywiązana.

Po raz drugi Poirot rzucił tę samą uwagę i otrzymał odpowiedź identyczną jak poprzednio.

— Wcale nie, proszę pana.

— Ależ z całą pewnością — odparł Poirot. — Przecież zapisała jej cały majątek, czyż nie?

Zmiana była błyskawiczna. Miejsce gadatliwej kobiety zajęła poprawna pokojówka. Ellen wyprostowała się i odparła bezbarwnym głosem, w którym pobrzmiwał wyrzut za nadmierną poufałość:

— W jaki sposób pani rozdysonowała pieniądze to zupełnie nie moja sprawa.

Czułem, że Poirot spartaczył sprawę. Wprawiwszy kobietę w przyjacielski nastrój, teraz zaprzepścił zdobytą pozycję. Miał dość oleju w głowie, by nie podejmować od razu próby odzyskania straconego gruntu. Rzuciwszy banalną uwagę na temat wielkości oraz liczby sypialni, poszedł ku szczytowi schodów.

Bob zniknął, ale kiedy i ja podszedłem do schodów, potknąłem się i o mało nie upadłem. Chwyciwszy się poręczy dla złapania równowagi spojrzałem pod nogi i skonstatowałem, iż musiałem niechcący nadepnąć na piłkę Boba, którą zostawił na górze.

Kobieta pospieszyła z przeprosinami.

— Najmocniej przepraszam. To wina Boba. Zostawia tutaj piłkę, a na ciemnym chodniku jej nie widać. Kiedyś ktoś wylądował przez niego na tamtym świecie. Biedna pani niebezpiecznie upadła. Mogła z łatwością stracić życie.

Poirot zatrzymał się gwałtownie na schodach.

— Miała wypadek?

— Tak, proszę pana. Bob położył tutaj piłkę, jak to ma w zwyczaju, a pani wyszła z pokoju, przewróciła się o nią i spadła na sam dół. Mało brakowało, a byłaby się zabiła.

— Była mocno poturbowana?

— Nie tak, jak by się można spodziewać. Miała dużo szczęścia — tak powiedział doktor Grainger. Rozcięła sobie głowę i naciągnęła kark, była oczywiście posiniaczona i doznała okropnego szoku. Leżała w łóżku przez tydzień, ale nie stało się jej nic poważnego.

— Kiedy wydarzył się wypadek?

— Zaledwie tydzień lub dwa przed śmiercią.

Poirot schylił się, żeby podnieść coś, co upuścił.

— Przepraszam — moje pióro. A, jest tutaj. Wyprostował się.

— Pan Bob jest nieostrożny — zauważył.

— On tego nie rozumie — odparła kobieta pobłaźliwie. — Może i jest prawie jak człowiek, ale nie można wymagać zbyt wiele. Pani źle sypiała nocami, wstawiała, schodziła na dół i kręciła się .po domu.

— Robiła tak często?

— Prawie co noc. Ale nie zaprzętała swoimi sprawami ani panny Lawson, ani nikogo innego.

Poirot ponownie wszedł do salonu.

— Piękny pokój — rzucił. — Ciekaw jestem, czy w tej wnęce zmieści się moja biblioteczka? Jak sądzisz, Hastings?

Całkiem otumaniony oświadczyłem ostrożnie, że trudno orzec.

— Tak, łatwo się pomylić, jeśli chodzi o wymiar. Proszę cię, weź moją miarkę i zmierz szerokość wnęki, a ja zanotuję dane.

Posłusznie wziąłem do ręki składaną miarkę, którą podał mi Poirot, i zacząłem zdejmować rozmaite wymiary pod jego dyktando, podczas gdy on zapisywał je na odwrocie koperty.

Właśnie się zastanawiałem, dlaczego obrał tak niechlujną i obcą sobie metodę, zamiast wszystko starannie wpisać do notesu, kiedy wręczył mi kopertę ze słowami:

— Zgadza się, prawda? Na wszelki wypadek sprawdź.

Na kopercie nie było żadnych liczb. Widniał natomiast napis: „Kiedy znowu pójdziemy na górę, udaj, że przypomniałeś sobie właśnie o umówionym spotkaniu, i spytaj, czy możesz zatelefonować. Weź ze sobą służącą i zatrzymaj, jak długo się da”.

— W porządku — powiedziałem, wkładając kopertę do kieszeni. — Moim zdaniem obie biblioteczki mieszczą się doskonale.

— Nigdy nie zaszkodzi się upewnić. Jeśli nie sprawi to zbytniego kłopotu, chętnie zerknąłbym jeszcze raz na główną sypialnię. Niedokładnie pamiętam, ile jest tam miejsca przy ścianie.

— Oczywiście, proszę pana. To żaden kłopot.

Ponownie wspięliśmy się po schodach. Poirot zmierzył odcinek ściany i właśnie wygłaszał uwagi na temat możliwości ustawienia łóżka, szafy i biurka, gdy spojrzałem na zegarek, udałem nieco przesadny popłoch i wykrzyknąłem:

— Na Jowisza, wiesz, że jest już trzecia? Co sobie pomyśli Anderson? Powinienem do niego zatelefonować.

Zwróciłem się do kobiety.

— Czy mógłbym skorzystać z telefonu?

— Ależ proszę bardzo. Stoi w małym pokoiku obok holu. Zaprowadzę pana.

Pospieszyliśmy na dół, pokojówka wskazała mi aparat, a wtedy poprosiłem o pomoc w odszukaniu numeru w książce telefonicznej. Wreszcie wybrałem numer jakiegoś pana Andersena z sąsiedniego miasteczka Harchester. Na szczęście nie było go w domu, mogłem zatem zostawić wiadomość, mówiąc, że to nic pilnego i że zadzwonię później.

Kiedy wyłoniłem się z pokoiku, zastałem Poirota stojącego już na dole w holu. Jego oczy miały lekko zielone zabarwienie. Nie miałem pojęcia, skąd u niego to podniecenie, zdałem sobie jednak sprawę, iż coś go poruszyło. Powiedział:

— Upadek z samej góry schodów musiał przyprawić twoją panią o wielki szok. Czy potem mówiła coś o Bobie i jego piłce?

— Przedziwne, że właśnie o to się pan dopytuje. Bardzo się trapiła. Na łożu śmierci majaczyła ciągle o Bobie i piłce i mówiła coś beładnie o uchylonym obrazie.

— O uchylonym obrazie... — powtórzył w zadumie Poirot.

— Oczywiście nie miało to sensu, pani mówiła bez ładu i składu.

— Chwileczkę — muszę jeszcze raz zajrzeć do salonu. Błądził po pokoju, przyglądając się



ozdobom. Jego uwagę zwrócił zwłaszcza duży słój z pokrywką. Nie był, jak mi się zdaje, jakimś szczególnie pięknym przedmiotem z porcelany. Raczej przykładem wiktoriańskiego poczucia humoru — namalowano na nim dość niedbale wizerunek siedzącego pod drzwiami buldoga ze smętnym wyrazem pyska. Poniżej widniał napis: „Całą noc poza domem i bez klucza”. Poirot, który miał gust — o czym zawsze byłem przekonany — beznadziejnie burżujski, wyglądał na wniebowziętego.

— „Całą noc poza domem i bez klucza” — mamrotał. — Zabawne! Czy to także dotyczy naszego pana Boba? Zdarza mu się nie wracać na noc?

— Bardzo rzadko, proszę pana. Naprawdę bardzo rzadko. Bob to bardzo dobry pies.

— Nie wątpię. Ale nawet najlepsze psy...

— Święta prawda, proszę pana. Parę razy gdzieś przepadł i przyszedł do domu chyba o czwartej nad ranem. Wtedy siada na schodku i szczeka, póki się go nie wpuści.

— Kto go wpuszcza — panna Lawson?

— Kto tylko go usłyszy. Ostatnio otworzyła mu panna Lawson. To było w noc, kiedy pani miała wypadek. Bob wrócił około piątej rano. Panna Lawson pobiegła go wpuścić, żeby nie zdążył narobić hałasu. Bała się, że obudzi panią. Nie powiedziała jej, że się gdzieś zawieruszył, bo nie chciała jej martwić.

— Rozumiem. Uznała, iż lepiej nie mówić o tym panie Arundell?

— Tak właśnie powiedziała: „Na pewno wróci. Zawsze wraca, a pani może się zmartwić. Frasunek nikomu nie wychodzi na dobre”. Więc nie puściłyśmy pary z ust.

— Czy Bob lubił pannę Lawson?

— Raczej miał ją w pogardzie, jeśli wie pan, co mam na myśli. Psy potrafią. Dobrze go traktowała. Nazywała dobrym pieskiem albo grzeczną psiną, ale on patrzył na nią jakby z politowaniem i nie zwracał najmniejszej uwagi na to, co do niego mówi.

Poirot pokiwał głową.

— Rozumiem — rzekł.

Ni z tego ni z owego uczynił coś, co wprawilo mnie w osłupienie. Wyciągnął z kieszeni list — ten sam, który otrzymał rano.

— Ellen — powiedział — wiesz coś o tym?

Twarz pokojówki zmieniła się nie do poznania. Otworzyła usta i wytrzeszczyła na Poirota oczy z wyrazem niemal komicznego oszołomienia.

— Nigdy w życiu! — wykrzyknęła.

Uwadze tej brakowało być może logiki, lecz nie pozostawiała ona żadnej wątpliwości co do znaczenia słów Ellen. Wziąwszy się w garść, wolno zapytała:

— A więc pan jest gentlemanem, do którego zaadresowany był list?

— Tak. Nazywam się Herkules Poirot.

Zwyczajem większości ludzi Ellen nie spojrziała na nazwisko wpisane na zleceniu, które Poirot wręczył jej już w progu. Wolno skinęła głową.

— Zgadza się — rzekła. — Herkules Poirot. W nazwisku wyraźnie wymówiła literę T.

— A to się kucharka zdziwi! — zawołała. — Słowo daję!

Poirot rzucił szybko:

— Czyż nie byłoby rozsądnie pójść do kuchni i przedyskutować tę sprawę w towarzystwie twojej przyjaciółki?

— Skoro to panu nie przeszkadza...

Ellen wypowiedziała te słowa tonem, w którym pobrzmiewała tylko odrobina niepewności. Ten towarzyski dylemat był dla niej wyraźnie całkowitą nowością. Jednak trzeźwe zachowanie Poirota rozproszyło jej wątpliwości i bezzwłocznie podążyliśmy do kuchni, gdzie zastaliśmy tęgą kobietę o miłej twarzy, która właśnie zdejmowała czajnik z kuchenki gazowej. Ellen wyjaśniła jej sytuację:

— Nie uwierzysz, Annie. To do tego pana był zaadresowany list. Wiesz, ten, który znalazłam w papeterii.

— Proszę pamiętać, iż pozostaję w mroku niewiedzy — odezwał się Poirot. — Może zechcecie mi wyjaśnić, jak to się stało, że list został wysłany z takim opóźnieniem?

— Prawdę powiedziawszy, nie wiedziałam co począć. Żadna z nas nie wiedziała, prawda?

— W rzeczy samej — potwierdziła kucharka.

— Kiedy panna Lawson robiła porządki po śmierci pani, wiele rzeczy rozdała albo wyrzuciła. Była między nimi mała papeteria. Śliczna, z konwalią. Pani zawsze jej używała, kiedy pisała w łóżku. Panna Lawson jej nie chciała, więc dała ją mnie, razem z wieloma innymi drobiazgami, które należały do pani. Schowałam ją do szuflady i nie wyjmowałam aż do wczoraj. Miałam zamiar włożyć tam trochę nowej bibuły, żebym mogła z niej w każdej chwili skorzystać. Wewnątrz miała coś w rodzaju kieszonki. Wsunęłam tam rękę i natknęłam się ni mniej ni więcej tylko na list napisany ręką pani. Jak już mówiłam, nie wiedziałam, co właściwie mam z nim zrobić. Charakter pisma był na pewno pani, pomyślałam więc, że napisała list i włożyła tam z zamiarem wysłania następnego dnia, a potem o nim zapomniała, co zdarzało się biedaczce wiele razy. Kiedyś zapomniała o upoważnieniu do pobrania dywidendy z banku. Nikt nie miał pojęcia, gdzie się mogło zapodziać, aż wreszcie znalazło się wciśnięte do przegródki w biurku.

— Nie dbała o porządek?

— Wprost przeciwnie, proszę pana. Zawsze wszystko porządkowała i chowała. Pół biedy, gdyby zostawiała rzeczy na wierzchu. Szkopuł w tym, że ciągle je uprzątała, a potem zapominała, gdzie je położyła.

— Tak było na przykład z piłką Boba? — spytał Poirot z uśmiechem.

Mądry terier wpadł właśnie do domu i powitał nas na nowo w bardzo przyjazny sposób.

— I owszem, proszę pana. Gdy tylko Bob przestawał bawić się piłką, chowała ją. Jednak nie było z tym kłopotu, bo piłka miała swoje miejsce — szufladę, którą panu pokazywałam.

— Ach tak. Ale przerwałem ci. Proszę, mów dalej. Odnalazłaś list w papeterii?

— Tak, proszę pana. Tak właśnie było. Spytałam Annie, co radzi mi zrobić. Nie chciałam wrzucać go do kominka — i nie mogłam sama zdecydować o jego otwarciu, a ponieważ ani Annie, ani ja nie uważałyśmy, by był to jakikolwiek interes panny Lawson, zastanowiłyśmy się wspólnie, po czym po prostu przykleiłam znaczek i pobiegłam na pocztę wysłać list.

Poirot odwrócił się nieznacznie w moją stronę.

— *Voilà* — mruknął.

Nie mogłem się powstrzymać od złośliwej uwagi.

— Zdumiewające, jak proste może się okazać wyjaśnienie zagadki.

Uznałem, że wygląda na trochę strapionego i pożałowałem, iż tak pochopnie mu dokuczyłem. Zwrócił się ponownie do Ellen.

— Jak skonstatował mój przyjaciel: jakże proste może się okazać wyjaśnienie! Kiedy otrzymałem list datowany ponad dwa miesiące temu, byłem nieco zaskoczony.

— Wyobrażam sobie, proszę pana. O tym nie pomyślałyśmy.

— Ponadto — Poirot zakaszlał — znalazłem się w odrobinę kłopotliwym położeniu. Otóż ten list zawierał pewne zlecenie, które panna Arundell pragnęła mi powierzyć. W sprawie raczej poufnej — chrząknął znacząco. — Teraz, kiedy panna Arundell nie żyje, mam pewne wątpliwości co do dalszego działania. Czy panna Arundell życzyłaby sobie, abym w tych okolicznościach przyjął owo zlecenie, czy też nie? Trudna sprawa — bardzo trudna.

Obie kobiety spoglądały na niego z szacunkiem.

— Sądzę, iż będę musiał skontaktować się z prawnikiem panny Arundell. Miała prawnika, prawda?

Ellen pospieszyła z odpowiedzią.

— O tak, proszę pana. Pana Pundsę z Harchester.

— Orientował się we wszystkich jej sprawach?

— Chyba tak. Odkąd pamiętam, wszystkim się dla niej zajmował. To jego wezwała po upadku.

— Po upadku ze schodów?

— Tak, proszę pana.

— Zaraz, zaraz, kiedy dokładnie się to stało?

— Dzień po Poniedziałku Wielkanocnym. Dobrze pamiętam — wtrąciła się kucharka. — Widząc, że zjechało tylu gości, zostałam w poniedziałek na służbie, za to miałam wolne we środę.

Poirot błyskawicznym ruchem wydobyl kieszonkowy kalendarz.

— Właśnie, właśnie. Poniedziałek Wielkanocny wypadł w tym roku trzynastego. Wobec tego panna Arundell uległa wypadkowi czternastego. List do mnie został napisany trzy dni później. Szkoda, że go nie wysłano. Może jednak nie jest jeszcze za późno — urwał. — Skłonny jestem przypuszczać, że... że zadanie, które pragnęła mi powierzyć, miało związek z którymś z... gości, o jakich przed chwilą wspomniałaś.

Uwaga, która mogła być jedynie strzałem na oślep, spotkała się z natychmiastową reakcją. Po twarzy Ellen przemknęło porozumiewawcze spojrzenie. Odwróciła się do kucharki, a ta je odwzajemniła.

— Pewnie chodzi o pana Karola — odparła.

— Może mi powiecie, kto był wtedy obecny... — zasugerował Poirot.

— Doktor Tanios z żoną, to znaczy z panią Bellą, panna Teresa i pan Karol.

— Wszyscy są krewnymi?

— Tak jest, proszę pana. To znaczy oprócz doktora Taniosa. W ogóle to on jest, zdaje się, Grekiem, czy kimś takim. Poślubił panią Bellę, siostrzenicę panny Arundell. Pan Karol i panna Teresa są rodzeństwem.

— Ach tak, rozumiem. Rodzinne spotkanie. Kiedy goście wyjechali?

— W środę rano. A doktor Tanios i pani Bella przyjechali znowu w następny weekend, ponieważ martwili się o pannę Arundell.

— A pan Karol i panna Teresa?

— Oni przyjechali tydzień po nich. W ostatni weekend przed śmiercią pani.

Odniosłem wrażenie, że ciekawość Poirota jest wprost nienasycona. Nie potrafiłem dostrzec sensu w zadawaniu tych nie kończących się pytań. Tajemnica została wyjaśniona i, moim zdaniem, im szybciej wycofałby się ze sprawy z godnością, tym lepiej.

Wydawał się pochwyć moją myśl.

— *Eh bien* — rzekł. Otrzymałem bardzo przydatne informacje. Będę musiał zasięgnąć rady pana Purvisa — chyba tak brzmiało jego nazwisko? Serdecznie dziękuję za pomoc.

Schylił się i poklepał Boba.

— *Brave chien, va!*\* Kochałeś swoją panią.

Bob odpowiedział uprzejmie na te awanse i, ożywiony nadzieją drobnej zabawy, przyniósł spory kawałek węgla. Został za to skarcony, a węgiel mu odebrano. Posłał mi spojrzenie, szukając u mnie współczucia.

— Te kobiety — zdawał się mówić. — Nie żałują jedzenia, ale zabawa z nimi żadna.

# Rozdział dziewiąty

## Rekonstrukcja wypadku z piłką

— A więc, Poirot — odezwałem się, gdy zamknęła się za nami furтка Littlegreen House — teraz jesteś zadowolony, mam nadzieję.

— Tak, przyjacielu, jestem zadowolony.

— Dzięki Bogu! Wszystkie tajemnice wyjaśnione. Mit Niegodziwej Pani do Towarzystwa i Bogatej Starszej Damy obalony. Spóźniony list, a nawet sławetny wypadek z psią piłką ukazane w ich prawdziwych barwach. Wszystko rozstrzygnięte zadowolająco i bez zarzutu.

Poirot zakaszłał sucho i odparł:

— Nie użyłbym słowa „zadowolająco”, Hastings.

— Zrobiłeś to przed chwilą.

— Nie. Nie powiedziałem, że stan rzeczy mnie zadowala. Oznajmiłem, iż moja ciekawość została zaspokojona w sposób zadowolająco. Poznałem prawdę o wypadku z piłką.

— I jest ona nad wyraz prosta.

— Nie tak prosta, jak myślisz.

Kilka razy pokiwał głową, po czym ciągnął.

— Wiem o jednym drobiazgu, o którym ty nie wiesz.

— Cóż to takiego? — spytałem nieco sceptycznie.

— Wiem, że do listwy przy podłodze na szczycie schodów jest wbity gwóźdź.

Wytrzeszczyłem na niego oczy. Miał śmiertelnie poważną minę.

— Cóż — rzekłem po chwili. — Dlaczego miałoby go tam nie być?

— Należy raczej zapytać, po co tam jest?

— Skąd mam wiedzieć. Może z jakichś zwykłych domowych powodów. Czy to ważne?

— Naturalnie. Ale nie przychodzi mi do głowy żaden zwykły domowy powód, dla którego ktoś miałby przybijać gwóźdź do listwy w tym konkretnym miejscu. Ponadto był starannie pokryty

lakierem, aby nie rzucił się w oczy.

— Do czego zmierzasz, Poirot? Ty znasz powód?

— Mogę go sobie bez trudu wyobrazić. Gdybyś chciał rozciągnąć kawałek mocnej nici albo drutu w poprzek schodów na wysokości około stopy od podłogi, mógłbyś z jednej strony przywiązać ją do poręczy, ale od strony ściany potrzebowalbyś czegoś takiego jak gwóźdź.

— Poirot! — wykrzyknąłem. — Co ty, u licha, kombinujesz?

— *Mon cher ami*, odtwarzam przebieg wypadku z piłką. Chciałbyś posłuchać zrekonstruowanej przeze mnie wersji?

— Mów.

— *Eh bien*, oto ona. Ktoś zauważył zwyczaj zostawiania przez Boba piłki na górze schodów. Rzecz to niebezpieczna — może spowodować wypadek.

Poirot przerwał na chwilę, a następnie odezwał się nieco innym tonem.

— Gdybyś chciał kogoś zabić, Hastings, jak byś się do tego zabrał?

— No... nie wiem, naprawdę. Pewnie wymyśliłbym jakieś alibi.

— Postępowanie, zapewniam cię, zarówno trudne, jak i ryzykowne. Lecz ty nie jesteś przecież typem rozważnego mordercy, który zabija z zimną krwią. Nie przyszło ci do głowy, że najłatwiejszym sposobem usunięcia niepożądanego osoby ze swojej drogi jest wykorzystanie okoliczności wypadku? Wypadki zdarzają się nieustannie. A czasami, Hastings, można im w tym dopomóc.

Przerwał na chwilę, po czym kontynuował.

— Myślę, że piłka zostawiona przypadkowo na szczycie schodów podsunęła naszemu mordercy pomysł. Panna Arundell miała zwyczaj wychodzenia nocą ze swojego pokoju i krążenia po domu. Wzrok już jej nie dopisywał, było zatem w granicach prawdopodobieństwa, że może potknąć się o piłkę i spaść ze schodów głową naprzód. Lecz ostrożny morderca nie pozostawia niczego przypadkowi. Nic rozciągnięta w poprzek schodów byłaby znacznie skuteczniejsza. Spowodowałaby gwałtowny upadek głową w dół. A kiedy domownicy wybiegliby na korytarz — proszę bardzo, na podłodze leży wyraźnie widoczna przyczyna wypadku: piłka Boba.

— Straszne! — wykrzyknąłem.

Poirot odezwał się poważnym głosem.

— Tak, to było straszne... I zarazem niefortunne... Panna Arundell odniosła tylko lekkie obrażenia, chociaż mogła łatwo skrócić kark. Jakież rozczarowanie dla naszego nieznanego przyjaciela! Jednakże starsza pani miała bystry umysł. Wszyscy wmawiali jej, że potknęła się na piłce, tymczasem

ona sama, gdy odtwarzała w pamięci tamto wydarzenie, odniosła wrażenie, iż do wypadku doszło inaczej. Wcale nie potknęła się o piłkę. A w dodatku przypomniała sobie coś jeszcze. Przecież słyszała, jak Bob szczekał pod drzwiami nazajutrz o piątej rano. Taka wersja należy, przyznaję, do sfery domysłów, wierzę jednak, iż mam rację. Poprzedniego wieczoru panna Arundell osobiście włożyła piłkę Boba do szuflady. Potem pies wyszedł i nie wrócił. Wobec tego to nie Bob położył piłkę na schodach.

— To czysty domysł, Poirot — zaprotestowałem. Poirot wyraził sprzeciw.

— Niezupełnie, przyjacielu. Mając, panna Arundell wypowiedziała znaczące słowa — coś o piłce Boba i „uchylonym obrazie”. Rozumiesz, w czym rzecz?

— Ani trochę.

— Dziwne. Znam wasz język dostatecznie dobrze, aby zdać sobie sprawę, iż nie mówi się „uchylony obraz”. Uchylone mogą być drzwi. Obraz jest co najwyżej przekrzywiony.

— Albo po prostu krzywo wisi.

— Albo krzywy. Natychmiast uzmysłowiłem więc sobie, że Ellen pomyliła znaczenie zasłyszanych słów. Nie chodziło o obraz uchylony, lecz umieszczony. W salonie stoi dość widoczny porcelanowy słój. Od razu zauważyłem na nim wizerunek psa. Mając w pamięci słowa wymamrotane w malignie, poszedłem przyjrzeć mu się dokładniej. Spostrzegłem, że obrazek przedstawia psa, który nie wrócił na noc do domu. Rozumiesz bieg myśli trawionej gorączką kobiety? Bob, podobnie jak pies na obrazku, przepadł na całą noc, a zatem nie on zostawił piłkę na schodach.

Wydałem głośny okrzyk, czując na przekór sobie pewien podziw.

— Poirot, jesteś szatańsko zmyślny! Jak ty wpadasz na takie pomysły? To przechodzi ludzkie pojęcie!

— Ja na nic nie wpadam. Wszystko widać jak na dłoni. *Eh bien*, pojmujesz sytuację? Leżąc w łóżku po upadku panna Arundell zaczyna nabierać podejrzeń. Owe podejrzania są być może niedorzeczne i urojone, niemniej nie dają jej spokoju. „Od czasu wypadku z piłką psa ogarnia mnie coraz większy niepokój”. A zatem pisze do mnie list, który niestety dociera do mnie dopiero po upływie ponad dwóch miesięcy. Powiedz, czy ten list nie pasuje idealnie do faktów?

— Owszem — przyznałem. — Pasuje.’ Poirot ciągnął dalej:

— Jest jeszcze jeden szczegół wart zastanowienia. Panna Lawson nadzwyczaj zabiegała, aby wieść o nocnej nieobecności Boba nie doszła uszu panny Arundell.

— Myślisz, że ona...

— Myślę, iż ten fakt powinien być odnotowany bardzo starannie.

Przez kilka minut rozważałem w myślach sprawę.



— Cóż — odezwałem się wreszcie z westchnieniem. — To bardzo interesujące — jako ćwiczenie dla umysłu. Chylę przed tobą czoło. Dokonałeś mistrzowskiej rekonstrukcji wydarzeń. Doprawdy aż szkoda, że starsza dama nie żyje.

— Tak, szkoda. Pisze, że ktoś usiłował ją zamordować (bo ostatecznie do tego się rzecz sprowadza), a wkrótce potem umiera.

— Tak — odparłem. — A ty wielce się rozczarowałaś, że śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych, prawda? Przyznaj się.

Poirot wzruszył ramionami.

— Czy może uważasz, iż ją otruto? — dodałem jadowicie.

Poirot potrząsnął głową z pewnym zniechęceniem.

— Bez wątpienia wydaje się — potwierdził — iż panna Arundell zmarła śmiercią naturalną.

— I dlatego — rzekłem — wracamy do Londynu z podkulonym ogonem.

— Pardon, przyjacielu, wcale nie wracamy do Londynu.

— Jak to? — zawołałem.

— Jeśli pokażesz psu zająca, czy wróci on do Londynu? Nie, podąży do zajęczej nory.

— Nie rozumiem.

— Psy polują na zające. Herkules Poirot ściga morderców. Mamy tu mordercę — mordercę, któremu zbrodnia się być może nie powiodła, niemniej pozostaje on mordercą. I ja, mój przyjacielu, zamierzam dokopać się do jego bądź jej — zależnie od okoliczności — kryjówki.

Gwałtownie skręcił w furtkę.

— Dokąd idziesz, Poirot?

— Do nory, przyjacielu. To jest dom doktora Graingera, który leczył pannę Arundell w jej ostatniej chorobie.

Doktor Grainger był sześćdziesięciokilkuletnim mężczyzną. Miał kościstą, szczupłą twarz o wydatnym podbródku, krzaczaste brwi i bardzo przenikliwe oczy. Przeszywał wzrokiem to mnie, to Poirota.

— Czym mogę służyć? — spytał szorstko.

Poirot rozpoczął wyjątkowo kwieciście.

— Muszę przeprosić, doktorze Grainger, za to najście. I z miejsca przyznać, iż nie przybyłem tu po poradę lekarską.

— Cieszy mnie to. Wygląda pan dość zdrowo — odezwał się sucho doktor Grainger.

— Pragnę wyjaśnić cel mojej wizyty — kontynuował Poirot. — Prawda jest taka, iż piszę książkę — biografię generała Arundella, który, jak zdążyłem się zorientować, mieszkał w Market Basing kilka lat przed śmiercią.

Lekarz sprawiał wrażenie dość zaskoczonego.

— Istotnie, generał Arundell dożywał tutaj swych ostatnich dni. W Littlegreen House, zaraz za bankiem. Był pan tam?

Poirot przytaknął skinieniem głowy.

— Lecz miało to miejsce na długo przede mną, jak się pan zapewne domyśla. Przyjechałem tu w roku 1919.

— Znał pan jednak jego córkę, świętej pamięci pannę Arundell?

— Znałem dobrze Emilię Arundell.

— Wieść o jej niedawnej śmierci była dla mnie poważnym ciosem.

— Zmarła pod koniec kwietnia.

— Tak mi powiedziano. Liczyłem na uzyskanie od niej rozmaitych osobistych informacji o ojcu, wspomnień.

— Racja, racja. Nie rozumiem jednak, na co ja mógłbym się panu przydać.

Poirot zapytał:

— Czy żyją pozostali potomkowie generała Arundella?

— Nie. Wszyscy już poumierali.

— Ilu ich było?

— Pięcioro. Cztery córki i syn.

— A w następnym pokoleniu?

— Karol Arundell i jego siostra Teresa. Mógłby się pan z nimi skontaktować. Choć wątpię, czy na wiele by się to zdało. Młode pokolenie nie poświęca większej uwagi pokoleniu dziadków. Jest jeszcze pani Tanios, ale nie sądzę, by tu dowiedział się pan czegoś więcej.

— Może mają jakieś dokumenty rodzinne?

— Może. Chociaż wątpię. Wiele rzeczy wyrzucono i spalono po śmierci panny Emilii.

Poirot wydał jęk udręki.

Grainger spojrział na niego z zaciekawieniem.

— Skąd to zainteresowanie starym Arundellem? Nigdy nie słyszałem, żeby był jakąś grubą rybą.

— Drogi panie — w oczach Poirota zaiskrzyło się podniecenie fanatyka. — Czyż nie ukuto powiedzenia, że historia nie zna swych najznakomitszych mężów? Ostatnio ujawniono pewne dokumenty, które rzucają całkowicie nowe światło na całe zagadnienie rewolty sipajów. Ma ono w sobie pewną tajemnicę, a w niej Jan Arundell odegrał niebagatelną rolę. Sprawa jest fascynująca — fascynująca! Zdradzę panu, drogi panie, iż obecnie budzi ona szczególnie emocje. Indie — angielska polityka wobec tego kraju — oto paląca kwestia dzisiejszej doby.

— Hmm — rzekł doktor. — Słyszałem, że stary generał Arundell miał zwyczaj obszernie rozprawiać na temat rewolty sipajów. Prawdę powiedziawszy, uważano go za absolutnego nudziarza w tej mierze.

— Kto panu o tym powiedział?

— Niejaka panna Peabody. A propos, może pan do niej wstąpić. Jest najstarszą mieszkanką naszego miasteczka — blisko znała Arundellów. A plotki należą do jej głównych rozrywek. Warto odwiedzić ją dla niej samej — dobre z niej ziółko.

— Dziękuję. Wyborny pomysł. Zechce mi pan również podać adres młodego pana Arundella, wnuka generała Arundella?

— Karola? Tak, mogę pana z nim skontaktować. Ale to beztroski nicpoń. Za nic ma dzieje rodziny.

— Jest bardzo młody?

— Takiemu staremu piernikowi jak ja wydaje się młody — powiedział doktor, puszczając oko. — Po trzydziestce. Należy do tych młodych mężczyzn, którzy rodzą się tylko po to, by przysparzać rodzinie kłopotów. Urokliwa osobowość i nic poza tym. Zjeździł cały świat i nigdzie nie zdziałał niczego dobrego.

— Ciotka pewnie go lubiła? — zaryzykował pytanie Poirot.

— Hmm, nie wiem. Emilia Arundell nie dawała się wodzić za nos. O ile mi wiadomo, od niej nigdy nie zdołał wyłudzić nawet pensa. Trafiła kosa na kamień. Lubiłem ją. I szanowałem. Stara szkoła w każdym calu.

— Zmarła nagle?

— W pewnym sensie tak. Choć niedomagala od ładnych kilku lat, proszę o tym pamiętać. Ale niejedną raz udało się jej uniknąć najgorszego i stanąć na nogi.

— Doszły mnie słuchy... proszę wybaczyć, że powtarzam plotki — Poirot rozłożył z dezaprobatą ręce — że powaśniła się z rodziną.

— W zasadzie się z nimi nie powaśniła — odparł wolno doktor Grainger. — O ile wiem, nie było żadnej otwartej kłótni.

— Przepraszam. Popełniłem niedyskrecję.

— Ależ nie. W końcu i tak wszyscy o tym wiedzą.

— Nie zapisała majątku rodzinie, jak rozumiem?, ;

— Nie. Zostawiła wszystko zahukanej, nadwrażliwej kwoce, jaką miała za towarzyszkę. Dziwne posunięcie. Sam nie mogę tego zrozumieć. To do niej niepodobne.

— No cóż — powiedział Poirot z namysłem. — Można sobie coś takiego wyobrazić. Starsza dama, wątła, słabego zdrowia. Mocno uzależniona od osoby, która dotrzymuje jej towarzystwa i opiekuje się nią. Sprytna kobieta o pewnej indywidualności mogłaby zdobyć sobie w ten sposób ogromny wpływ.

Słowo „wpływ” podziałało na doktora jak czerwona płachta na byka.

— Wpływ? Wpływ? Nie ma mowy! Emilia Arundell traktowała Minnie Lawson gorzej niż psa. Typowe dla jej generacji! Zresztą kobiety, które zarabiają na życie, służąc innym swoim towarzystwem, są zwykle głupie. Gdyby miały dość oleju w głowie, utrzymywałyby się z lepszego zajęcia. Emilia Arundell nie znosiła głupoty. Zazwyczaj wytrzymywała z jedną nieszczęśnicą przez rok. Wpływ? Nic podobnego!

Poirot pospiesznie wycofał się z niebezpiecznego gruntu.

— Czy można się spodziewać — zasugerował — aby stara rodzinna korespondencja i dokumenty znajdowały się w posiadaniu panny... mm... Lawson?

— Niewykluczone — zgodził się Grainger. — W domu starej panny jest zwykle poupychanych mnóstwo rupieci. Nie przypuszczam, by panna Lawson zdążyła przetrząsnąć choćby połowę.

Poirot wstał.

— Bardzo dziękuję, doktorze Grainger. Jest pan niezmiernie miły.

— Proszę nie dziękować — rzekł doktor. — Przykro mi, że nie mogę na nic się przydać. Panna Peabody jest pańską największą szansą. Mieszka w Morton Manor — około milę stąd.

Poirot powąchał duży bukiet róż na biurku doktora.

— Cudowne — powiedział półgłosem.

— Domyślam się. Sam nie czuję zapachu. Straciłem zmysł powonienia cztery lata temu po przebyciu grypy. Ładna wizytówka lekarza, co? „Lekarzu, lecz się sam”. Przeklęta kula u nogi. Nie mogę jak dawniej delektować się cygarem.

— Rzeczywiście, szkoda. A przy okazji, poda mi pan adres młodego Arundella?

— Tak, zdobędę go dla pana.

Odprowadził nas do holu i zawołał: — Donaldson!

— Mój partner — wyjaśnił. — Powinien mieć adres. Chce się zaręczyć z siostrą Karola, Teresą.

— Donaldson! — zawołał jeszcze raz.

Z pokoju na tyłach domu wyszedł młody mężczyzna. Był średniego wzrostu i miał raczej bezbarwną powierzchowność, a sposób bycia nacechowany pedanterią. Trudno wyobrazić sobie większe przeciwieństwo doktora Graingera.

Ten ostatni wyjaśnił, czego potrzebuje.

Doktor Donaldson omiół nas taksującym spojrzeniem lekko wytrzeszczonych, bladoniebieskich oczu. Gdy otworzył usta, jego głos zabrzmiał sucho i precyzyjnie.

— Nie wiem dokładnie, gdzie przebywa Karol — powiedział. — Mogę podać adres panny Teresy Arundell. Wątpliwe, czy będzie w stanie skontaktować pana ze swoim bratem.

Poirot zapewnił go, że to w zupełności wystarczy.

Doktor zanotował adres na kartce w swoim notesie, po czym wyrwał ją i podał Poirotowi.

Poirot podziękował i pożegnał się z obydwojema lekarzami. Kiedy wychodziliśmy, miałem świadomość, że doktor Donaldson stoi w holu, wyglądając za nami z zaskoczonym wyrazem twarzy.

# Rozdział dziesiąty

## Wizyta u panny Peabody

— Czy opowiadanie aż tak wyszukanych łgarstw jest absolutnie niezbędne? — spytałem, gdy oddalaliśmy się od domu doktora.

Poirot wzruszył ramionami.

— Jeśli w ogóle zamierza się blagować — a swoją drogą widzę, iż twoja natura mocno się przeciw kłamstwu buntuje, mnie zaś zupełnie nie spędza ono snu z powiek...

— Zauważyłem — wtrąciłem.

— Zatem jeśli w ogóle zamierza się kłamać, równie dobrze można wymyślić kłamstwo artystyczne, romantyczne, kłamstwo przekonywające!

— Uważasz tę bajkę za przekonującą? Sądzisz, że doktor Donaldson w nią uwierzył?

— Ten młody człowiek ma naturę sceptyka — przyznał Poirot w zadumie.

— Mnie wydał się zdecydowanie podejrzliwy.

— Nie widzę ku temu powodu. Każdego dnia jakiś idiota spisuje dzieje życia innego idioty. Taka jest kolej rzeczy.

— Po raz pierwszy słyszałem, jak nazywasz siebie idiotą — powiedziałem szczerząc zęby.

— Potrafię, mam nadzieję, wcielić się w tę rolę równie dobrze jak każdy inny — oświadczył chłodno Poirot. — Przykro mi, że nie uważasz mojej historyjki za dobrze obmyśloną. Mnie osobiście raczej przypadła do gustu.

Zmieniłem temat.

— Jaki jest nasz następny krok?

— To proste. Wsiadamy do samochodu i jedziemy złożyć wizytę w Morton Manor.

Morton Manor okazał się brzydkim, masywnym budynkiem z epoki wiktoriańskiej. Zgrzybiały lokaj przyjął nas z pewną nieufnością, a następnie powrócił spytać, czy byliśmy „umówieni”.

— Proszę przekazać pani Peabody, że przysłał nas doktor Grainger — odparł Poirot.

Po kilku minutach oczekiwania drzwi otworzyły się i do pokoju wkroczyła, kołysząc się w

biodrach, tęga, niska kobieta. Miała rzadkie, siwe włosy starannie rozdzielone na środku przedziałkiem. Była ubrana w czarną welwetową suknię, kompletnie wytartą w różnych miejscach, ozdobioną naprawdę piękną, delikatną koronką szydełkową przypiętą pod szyją dużą broszą z kameą.

Przebieła pokój, przyglądając się nam bacznie oczami krótkowidza. Pierwsze wymówione przez nią słowa nieco nas zaskoczyły.

— Macie coś do sprzedania?

— Nie, *madame* — odpowiedział Poirot.

— Na pewno?

— Ależ oczywiście.

— Żadnych odkurzaczy?

— Nie.

— Żadnych pończoch?

— Nie.

— Ani dywanów?

— Ani dywanów.

— W takim razie — rzekła panna Peabody, sadowiać się na krzesło — wszystko w porządku. Niech panowie usiądą.

Posłusznie wykonaliśmy polecenie.

— Proszę wybaczyć te dociekania — powiedziała panna Peabody, a w jej zachowaniu dało się wyczuć ślad przeprosin. — Trzeba uważać. Nie uwierzą panowie, jacy ludzie mnie tutaj nachodzą. Służba na nic się przydaje. Nie potrafi ich odróżnić. Zresztą trudno ją za to winić. Odpowiedni głos, odpowiednie ubranie, odpowiednie nazwiska. Jak się mają zorientować? Komandor Ridgeway, pan Scot Edgerton, kapitan d'Arcy Fitzherbert. Niektórzy przystojni. Ale zanim się człowiek obejrzy, podsuwają mu pod nos maszynkę do robienia śmietany.

Poirot rzekł z przekonaniem:

— Zapewniam panią, *madame*, że nie przybyliśmy oferować żadnej z tych rzeczy.

— Nie zawadzi się upewnić — odparła panna Peabody. Poirot przytoczył swoją opowieść. Panna Peabody słuchała go bez słowa, zamrugawszy kilkakrotnie małymi oczkami. Na końcu zapytała:

— A więc zamierza pan napisać książkę?

— Tak.

— Po angielsku?

— Oczywiście, po angielsku.

— Przecież jest pan obcokrajowcem. Co? No jak, jest pan obcokrajowcem, prawda?

— Istotnie.

Przeniosła wzrok na mnie.

— A pan, jak przypuszczam, pełni funkcję jego sekretarza?

— Mmm... tak — odparłem niepewnie.

— Potrafi pan przyzwoicie pisać po angielsku?

— Mam nadzieję.

— A... jaką szkołę pan ukończył?

— Eton.

— W takim razie pan nie potrafi.

Byłem zmuszony puścić mimo uszu ten paskudny zarzut pod adresem starego i szacownego ośrodka edukacji, ponieważ panna Peabody ponownie skierowała uwagę na Poirota.

— Zamierza pan napisać biografię generała Arundella?

— Tak. Podobno pani go znała.

— Tak, znałam Jana Arundella. Pił.

Zapadła chwila ciszy. Następnie panna Peabody ciągnęła w zadumie:

— Rewolta sipajów? To tak jakby chciał pan wskrzesić umarłego. No, ale to pańska sprawa.

— Panuje teraz moda na te rzeczy. W chwili obecnej Indie są w centrum uwagi.

— Coś w tym jest. Wszystko powraca. Na przykład krój rękawów.

Zachowaliśmy pełne szacunku milczenie.

— Bufiaste zawsze były brzydkie' — orz«kła panna Peabody. — Ja zaś zawsze wyglądałam dobrze w luźnych, zebranych w mankiet.



Utkwiła w Poirocie bystre spojrzenie.

— No, to co chciałby pan wiedzieć? Poirot rozłożył ręce.

— Cokolwiek. Rodzinne dzieje, plotki, szczegóły z życia domowego.

— O Indiach nie mogę powiedzieć nic — zastrzegła panna Peabody. — Prawda jest taka, że nigdy o tym nie słuchałam. Nudni są ci starsi mężczyźni i ich anegdoty. Był skończonym durniem, ale przypuszczam, że fakt ten nie czynił z niego złego generała. Zawsze mi powtarzano, że w wojsku inteligencja nikogo daleko nie zawiedzie. Nadskakuj żonie swojego pułkownika i słuchaj z szacunkiem starszych rangą oficerów, a będzie ci jak u Pana Boga za piecem — tak mawiał mój ojciec.

Potraktowawszy tę maksymę z należytą czcią, Poirot odczekał chwilę, nim zapytał:

— Blisko znała pani rodzinę Arundellów, prawda?

— Znałam ich wszystkich — odpowiedziała panna Peabody. — Najstarsza była Matylda. Miała krosty. Uczyła w szkółce niedzielnej. Kochała się w jednym wikarym. Potem Emilia. Świetnie trzymała się w siodle. Ona jedyna potrafiła postępować z ojcem, gdy wpadał w kolejny ciąg pijaństwa. Z ich domu butelki wywożono furami. Zakopywali je nocą. Potem, niech się zastanowię, kto był następny, Arabella czy Tomasz? Chyba Tomasz. Zawsze go żałowałam. Jeden rodzynek wśród czterech kobiet. Mężczyzna wychodzi wtedy na durnia. Sam był trochę zniewieściały ten Tomasz. Nikt nie przypuszczał, że się kiedykolwiek ożeni. Jakiegoż doznaliśmy szoku, gdy to uczynił.

Zaśmiała się cicho — był to głęboki, nieprzyzwoity wiktoriański chichot.

Panna Peabody najwyraźniej doskonale się bawiła. My jako widzowie niemal przestaliśmy dla niej istnieć. Pograżyła się na dobre w przeszłości.

— Następna urodziła się Arabella. Taka sobie zwykła dziewczyna, nieurodziwa. A jednak dobrze wyszła za mąż, mimo że była najbardziej pospolita z całej rodziny. Poślubiła profesora Cambridge<sup>^</sup> Starszego człowieka. Musiał mieć co najmniej sześćdziesiątkę na karku. Dał u nas serię wykładów — na temat cudów nowoczesnej chemii, zdaje się. Sama na nie chodziłam. Pamiętam, że mamrotał pod nosem. Nosił brodę. Niewiele mogłam na tych prelekcjach usłyszeć. Arabella zostawała po wykładach i zadawała pytania. Też nie była już podlotkiem. Musiała zbliżać się do czterdziestki. Oboje już nie żyją. Było z nich szczęśliwe małżeństwo. Ożenek z pospolitą kobietą nie jest pozbawiony sensu — od razu wiadomo, co w trawie piszczy, a do tego można liczyć na stałość małżonki. Następna była Agnieszka. Najmłodsza i ładna. Uważaliśmy ją za osobę wesołą. Niemal rozwiązła! Z nich wszystkich najprędzej ona powinna była wyjść za mąż, ale tak się nie stało. Zmarła wkrótce po wojnie.

Poirot powiedział półgłosem:

— Wspomniała pani, że małżeństwo pana Tomasza było dość nieoczekiwane.

Panna Peabody ponownie wydała głęboki, gardłowy chichot.

— Nieoczekiwane? Jeszcze jak! Wybuchł mały skandal. Nikt by się tego po nim nie spodziewał — taki spokojny, nieśmiały, małomówny, oddany siostrom.

Przerwała na chwilę.

— Pamięta pan proces, który wywołał niemałą sensację u schyłku lat dziewięćdziesiątych? Pani Yarley? Rzekomo otruła swego męża arsenikiem. Przystojna kobieta. O sprawie aż huczało. Została u niewinniona. Tomasz Arundell zupełnie stracił głowę. Kupował wszystkie możliwe gazety, czytał o niej i wycinał jej fotografie. I niech pan sobie wyobrazi, kiedy proces się zakończył, pojechał do Londynu i poprosił ją o rękę. Tomasz! Cichy domator Tomasz! Z mężczyznami nigdy nie wiadomo. Zawsze mogą coś wywinąć.

— I co się stało?

— Wyszła za niego.

— Było to wielkim wstrząsem dla sióstr?

— A jak! Nie chciały jej przyjąć. Nie wiem, czy należy je za to potępiać, wzięwszy pod uwagę wszystkie okoliczności. Tomasz śmiertelnie się obraził. Wyjechał na wyspy Normandzkie i słuch o nim zaginął. Nie wiadomo, — czy jego żona faktycznie otruła pierwszego męża. Tomasza nie otruła. Przeżył ją o trzy lata. Mieli dwójkę dzieci, chłopca i dziewczynkę. Ładne rodzeństwo — urodę odziedziczyli po matce.

— Pewnie często odwiedzali ciotki?

— Dopiero po śmierci rodziców. Chodzili wtedy do szkoły i byli prawie dorośli. Przyjeżdżali na wakacje. Emilia nie miała już wtedy nikogo na tym świecie. Oni i Bella Biggs byli jej jedynymi krewnymi.

— Bella Biggs?

— Córka Arabelli. Nieciekawa dziewczyna. Kilka lat starsza od Teresy. Wyglądała się. Wyszła za jakiegoś Południowca, który studiował tu na uniwersytecie. Grecki lekarz. Mężczyzna o okropnej aparycji, choć muszę przyznać, że dość uroczy w obejściu. Zresztą nie sądzę, by biedna Bella miała wiele możliwości. Życie upływało jej na pomaganiu ojcu albo zwijaniu wełny dla matki. Od tego mężczyzny wionęło egzotyką. To ją pociągało.

— Są szczęśliwym małżeństwem? Panna Peabody odburknęła:

— Nie ręczyłabym za żadne małżeństwo. Sprawiają wrażenie całkiem szczęśliwych. Mają dwójkę dzieci o żółtawej cerze. Mieszkają w Smyrnie.

— Lecz obecnie przebywają w Anglii, prawda?

— Tak, przyjechali w marcu. Pewnie będą wkrótce wracać.

— Czy Emilia Arundell lubiła siostrzenicę?

— Czy lubiła Bellę? Raczej tak. To mało interesująca kobieta. Pochłonięta dziećmi i sprawami domowymi.

— Aprobowała jej męża? Panna Peabody zachichotała.

— Nie aprobowała go, ale myślę, że darzyła tego drania sympatią. On ma głowę na karku. Jeśli ciekaw pan mojego zdania, pięknie ją sobie urobił. Ma nosa do pieniędzy.

Poirot zakaszłał.

— Rozumiem, że panna Arundell zostawiła po śmierci pokaźny majątek? — spytał półgłosem Poirot.

Panna Peabody poprawiła się na krześle.

— Tak, i powstała wokół tego wielka wrzawa! Nikomu się nie śniło, że była aż tak zamożna. A oto jak do tego doszło. Stary generał Arundell zostawił całkiem ładny majątek podzielony równo między syna i córki. Część pieniędzy zainwestowano ponownie i, jak sądzę, wszystkie inwestycje były trafione. Mieli też nieco akcji Mortauld z pierwszej emisji. Tomasz i Arabella oczywiście wycofali swoje udziały po zawarciu małżeństw. Pozostałe trzy siostry mieszkały tu nadal, nie wydając nawet dziesiątej części wspólnych dywidend, więc prawie wszystkie pieniądze reinwestowano. Kiedy umarła Matylda, majątek został podzielony między Emilię i Agnieszkę, zaś po śmierci Agnieszki całość przypadła Emilii. A ona nadal wydawała bardzo niewiele. Rezultat: umiera jako bogaczka — a wszystko dostaje się tej Lawson!

Panna Peabody zaakcentowała ostatnie zdanie, by zabrzmiało jak triumfalna kulminacja.

— Czy to panią zaskoczyło, panno Peabody?

— Prawdę powiedziawszy, tak! Emilia zawsze mówiła zupełnie otwarcie, że po jej śmierci pieniądze mają zostać podzielone między bratanka, siostrzenicę i bratanicę. Tak zresztą zostało zapisane w pierwotnym testamencie. Legat na rzecz służby i tak dalej, a całość do podziału między Teresę, Karola i Bellę. Mój Boże, ależ było poruszenie, gdy po jej śmierci okazało się, że sporządziła nowy testament, zapisując wszystko biednej pannie Lawson.

— Czy testament spisano tuż przed śmiercią? Panna Peabody skierowała na Poirota świdrujące spojrzenie.

— Myśli pan, że wywarto na nią nacisk? Nie, obawiam się, iż takie myślenie prowadzi donikąd. Nie wydaje mi się również, by ta nieszczęsna Lawson miała dość rozumu albo zimnej krwi, żeby poważać się na coś takiego. Prawdę mówiąc, sprawiała wrażenie zaskoczonej tak samo jak wszyscy — przynajmniej tak mówiła.

Poirot uśmiechnął się, gdy dorzuciła tę uwagę.

— Testament sporządzono około dziesięciu dni przed śmiercią — ciągnęła panna Peabody. — Prawnik twierdzi, że wszystko jest w porządku. Cóż... może i tak.

— Sugeruje pani... — Poirot pochylił się do przodu.

— Jakieś krętactwo, tyle panu powiem — oświadczyła panna Peabody. — Coś tu śmierdzi.

— Jaką ma pani koncepcję?

— Żadnej! Skąd mam wiedzieć, gdzie tu jakieś — chrajstwo. Nie znam się na prawie. Ale jest w tym coś podejrzanego, wspomni pan moje słowa.

Poirot powoli zapytał:

— Czy próbowano zakwestionować testament?

— Teresa zasięgnęła, zdaje się, opinii adwokata. Akurat wiele jej to pomoże! Jakiej rady udzielił panikarstwo? „Proszę tego zaniechać”. Kiedyś pięciu różnych adwokatów odradzało mi wniesienie sprawy do sądu. Co zrobiłam? ‘Zlekceważyłam ich zdanie. No i sprawę wygrałam. Postawili mnie za pulpitem dla świadków, a sprytny młody impertynent z Londynu usiłował doprowadzić mnie do złożenia sprzecznych zeznań. Ale mu się nie udało. „Nie potrafi pani pozytywnie rozpoznać tych futer, panno Peabody — powiedział. Nie ma na nich żadnego znaku kuśnierza”. „Może i nie ma — odparłam. — Za to na podszewce jest cera, a jeśli w dzisiejszych czasach ktokolwiek potrafi tak cerować, połknę własną parasolkę”. Zapędziłam go w kozi róg.

Panna Peabody zaśmiała się serdecznie.

— Przypuszczam — odezwał się ostrożnie Poirot — iż między panną Lawson a członkami rodziny panny Arundell rozgorzały namiętności.

— A czego się pan spodziewa? Wie pan, jaka jest ludzka natura. Tak czy owak, po śmierci zawsze wyrastają problemy. Człowiek nie zdąży jeszcze dobrze ostygnąć w trumnie, a już większość żałobników zacznie wydrapywać sobie oczy.

Poirot westchnął.

— To aż nadto prawdziwe.

— Ludzka natura — oświadczyła tolerancyjnie panna Peabody.

Poirot zmienił temat.

— Czy to prawda, że panna Arundell parała się spirytyzmem?

Panna Peabody przeszła go przenikliwym spojrzeniem.

— Jeśli mniema pan — rzekła — że duch Jana Arundella nawiedził Emilię i kazał jej zapisać

majątek Minnie Lawson, i że Emilia okazała mu posłuszeństwo, jest pan w wielkim błędzie. Emilia nie byłaby taka głupia. Stawiała spirytyzm tylko o jeden stopień wyżej niż pasjansa czy karcianą grę w wojnę. Odwiedził pan panny Tripps?

— Nie.

— Gdyby pan to uczynił, przekonałby się pan cóż to za brednie. Irytujące kobiety. Nieustannie przekazują innym wiadomości od jakichś tam krewnych — zawsze absolutnie pozbawione sensu. Święcie w to wierzą. Podobnie jak Minnie Lawson. No cóż, każdy sposób spędzania wieczoru jest dobry.

Poirot spróbował jeszcze innej taktyki. — Zna pani Karola Arundella, jak się domyślam? Jakim jest człowiekiem?

— Nic nie wartym. Czarujący mężczyzna. Wiecznie spłukany, wiecznie w długach, ciągle powraca gdzieś ze świata jak zły szeląg. Potrafi zjednywać sobie kobiety.

Zachichotała.

— Widziałam takich aż za wielu, żeby dać się nabrać. Dziwny syn jak na Tomasza, muszę przyznać. Tomasz był statecznym starym piernikiem. Wzorem prawości. Cóż, gdzieś domieszała się zła krew. Lubię tego łobuza, ale to typ, który ochoczo zamordowałby własną babkę dla kilku szylingów. Żadnego poczucia moralności. Zastanawiające, że niektórzy ludzie rodzą się jakby całkowicie wyzuci z przyzwoitości.

— A siostra?

— Teresa?

Panna Peabody potrząsnęła głową i wolno odparła: — Nie wiem. Jest zagadkową postacią. Inna niż wszyscy. Zaręczyła się z tutejszym lekarzem. Może go pan widział?

— Z doktorem Donaldsonem?

— Tak. Podobno biegły w swej profesji. Lecz pod innymi względami jest straszną fujarą. Gdybym była dziewczyną, nie zwróciłabym na niego większej uwagi. Teresa z pewnością wie, czego chce. Nie brak jej doświadczenia, ręczę.

— Czy doktor Donaldson leczył pannę Arundell?

— Tylko wtedy, kiedy Grainger wyjeżdżał na wakacje.

— Ale nie podczas ostatniej choroby.

— Raczej nie.

Poirot powiedział z uśmiechem:

— Wnioskuje, panno Peabody, iż ma pani niepochlebne zdanie o jego lekarskich umiejętnościach?

— Niczego takiego nie powiedziałam. A ściśle rzecz biorąc, myli się pan. Na swój sposób jest dostatecznie inteligentny i zdolny — tyle że nie w moim typie.

Weźmy taki przykład. Dawniej, gdy dziecko najadło się za dużo niedojrzałych jabłek, dostawało ataku żółciowego. Przychodził lekarz, stwierdzał atak żółciowy i szedł do domu, przysyłając z gabinetu kilka pigułek. Teraz lekarz oznajmia, że dziecko cierpi na nadkwaśność, że trzeba kontrolować jego dietę i daje to samo lekarstwo, tyle że pod postacią ślicznych białych tabletek zapakowanych przez aptekarza, które kosztują trzy razy więcej. Donaldson należy do tej drugiej szkoły i proszę zauważyć, iż preferuje ją większość młodych matek. Mądrzej brzmi. Ten młody człowiek i tak nie zagrzeje tu zbyt długo miejsca, lecząc odrę i dolegliwości wątroby. Ma na oku Londyn. Jest ambitny. Zamierza robić specjalizację.

— W jakiejś konkretnej dziedzinie?

— Seroterapia. Chyba tak to się nazywa. Rzecz polega na tym, że niezależnie od tego, czy człowiekowi coś dolega, czy nie, wbija się w niego wstrętą igłę na wypadek, gdyby zaraził się jakimś paskudstwem. Nie pochwalam wszystkich tych skomplikowanych zastrzyków.

— Czy doktor Donaldson eksperymentuje z jakąś konkretną chorobą?

— Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że praktyka internistyczna mu nie wystarcza. Chce otworzyć gabinet w Londynie. Ale na to potrzeba pieniędzy, a on jest biedny jak mysz kościelna.

Poirot odezwał się półgłosem:

— Smutne, że prawdziwy talent tak często zostaje zaprzepaszczony z powodu braku pieniędzy. Tymczasem istnieją ludzie, którzy nie wydają nawet ćwierci swych dochodów.

— Na przykład Emilia Arundell — rzekła panna Peabody. — Odczytanie testamentu wywołało wśród niektórych niemałą sensację. Mam na myśli kwotę, a nie sposób rozporządzenia majątkiem.

— Sądzi pani, że zaskoczyło członków jej rodziny?

— Bo to wiadomo — odparła panna Peabody, mrużąc oczy z wyraźnym zadowoleniem. — Nie potwierdzam ani nie zaprzeczam. Ktoś z nich wpadł na sprytny pomysł.

— Kto?

— Panicz Karol. Poczytał pewne kalkulacje na własną rękę. Karol nie jest głupcem.

— Ale ma w sobie coś z łobuza?

— Przynajmniej nie jest jakąś ckliwą fujarą — skonstatowała zjadliwie panna Peabody.

Zamilkła na chwilę, a potem zapytała:

— Chce pan się z nim skontaktować?

— Mam taki zamiar — odrzekł Poirot. I kontynuował z namaszczeniem:

— Przypuszczam, iż może posiadać pewne rodzinne dokumenty dotyczące dziadka.

— Bardziej prawdopodobne, że zrobił sobie z nich ognisko. Ten młody człowiek nie przejawia żadnego szacunku dla starszych.

— Trzeba wypróbować wszystkie możliwości — oświadczył sentencjonalnie Poirot.

— Na to wygląda — powiedziała szorstko panna Peabody.

W jej błękitnych oczach pojawił się błysk, który zdawał się niemile dotknąć Poirota. Wstał z krzesła.

— Nie mogę dłużej nadużywać pani cierpliwości, *madame*. Jestem ogromnie wdzięczny za uzyskane od pani informacje.

— Staralam się, jak mogłam — odparła panna Peabody. — Odeszliśmy kawał drogi od rewolty sipajów, co?

Podąła obu nam rękę.

— Niech mi pan da znać, gdy ukaże się książka — rzuciła na odchodnym. — Wprost nie posiadam się z ciekawości

Ostatnim odgłosem, jaki usłyszeliśmy wychodząc z pokoju, był głęboki, gardłowy chichot.

# Rozdział jedenasty

## Wizyta u sióstr Tripp

— A teraz? — odezwał się Poirot, gdy wsiadaliśmy do samochodu. — Co teraz robimy?

Tym razem, nauczony doświadczeniem, nie zasugerowałem powrotu do miasta. Ostatecznie, skoro Poirot dobrze się bawił, po co miałbym oponować?

Zaproponowałem wypicie herbaty.

— Herbata? Cóż to za pomysł, Hastings? Zważ, która godzina.

— Zważyłem — to znaczy spojrzałem na zegarek. Jest wpół do szóstej. Filiżanka herbaty jest wyraźnie wskazana.

Poirot westchnął.

— Wy, Anglicy, i ta wasza popołudniowa herbatka! Nie, *mon ami*, nie idziemy na żadną herbatę. Przeczytałem kiedyś w podręczniku etykiety, że niedopuszczalne jest składanie popołudniowej wizyty po godzinie szóstej. Uczynienie tego równa się popełnieniu nietaktu. Mamy zatem zaledwie pół godziny na zrealizowanie naszego planu.

— Jakiś ty dzisiaj towarzyski, Poirot! Kogo teraz odwiedzamy?

— *Les demoiselles* Tripp.

— Tym razem piszesz książkę o spirytyzmic? Czy nadał spisujesz dzieje generała Arundella?

— , Mam w zanadru coś mniej skomplikowanego. Musimy się jednak dowiedzieć, gdzie obie panie mieszkają.

Wskazówki otrzymaliśmy bez trudu, choć były nieco zagmatwane, jako że dotarcie na miejsce wymagało skręcenia w kilka pomniejszych dróg. Siedziba sióstr Tripp okazała się malowniczym wiejskim domkiem — staroświeckim i czarownym do tego stopnia, iż sprawiał wrażenie, jakby lada chwila miał się zawalić.

Drzwi otworzyła mniej więcej czternastoletnia dziewczynka. Przycisnęła się do ściany, z trudem zostawiając akurat tyle miejsca, abyśmy zdołali przejść.

Wnętrze zdobiły hojnie stare dębowe belki. Był tam otwarty kominek i okna tak malutkie, że trudno było coś wyraźnie zobaczyć. Całe umeblowanie cechowała udawana prostota — stare sprzęty z dębiny, jak przystało na mieszkańców wiejskiej chaty. Wszędzie stały drewniane misy z owocami i



fotografie — zauważyłem, iż większość z nich przedstawia te same dwie osoby w różnych pozach, zazwyczaj przyciskające do piersi bukiety kwiatów albo ściskające w rękę słomkowe kapelusze z szerokim rondem.

Dziewczynka, która wpuściła nas do środka, wybąkała coś pod nosem i znikła, jednak na wyższym piętrze jej głos był wyraźnie słyszalny.

— Dwaj panowie do pani.

Podniósł się świergot damskich głosów, a po chwili przy wtórze szelestu sukni ze schodów zeszała kobieta i łaskawie zbliżyła się do nas.

Miała bliżej pięćdziesiątki niż czterdziestki, włosy rozdzielone na środku przedziałkiem niczym Madonna z obrazów, brązowe, lekko wyłupiaste oczy. Była ubrana w muślinową suknię ozdobioną wzorkiem w kształcie gałązek, która kojarzyła się ze staromodną suknią balową.

Poirot wystąpił naprzód i rozpoczął rozmowę w swój najbardziej kwiecisty sposób.

— Muszę przeprosić za to najście, *mademoiselle*, ale znalazłem się w kłopotliwym położeniu. Przybyłem tu odnaleźć pewną damę, tymczasem ona opuściła Market Basing, a powiedziano mi, że pani z pewnością zna jej obecny adres.

— Doprawdy? O kogo chodzi?

— O pannę Lawson.

— Och, Minnie Lawson. Oczywiście! Jesteśmy serdecznymi przyjaciółkami. Proszę spocząć, panie...

— Parotti. Mój przyjaciel, kapitan Hastings.

Po dokonaniu prezentacji panna Tripp zaczęła się odrobinę krygować.

— Niech pan siądzie tutaj... nie, proszę... ja naprawdę wolę proste krzesło. Na pewno jest tam panu wygodnie? Droga Minnie Lawson... Och, nadchodzi moja siostra.

Znowu rozległo się skrzywienie i szelest, po czym dołączyła do nas druga dama odziana w zieloną suknię w kratkę, odpowiednią dla szesnastoletniej dziewczyny.

— Moja siostra Izabela — pan... mmm... Parrot oraz mmm... kapitan Hawkins. Droga Izabelo, panowie są przyjaciółmi Minnie Lawson.

Panna Izabela Tripp nie była taką hożą kobietą jak siostra. Właściwie można by określić ją mianem kościstej. Miała bardzo jasne potargane loki. Hołdowała dziewczęcemu sposobowi bycia i łatwo można było rozpoznać w niej postać z większości fotografii z kwiatami. Teraz klasnęła w dłonie z dziewczęcą ekscytacją.

— Cudownie! Kochana Minnie! Widział się pan z nią niedawno?

— Kilka lat temu — wyjaśnił Poirot. — Zupełnie straciliśmy ze sobą kontakt. Sporo podróżowałem. Dlatego byłem ogromnie zdumiony i uradowany, dowiedziawszy się o szczęśliwym trafie, jaki spotkał moją dawną przyjaciółkę.

— Rzeczywiście. I jakże zasłużenie! Minnie jest tak .niezwykłą istotą. Tak prostoduszną, szczerą.

— Julio! — wykrzyknęła Izabela.

— Tak, Izabelo?

— To nadzwyczajne. „P”. Pamiętasz, wczoraj wieczorem talerzyk wyraźnie wskazywał literę P. Gość spoza wyspy z inicjałem „P”.

— W istocie — przytaknęła Julia.

Obie damy spojrzały wniebowzięte na Poirota z wyrazem radosnego zaskoczenia.

— Ona nigdy nie kłamie — rzekła cicho Julia.

— Czy pan w ogóle interesuje się okultyzmem, panie Parrot?

— Mam znikome doświadczenie, *mademoiselle*, lecz — jak każdy, kto podróżował wiele po Wschodzie — muszę przyznać, iż istnieje wiele zjawisk, których człowiek nie pojmuje i których nie da się wyjaśnić w naturalny sposób.

— To prawda — powiedziała Julia. — Absolutna prawda.

— Wschód — odezwała się półgłosem Izabela. — Kolebka mistycyzmu i okultyzmu.

O ile było mi wiadomo, na wschodnie wyprawy Poirota składała się jedna podróż do Syrii rozszerzona o wizytę w Iraku, która trwała może kilka tygodni. Wnosząc z obecnej rozmowy, można by przysiąc, że większość życia upłynęła mu w dżunglach, na wschodnich bazarach i na głębokich dyskusjach z fakirami, derwiszami i mahatmami.

Jak zdołałem się zorientować, panny Tripp były wegetariankami, teozofkami, wyznawczyniami Christian Science, spirytystkami i entuzjastycznymi fotografami-amatorami.

— Czasami człowiek czuje — rzekła Julia z westchnieniem — że w Market Basing po prostu nie da się żyć. Nie ma tu żadnego piękna, brak tu duszy. A trzeba mieć duszę, zgodzi się pan ze mną, kapitanie Hawkins?

— Całkowicie — odparłem lekko zażenowany. — Jak najbardziej.

— „Gdzie nie ma wyobraźni, tam giną ludzie” — zacytowała Izabela z westchnieniem. — Wielekroć próbowałam dyskutować z pastorem, lecz okazał się człowiekiem o boleśnie ciasnym

umyśle. Nie sądzi pan, panie Parrot, że każda określona wiara nieuchronnie prowadzi do zawężania horyzontów?

— A wszystko jest przecież takie proste — wtrąciła siostra. — Jak doskonale wiemy, wszystko jest radością i miłością.

— Zgadzam się w zupełności — odparł Poirot. — Jaka szkoda, że rodzą się nieporozumienia i swary — zwłaszcza z powodu pieniędzy.

— Pieniądze to plugastwo — westchnęła Julia.

— Rozumiem, że świętej pamięci panna Arundell należała do grona waszych nawróconych? — spytał Poirot.

Siostry wymieniły spojrzenia.

— Któż to wie — odpowiedziała Izabela.

— Nigdy nie byliśmy do końca pewne — wyszeptała Julia. — W jednym momencie wydawała się przekonana, a za chwilę mówiła coś tak... bardzo grubiańskiego.

— Pamiętasz jednak ostatni seans — rzekła Julia. — Był naprawdę szczególny.

Odwróciła się do Poirota.

— Odbył się tego wieczoru, kiedy panna Arundell zachorowała. Poszliśmy tam z siostrą po kolacji i urządziliśmy seans — tylko we czwórkę. Zobaczyliśmy — cała nasza trójka — wyraźnie, jak na dłoni, coś w rodzaju aureoli wokół głowy panny Arundell.

— *Comment?*\*

— Tak. Jakby świecącą mgiełką. Zwróciła się do siostry.

— Czyż nie tak należałoby to opisać, Izabelo?

— Właśnie tak. Świecąca mgiełka stopniowo okalająca głowę panny Arundell. Aureola bladego światła. To był znak — teraz wiemy — znak, że ona wkrótce przejdzie na tamtą stronę.

— Niesamowite — odezwał się Poirot odpowiednio przejętym głosem. — W pokoju panował mrok?

— O tak, zawsze osiągamy lepsze rezultaty w ciemności, a ponieważ wieczór był wtedy ciepły, nie paliło się nawet w kominku.

— Przemówił do nas niezwykle interesujący duch — rzekła Izabela. — Miał na imię Fatima. Fatima powiedziała nam, że zmarła w czasach wypraw krzyżowych. Przekazała nam piękną wiadomość.

— Rzeczywiście do was przemówiła?

— Nie bezpośrednio. Wystukała przesłanie. Miłość. Nadzieja. Życie. Cudowne słowa.

— Panna Arundell zachorowała w trakcie seansu?

— Wkrótce potem. Przyniesiono kanapki i porto, a droga panna Arundell niczego nie tknęła, ponieważ nie czuła się zbyt dobrze. To był początek choroby. Na szczęście nie musiała zbyt długo cierpieć.

— Umarła cztery dni później — dorzuciła Izabela.

— Dostałyśmy już od niej wiadomość — powiedziała z ożywieniem Julia. — Mówiła, że jest bardzo szczęśliwa, że jest tam pięknie i wyraziła nadzieję, że między jej bliskimi panuje miłość i pokój.

Poirot zakaszał.

— Sprawy, obawiam się, przedstawiają się nieco inaczej?

— Krewni zachowali się wobec biednej Minnie haniebnie — powiedziała Izabela.

Jej twarz zaczerwieniła się z oburzenia.

— Minnie jest niezwykle prostoduszną istotą — wtrąciła Julia.

— Ludzie wygadywali o niej najpodlejsze rzeczy — że uknuła spisek, aby przejąć cały majątek!

— A w rzeczywistości to ona była najbardziej zaskoczona.

— Nie wierzyła własnym uszom, kiedy adwokat odczytał testament.

— Sama nam o tym opowiadała. „Julio — powiedziała — moja droga, wystarczyłoby musnąć mnie piórkiem, a byłabym się przewróciła. Kilka zapisów na rzecz służących, a potem słyszę: Littlegreen House oraz mój pozostały majątek zapisuję Wilhelminie Lawson.” Była tak oszołomiona, że ledwie mogła mówić. A kiedy się opanowała, zapytała, ile jest tego majątku, myśląc pewnie o kilku tysiącach funtów. Pan Purvis szukał odpowiednich słów, mówił coś o skomplikowanych rzeczach, jak wartości brutto i netto, aż wreszcie oznajmił, iż jest tego około trzystu siedemdziesięciu pięciu tysięcy funtów. Biedna Minnie mało nie zemdląca, tak nam mówiła.

— Nie miała pojęcia — powtarzała druga z sióstr. — Nigdy nie myślała, że coś takiego może się jej przydarzyć.

— Tak powiedziała?

— Tak, powtarzała to wielokrotnie. Dlatego zachowanie rodziny Arundellów — okazywanie jej chłodu i podejrzliwe traktowanie — jest wyjątkowo niegodziwe. Ostatecznie to wolny kraj...

— Anglicy zdają się trwać w tym błędzie — mruknął Poirot.

— Każdy może dysponować swoimi pieniędzmi, jak mu się żywnie podoba. Uważam, że panna Arundell postąpiła bardzo mądrze. Widać nie ufała swoim krewnym i nie wątpię, iż miała swoje powody.

— O! — Poirot pochylił się z zainteresowaniem — Doprawdy?

Schlebiająca uwaga Poirota zachęciła Izabelę do mówienia.

— Tak, naprawdę. Pan Karoi Arundell, jej bratanek, jest skończonym nicponiem. Powszechnie o tym wiadomo. Zdaje się, że w jakimś kraju poszukuje go nawet policja. Postać bynajmniej nie pociągająca. Co zaś tyczy się jego siostry, cóż, nie zamieniłam z nią ani słowa, ale to osoba o bardzo ekscentrycznym wyglądzie. Na wskroś nowoczesna i okropnie umalowana. Proszę mi wierzyć, na widok jej ust zrobiło mi się słabo. Wyglądały jak plama krwi. Podejrzewam również, iż używa narkotyków — czasami zachowuje się tak dziwacznie. Ma zamiar zaręczyć z miłym, młodym lekarzem, doktorem Donaldsonem, czasem jednak nawet on wydaje się zde gustowany. Oczywiście jest atrakcyjna na swój sposób, ale mam nadzieję, że doktor oprzytomnieje na czas i poślubi jakąś miłą angielską dziewczynę, która lubi wiejskie życie i zajęcia na wolnym powietrzu.

— A pozostali krewni?

— To samo. Bardzo nieodpowiedni. Co prawda nie mogę nic powiedzieć przeciwko pani Tanios — to całkiem sympatyczna kobieta — tyle że absolutnie głupia i całkowicie pod pantoflem męża. Wydaje mi się, że on jest Turkiem — okropne, żeby angielska dziewczyna wychodziła za mąż za Turka, nie uważa pan? Świadczy to o pewnym braku wymagań. Pani Tanios jest oczywiście wspaniałą matką, natomiast dzieci ma wybitnie nieudane, biedactwa.

— Zatem ogólnie sądzi pani, iż panna Lawson bardziej zasługiwała na majątek panny Arundell?

Julia odpowiedziała spokojnie:

— Minnie Lawson jest na wskroś dobrą kobietą. I bardzo prostoduszną. Nigdy nawet nie myślała o pieniądzach. Nigdy nic była zachłanna.

— Niemniej jednak nie przyszło jej do głowy zrzec się spadku?

Izabela odsunęła się odrobine.

— No cóż... takich rzeczy się nie robi. Poirot uśmiechnął się.

— Chyba nie...

— Widzi pan, panie Parrot — wtrąciła Julia. — Ona uważa ten spadek za depozyt — święty depozyt.

— I z wielką chęcią uczyni coś dla pani Tanios bądź jej dzieci — ciągnęła Izabela. — Nie chce

tylko, aby on dobrał się do pieniędzy.

— Powiedziała nawet, iż rozważa wypłacanie Teresie stałej pensji.

— Czym, jak sędzę, dowiodła ogromnej wielkoduszności, wzięwszy pod uwagę bezceremonialny sposób, w jaki ta dziewczyna zawsze ją traktowała.

— Naprawdę, panie Parrot, Minnie jest wielce wspaniałomyślną istotą. No, ale przecież pan ją zna!

— Tak — odparł Poirot. — Znam ją. Ale nadal nie znam jej adresu.

— Ależ oczywiście! Jestem nieprzytomna. Zapisać go panu?

Poirot wyjął swój notes.

— Clanroyden Mansions 17, W 2. Niedaleko Whiteleys. Proszę ją od nas pozdrowić. Nie miałyśmy od niej ostatnio wiadomości.

Poirot wstał, a ja poszedłem w jego ślady.

— Bardzo dziękuję obu paniom za przemiłą rozmowę, jak również za wyświadczoną mi uprzejmość i podanie adresu przyjaciółki.

— Dziwię się, że nie podano go panu w domu — wykrzyknęła Izabela. — To pewnie ta Ellen! Służące są takie zazdrosne i małostkowe. Czasem odnosiły się do Minnie w sposób bardzo grubiański.

Julia podała dłoń niczym grandę damę.

— Pańska wizyta sprawiła nam przyjemność — oznajmiła wspaniałomyślnie. — A może...

Rzuciła siostrze pytające spojrzenie.

— Może zechciałby pan — Izabela nieco się zarumieniła — zostać u nas na kolacji? Bardzo skromną — po — szatkowane surowe warzywa, ciemne pieczywo, masło i owoce.

— Brzmi wyśmienicie — odpowiedział w pośpiechu Poirot. — Ale niestety! Mój przyjaciel i ja musimy wracać do Londynu.

Uściskawszy ponownie dłonie i wysłuchawszy pozdrowień dla panny Lawson, wyszliśmy wreszcie z domu panien Tripp.

# Rozdział dwunasty

## Poirot roztrząsa sprawę

— Chwała Bogu, Poirot — wykrzyknąłem z ferworem — że wybawiłeś nas od surowej marchewki! Co za okropne kobiety!

— *Pour nous, un bon bifteck\** z frytkami, a do tego butelka dobrego wina. Ciekawe, co podałyby nam do picia?

— Pewnie wodę — odpowiedziałem i aż się wzdrygnąłem. — Albo bezalkoholowy cydr. Nie spodziewałbym się po takim miejscu niczego innego. Założę się, że nie mają tam wanny ani sanitariatów z wyjątkiem wygodki w ogrodzie.

— Dziwne, że kobiety mogą znajdować upodobanie w tak niewygodnym życiu — powiedział w zadumie Poirot. — Przyczyną nie zawsze jest ubóstwo, choć doskonale potrafią robić jak najlepszy użytek z pieniężnych tarapatów.

— Jakie są rozkazy dla szofera? — spytałem, biorąc ostatni zakręt na krętej drodze, po którym wyjechaliśmy na szosę do Market Basing. — Do jakiej miejscowej znakomitości wybieramy się teraz z wizytą? Czy może wracamy do zajazdu U George'a, ponownie indagować astmatycznego kelnera?

— Ucieszysz się z tej wiadomości, Hastings. Skończyliśmy z Market Basing.

— Doskonale.

— Na razie. Ja tu wrócę!

— Tropić niefortunnego mordercę?

— Właśnie.

— Dowiedziałeś się czegoś z bzdurnej gadaniny, której wysłuchaliśmy przed chwilą?

Poirot odpowiedział:

— Niektóre informacje zasługiwały na uwagę. Różne postaci naszego dramatu ukazały się w pełniejszym świetle. Pod pewnymi względami przypomina on nowelę z dawnych czasów. Pokorna kobieta do towarzystwa, niegdyś pogardzana, zostaje obdarowana bogactwem i odgrywa rolę dobrodziejki.

— Wyobrażam sobie, jak taka protekcjonalność musi drażnić ludzi, którzy uważają się za prawowitych spadkobierców.

— Masz rację, Hastings. To święta prawda.

Przez kilka minut jechaliśmy w milczeniu. Zostawiliśmy w tyle Market Basing i ponownie znaleźliśmy się na głównej drodze. Nuciłem sobie pod nosem melodię „Chłopcze, miałaś ciężki dzień”.

— Dobrze się bawiłeś, Poirot? — odezwałem się wreszcie. Poirot chłodno odpowiedział:

— Nie wiem, co rozumiesz przez dobrą zabawę, Hastings.

— Odniosłem wrażenie, że zafundowałeś sobie urlop przy pracy — odrzekłem.

— Myślisz, że nie traktuję tego poważnie?

— Ależ nie, jesteś wystarczająco poważny. Tylko sprawa wydaje się być natury akademickiej. Zajmujesz się nią dla satysfakcji własnego umysłu. Chcę przez to powiedzieć, że nie jest realna.

— *Au contraire*<sup>\*</sup>, jest jak najbardziej realna.

— Źle się wyraziłem. Zmierzam do tego, że gdyby chodziło o słuzenie pomocą starszej damie albo chronienie jej przed dalszymi zakusami na jej życie, wtedy byłaby w tym jakaś podnieta. A tak nie mogę powstrzymać się od wrażenia, że skoro nie żyje, gra nie warta jest ‘świeczki.

— W takim razie, *mon ami*, wcale nie prowadzioby się dochodzeń w sprawie morderstw.

— Nie, nie. To zupełnie co innego. Wtedy są zwłoki... A niech to wszyscy diabli!

— Nie wściekaj się. Doskonale rozumiem. Odróżniasz morderstwo od zwykłego zgonu. Załóżmy na przykład, że panna Arundell zmarła śmiercią gwałtowną i zatrważającą, zamiast godnie, na nękającą ją z dawien dawna chorobę. Wówczas nie pozostałbyś obojętny na moje wysiłki zmierzające do odkrycia prawdy?

— Oczywiście, że nie.

— A przecież ktoś usiłował ją zamordować.

— Tak, ale mu się nie udało. A to całkiem co innego.

— Nie intryguje cię ani trochę, kto próbował dokonać zbrodni?

— Poniekąd tak.

— Mamy bardzo wąski krąg podejrzanych — powiedział w zadumie Poirot. — Nić...

— Nić, której istnienie wydedukowałeś jedynie na podstawie gwoźdźca przybitego do listwy przy podłodze! — przerwałem. — Mógł tam tkwić od lat!



— Nie. Lakier był zupełnie świeży.

— Mimo wszystko uważam, że jego obecność można wytłumaczyć na kilka możliwych sposobów.

— Podaj mi choć jeden.

W tym momencie nie przychodziło mi do głowy nic dostatecznie wiarygodnego. Poirot wykorzystał moje milczenie, by ciągnąć dalej swoje wywody.

— Tak, ograniczony krąg. Nic mogła zostać rozciągnięta w poprzek schodów dopiero wtedy, gdy wszyscy udali się na spoczynek. Dlatego musimy rozpatrywać wyłącznie lokatorów domu. Czyli wina leży po stronie którejś z siedmiu osób. Doktora Taniosa, pani Tanios, Teresy Arundell, Karola Arundella, panny Lawson, Ellen, kucharki.

— Służbę można z pewnością wykluczyć.

— Otrzymała legaty, *mon cher*. Mogły również istnieć inne powody: uraza, waśnie, nieuczciwość. Nie mamy pewności.

— Wydają mi się bardzo mało prawdopodobne.

— Są mało prawdopodobne, zgadzam się. Niemniej należy wziąć pod uwagę wszystkie możliwości.

— W takim wypadku musisz uwzględnić osiem osób, nie siedem.

— Jak to?

Czułem, że zdobędę punkt.

— Musisz włączyć samą pannę Arundell. Skąd wiesz, czy nie rozpięła nitki na schodach, aby zastawić sidła na innego uczestnika rodzinnego zgromadzenia?

Poirot wzruszył ramionami.

— Pleciesz głupstwa, przyjacielu. Gdyby panna Arundell zastawiła pułapkę, uważałaby, żeby samej w nią nie wpaść. Pamiętaj, iż to ona spadła ze schodów.

Zbity z tropu ustąpiłem,

Poirot ciągnął zamyślonym głosem.

— Kolejność wydarzeń jest zupełnie jasna: upadek, list do mnie, wizyta prawnika — ale jedna kwestia budzi wątpliwości. Czy panna Arundell umyślnie ukryła list, wahając się, czy go wysłać? Czy po napisaniu go przyjęła, iż został wysłany?

— Tego wiedzieć nie możemy — odrzekłem.

— Nie. Możemy jedynie zgadywać. Stawiam na to, że uznała list za wysłany. Musiał dziwić ją brak odpowiedzi...

Moje myśli biegły w innym kierunku.

— Sądziś, że te spirytystyczne bzdury miały jakiegokolwiek znaczenie? — spytałem. — Że, pomimo wykpienia przez pannę Peabody takiej sugestii, podczas jednego z seansów padł rozkaz zmiany testamentu i zapisania całego majątku tej Lawson?

Poirot pokręcił z powątpiewaniem głową.

— To nie pasuje do ogólnej opinii, jaką wyrobiłem sobie o charakterze panny Arundell.

— Panny Tripp utrzymują, że panna Lawson całkiem zaniemówiła, gdy odczytano testament — rzekłem z namysłem.

— Przynajmniej tak im powiedziała — zgodził się Poirot.

— Jednak ty w to nie wierzysz?

— *Mon ami* — znasz moją podejrzliwą naturę! Nie wierzę w nic, póki nie można tego potwierdzić.

— To prawda, staruszkule — odparłem czule. — Naturę masz na wskroś sympatyczną i ufą.

— On mówi, ona mówi, oni mówią — ba! Co to znaczy? Kompletnie nic. Wszystko może być absolutną prawdą albo użytecznym kłamstwem. Ja zajmuję się wyłącznie faktami.

— A jakie są fakty?

— Panna Arundell miała wypadek. Tego nikt nie kwestionuje. Do upadku nie doszło w sposób naturalny, ktoś go spowodował.

— Dowodem na to są słowa Herkulesa Poirota.

— Wcale nie. Dowodem jest gwóźdź. Dowodem jest list panny Arundell. Całonocna nieobecność psa. Słowa panny Arundell o obrazku i piłka Boba. To są fakty.

— Proszę o kolejne.

— Kolejnym faktem będzie odpowiedź na nasze zwyczajowe pytanie. Kto skorzystał na śmierci panny Arundell? Odpowiedź brzmi: panna Lawson.

— Nikczemna towarzyszka! Z drugiej strony to inni liczyli na odniesienie korzyści. A w dniu, kiedy doszło do wypadku, faktycznie by skorzystali.

— Dokładnie, Hastings. Dlatego na wszystkich ciąży podejrzenie. Wiemy także, że panna Lawson

zadała sobie trud, aby panna Arundell nie dowiedziała się o nocnej eskapadzie Boba.

— Uważasz to za podejrzone?

— Bynajmniej. Jedynie odnotowuję fakt. Mogło to być przejawem normalnej troski o spokój ducha starszej pani. I to jest bez porównania najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie.

Spojrzałem na Poirota z ukosa. Jest tak piekielnie pokrętny.

— Panna Peabody wyraziła opinię, że dopuszczono się jakiegoś krętactwa z testamentem — powiedziałem.

— Jak sądzisz, co miała na myśli?

— Przypuszczam, iż dała w ten sposób wyraz swoim mglistym podejrzeniom.

— Motyw zastraszenia można chyba zatem wykluczyć — powiedziałem w zadumie. — Wygląda również na to, że Emily Arundell miała zbyt dużo rozsądku, aby wierzyć w takie błazeństwa jak spirytyzm.

— Co cię skłania, Hastings, do nazywania spirytyzmu błazeństwem?

Utkwiłem w nim zdumione spojrzenie.

— Mój drogi Poirot, te koszmarne kobiety... Uśmiechnął się.

— Zupełnie zgadzam się z twoją oceną panien Tripp. Jednak sam fakt, iż panny Tripp z entuzjazmem przyjmują Christian Science, wegetarianizm, teozofię i spirytyzm nie stanowi jeszcze potępienia tych wierzeń ani ich nie obciąża. To, że jakaś głupia kobieta opowie ci mnóstwo bzdur o podrobionym skarabeuszu kupionym od handlarza— szubrawca, niekoniecznie dyskredytuje całą egiptologię.

— Chcesz powiedzieć, Poirot, że ty wierzysz w spirytyzm?

— Nie mam wobec niego uprzedzeń. Sam nigdy nie studiowałem żadnych wypadków objawień, trzeba jednak uznać fakt, iż wielu ludzi nauki wyraziło swoje przekonanie co do istnienia zjawisk, których nie da się wytłumaczyć... powiedzmy, łatwowiernością panny Tripp.

— Wierzysz zatem w bajdurzenie o świecącej aureoli otaczającej głowę panny Arundell?

Poirot machnął ręką.

— Mówiłem ogólnie, ganiać twój całkowicie bezrozumny sceptycyzm. Wyrobiwszy sobie pewną opinię na temat panien Tripp, stwierdzam, iż powinienem bardzo uważnie zbadać wszystkie fakty, które mi przedstawiły. Głupie kobiety zawsze pozostaną głupie, *mon ami*, niezależnie od tego, czy będą mówić o spirytyzmie, polityce, stosunkach między przedstawicielami obu płci czy o doktrynie buddyzmu.

— Mimo to z wielką uwagą słuchałeś tego, co miały do powiedzenia.

— Takie było moje dzisiejsze zadanie — słuchać. Dowiedzieć się jak najwięcej o siedmiorgu ludziach — a zwłaszcza o piątce znajdującej się w głównym kręgu naszych zainteresowań. Poznaliśmy już pewne ich cechy. Weźmy dla przykładu pannę Lawson. Od panien Tripp usłyszeliśmy, że jest oddana, bezinteresowna, prostoduszna, ogółem — świetlana z niej postać. Panna Peabody przedstawiła ją jako kobietę łatwowierną, głupią, pozbawioną zimnej krwi bądź rozumu, by porywać się na zbrodnię. Od doktora Graingera dowiedzieliśmy się, że nią poniewierano, że jej pozycja była niepewna i że ona sama była zahukana, nadwrażliwą kwoką — tak się, o ile pamiętam, wyraził. Kelner nazwał pannę Lawson „osobą”, a Ellen powiedziała nam, że nawet pies ją lekceważył. Każdy patrzył na nią z nieco innego punktu widzenia. Podobnie było z pozostałymi. Nikt nie miał pochlebnej opinii na temat moralności Karola Arundella, niemniej każdy mówił o nim w odmienny sposób. Doktor Grainger nazwał go pobłaźliwie „beztroskim nicponiem”. Panna Peabody twierdziła, że byłby skłonny zamordować babkę dla dwóch pensów, ale wyraźnie woli drania od fujary. Panna Tripp napomknęła, iż nie tylko jest zdolny do przestępstwa, ale że ma już coś na sumieniu. Wszystkie uboczne okoliczności są bardzo przydatne i interesujące. Wiodą nas do następnego kroku.

— To znaczy?

— Do przekonania się na własne oczy.

# Rozdział trzynasty

## Teresa Arundell

Rano następnego dnia udaliśmy się pod adres wskazany nam przez doktora Donaldsona.

Zasugerowałem Poirotowi, że dobrze byłoby złożyć wizytę prawnikowi, panu Purvisowi, lecz Poirot mocno sprzeciwił się temu pomysłowi.

— Absolutnie nie, przyjacielu. Cóż byśmy mu powiedzieli, jaki podalibyśmy powód do zasięgnięcia u niego języka?

— Zwykle nie brak nam z góry wymyślonych powodów, Poirot! Jakies stare łgarstwo załatwiłoby sprawę, prawda?

— Wprost przeciwnie, przyjacielu, stare łgarstwo, jak raczyłeś to ująć, niczego by nie załatwiło. Nie u prawnika. Dostalibyśmy — jak ty to mówisz? — srogą odprawę.

— Wobec tego — powiedziałem — nie ryzykujemy.

— Zatem wybieramy się do mieszkania Teresy Arundell.

Wspomniane mieszkanie znajdowało się w Chelsea, w kamienicy z widokiem na rzekę. Było umeblowane nowocześnie i kosztownie lśniącochromowanymi sprzętami i zasłane grubymi dywanami w geometryczne wzory.

Kazano nam czekać przez kilka minut, a potem do pokoju weszła dziewczyna i spojrzała na nas pytająco.

Teresa Arundell wyglądała na dwadzieścia osiem — — dwadzieścia dziewięć lat. Była wysoka i bardzo szczupła, jej postać nasuwała skojarzenie z wyolbrzymionym, czarno — białym rysunkiem. Miała kruczoczarne włosy, twarz pokrytą mocnym makijażem, trupio błądą.. Dziwacznie wyskubane brwi nadawały jej wyraz ironiczny i drwiący. Usta stanowiły jedyną barwną plamę — połyskującą smugę szkarłatu na białej twarzy. Sprawiała zarazem wrażenie — nie mam pojęcia, jakim cudem, zachowywała się bowiem w sposób niemal zblazowany — osoby obdarzonej przynajmniej dwukrotnie większym wigorem niż zwykli ludzie. Wyczuwało się w niej przyczajoną energię, gotową uwolnić się jak za trzaś — nieciem z bicza.

Przenosiła chłodne, pytające spojrzenie ze mnie na Poirota.

Zmęczony (miałem nadzieję) oszustwami Poirot posłał tym razem własny bilet wizytowy. Dziewczyna obracała go teraz w palcach.

— Pan Poirot, jak się spodziewam?

Poirot skłonił się, prezentując swe najlepsze maniery.

— Do usług, *mademoiselle*. Pozwoli pani, że zabiorę kilka chwil z pani cennego czasu?

Z ledwie wyczuwalnym naśladownictwem stylu bycia Poirota odparła:

— Będę zachwycona, panie Poirot. Proszę usiąść.

Poirot ostrożnie zajął miejsce na niskim fotelu klubowym. Ja wybrałem proste chromowane krzesło z plecionym siedzeniem. Teresa usiadła nonszalancko na niskim taborecie przed kominkiem. Poczęstowała nas obu papierosami. Ponieważ odmówiliśmy, zapaliła sama.

— Może znane jest pani moje nazwisko, *mademoiselle*?

Skinęła głową.

— Mały przyjaciel Scotland Yardu. Nie mylę się, prawda?

Sądzę, że Poirotowi taki opis nie przypadł zbyt do gustu. Odparł z pewną wyniosłością:

— Zajmuję się problemem zbrodni, *mademoiselle*.

— Strasznie pasjonujące zajęcie — rzekła Teresa Arundell znudzonym głosem. — Jaka szkoda, że zgubiłam notes z autografami.

— Sprawa, którą się zajmuję, jest następująca — ciągnął Poirot. — Wczoraj otrzymałem list od pani ciotki.

Jej oczy — duże, w kształcie migdałów — otworzyły się nieco szerzej. Wypuściła kłęb dymu.

— Od mojej ciotki, panie Poirot?

— W rzeczy samej, *mademoiselle*. Odezwała się półgłosem:

— Przykro mi, jeśli w jakikolwiek sposób psuję panu zabawę, ale, widzi pan, nikt taki nie istnieje. Wszystkie moje ciotki zmarły. Ostatnia dwa miesiące temu.

— Panna Emilia Arundell?

— Tak, Emilia Arundell. Chyba nie dostaje pan listów od nieboszczyków, panie Poirot?

— Czasami dostaję, *mademoiselle*.

— Co za makabra!

W jej głosie pojawiła się jednak nowa nuta — raptownej czujności.

— I cóż takiego pisała moja ciotka?

— Tego w obecnej chwili nie mogę pani zdradzić. Chodziło o nieco — zakasłał — delikatną kwestię.

Zapadło chwilowe milczenie. Teresa Arundell zaciągnęła się papierosem. Potem powiedziała:

— Wszystko to brzmi cudownie tajemniczo. Ale co dokładnie ja mam z tym wspólnego?

— Miałem nadzieję, *mademoiselle*, że zgodzi się pani odpowiedzieć na kilka pytań.

— Jakich pytań?

— Dotyczących spraw rodzinnych.

Znowu spostrzegłem, że szerzej otworzyła oczy.

— Jakież to nاپuszone! Może poda mi pan przykład.

— Proszę bardzo. Zna pani obecny adres swego brata Karola?

Teraz oczy się zwęziły. Jej ukryta energia stała się mniej widoczna. Tak jakby skryła się w skorupie.

— Niestety nie. Niewiele ze sobą korespondujemy. Sądzę, że opuścił Anglię.

— Rozumiem.

Poirot zamilkł na chwilę.

— Tylko tyle chciał pan wiedzieć?

— Mam inne pytania. Po pierwsze: czy jest pani zadowolona ze sposobu, w jaki ciotka rozporządziła majątkiem? Po drugie: od jak dawna jest pani zaręczona z doktorem Donaldsonem?

— Skacze pan z tematu na temat.

— *Eh bien?*

— *Eh bien* — skoro tacy z nas cudzoziemcy — moja odpowiedź na oba pana pytania brzmi: nie pańska sprawa! *Ça ne vous regarde pas, Monsieur Hercule Poirot.*

Poirot przyglądał się jej bacznie przez chwilę. Następnie wstał, nie zdradzając żadnych oznak rozczarowania.

— A więc tak! Cóż, nie czuję się zaskoczony. Proszę pozwolić, *mademoiselle*, że pogratuluję pani francuskiego akcentu. Życzę miłego poranka. Chodźmy, Hastings.

Dotarliśmy do drzwi, kiedy dziewczyna przemówiła. Znowu przyszło mi do głowy porównanie z biczem. Nie ruszyła się z poprzedniego miejsca, ale dwa wypowiedziane przez nią słowa zabrzmiały właśnie jak trzaśnięcie z bicza.

— Proszę wrócić! — rzekła.

Poirot posłuchał z ociąganiem. Ponownie usiadł i popatrzył na nią pytająco.

— Skończmy tę błazenadę — powiedziała. — Może okazać się pan mi pomocny, panie Herkulesie Poirot.

— Jestem zachwycony, *mademoiselle*. W jaki sposób? Pomiędzy jednym a drugim zaciągnięciem się papierosem odpowiedziała bardzo spokojnie, bez zająknięcia:

— Mówiąc mi, jak obalić testament.

— Prawnik z pewnością...

— Tak, może prawnik, gdybym знаła kogoś odpowiedniego. Ale jedyni prawnicy, jakich znam, są szanowanymi obywatelami. Poradzą, że ponieważ testament pozostaje w mocy prawnej, wszelka próba jego podważenia będzie zbytecznym wydatkiem.

— Pani zaś im nie wierzy.

— Wierzę, że zawsze istnieje jakieś wyjście — jeśli nie wahamy się odrzucić skrupułów i jesteśmy gotowi sypać groszem. A ja jestem na to przygotowana.

— I zakłada pani, że ja jestem gotów działać bez skrupułów za właściwe wynagrodzenie?

— Przekonałam się, iż ta metoda sprawdza się w wypadku większości ludzi. Nie rozumiem, dlaczego miałby pan być wyjątkiem. Na początku oczywiście wszyscy solennie zapewniają o swojej uczciwości i prawości.

— A to po prostu należy do gry? Ale co, pani zdaniem, mógłbym uczynić, gdybym był gotów odrzucić skrupuły?

— Nie wiem. Jest pan sprytny. Wszyscy o tym wiedzą. Mógłby pan wymyślić jakiś plan.

— Na przykład?

Teresa Arundell wzruszyła ramionami.

— Pańska w tym głowa. Niech pan skradnie testament i podłoży podrobiony... Niech pan porwie tę Lawson i wymusi na niej zeznanie, że groźbami nakłoniła Emilię Arundell do takiego rozdysponowania majątkiem. Albo przedstawi późniejszy testament, sporządzony przez Emilię na łożu śmierci.



— Pani bogata wyobraźnia zapiera mi dech w piersiach, *mademoiselle*!

— Więc jaka jest pańska odpowiedź? Byłam wystarczająco szczerą. Jeśli cnotliwie pan odmawia, tam są drzwi.

— Nie odmawiam cnotliwie... na razie — odparł Poirot.

Teresa Arundell wybuchnęła śmiechem. Popatrzyła na mnie.

— Pański przyjaciel — zauważyła — wygląda na zgorzzonego. Wyślemy go na spacer wokół kamienicy?

Poirot zwrócił się do mnie z lekką irytacją.

— Błagam, Hastings, panuj nad swą nieskazitelną i prawą naturą. Proszę o wybaczenie mojemu przyjacielowi, *mademoiselle*. Jest. jak pani spostrzegła, uczciwy. Ale jest również wierny i absolutnie lojalny wobec mnie. Pragnę podkreślić, że cokolwiek mielibyśmy uczynić, w każdym wypadku będziemy działać ściśle w granicach prawa.

Uniosła nieznacznie brew.

— Prawo — dorzucił z namysłem Poirot — pozostawia niemałą swobodę.

— Rozumiem — uśmiechnęła się blado. — Dobrze, uznamy to za rzecz samo przez się zrozumiałą. Chce pan omówić wysokość pańskiego udziału — jeśli uda się dopiąć celu?

— To również można uznać za oczywiste. Zadowolę się jakimś ciekawym kąskiem.

— Załatwione — oznajmiła Teresa. Poirot pochylił się do przodu.

— A teraz proszę posłuchać, *mademoiselle*. Zwykle — powiedzmy w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto — stoję po stronie prawa. Ale ten setny raz jest inny. Przede wszystkim zazwyczaj przynosi dużo większe korzyści... Jednak trzeba działać bardzo spokojnie, rozumie pani, w sposób niemal tajny. Moja reputacja nie może ucierpieć. Muszę zachować ostrożność. Teresa Arundel kiwnęła głową.

— Wyjątkowo rozsądne podejście.

— Doskonale. A zatem, kiedy sporządzono testament?

— Dwudziestego pierwszego kwietnia.

— A poprzedni?

— Ciotka Emilia spisała go pięć lat temu.

— Jakie zawierał postanowienia?

— Po odjęciu legatów dla Ellen i poprzedniej kucharki całość majątku miała być podzielona pomiędzy potomstwo jej brata, Tomasza, oraz siostry Arabelli.

— Czy pieniędzmi zarządzał powiernik?

— Nie, były całkowicie do naszej dyspozycji.

— Teraz proszę uważać. Czy wszyscy spadkobiercy znali postanowienia testamentu?

— Tak. Były znane Karolowi i mnie, Belli również. Ciotka Emilia nie robiła z tego żadnej tajemnicy. Gdy tylko ktoś z nas prosił o pożyczkę, zwykle mawiała: dostaniecie wszystkie pieniądze, kiedy odejdę z tego świata. Powinno wam to wystarczyć.

— Odmówiłaby pożyczania pieniędzy na wypadek choroby lub innej palącej potrzeby?

— Nie, raczej nie — odparła powoli Teresa.

— Uważała jednak, że wystarcza wam na życie?

— Tak, tak sądziła.

W jej głosie zabrzmiała nuta gorzkości.

— Tymczasem pani była odmiennego zdania? Teresa wstrzymała się na chwilę z odpowiedzią. Potem rzekła:

— Ojciec zostawił nam po trzydzieści tysięcy funtów. Odsetki z bezpiecznie ulokowanych pieniędzy wynoszą około tysiąc dwieście funtów rocznie. Trzeba jeszcze odjąć podatek dochodowy. Zostaje ładna sumka, która pięknie pozwala związać koniec z końcem. Lecz ja — zmieniła głos, wyprostowała szczupłe ciało i odrzuciła w tył głowę, a cała ta cudowna witalność, którą wyczułem w niej na samym początku, ukazała się w pełnej krasie — ja pragnę od życia czegoś więcej! Wszystkiego, co najlepsze! Najlepszego jedzenia, najlepszych ubrań i, co idzie z tym w parze, piękna — nie zaś jedynie odpowiedniego okrycia zgodnego z powszechnie obowiązującą modą. Chcę cieszyć się pełnią życia — pojechać nad Morze Śródziemne i pływać latem w ciepłych falach, zasiadać do ekscytującej gry z grubymi plikami banknotów, wydawać szalone, zwariowane, ekstrawaganckie przyjęcia. Pragnę wszystkiego, co liczy się na tym parszywym świecie — nie kiedyś w przyszłości, tylko teraz!

Jej głos był cudownie ekscytujący, ożywiony, radosny, upajający.

Poirot bacznie ją obserwował.

— A pani ma dosyć czekania?

— Tak, Herkulesie. Dosyć!

— Ile pozostało z trzydziestu tysięcy? Teresa nagle się roześmiała.

— Dwieście dwadzieścia jeden funtów, czternaście szylingów i siedem pensów. Oto dokładny bilans. Rozumie pan zatem, że płacę za wyniki. Nie ma wyników, nie ma zapłaty.

— W takim razie — powiedział rzeczowo Poirot — z pewnością będą wyniki.

— Jest pan wspaniałym mężczyzną, Herkulesie. Cieszę się, że się dogadaliśmy.

Poirot ciągnął urzędowym tonem:

— Jest jeszcze kilka spraw, o których powinienem być koniecznie poinformowany. Czy zażywa pani narkotyki?

— Nigdy.

— Pije pani alkohol?

— Dość dużo — lecz nie dlatego, że lubię. Piją moi znajomi, a ja dotrzymuję im towarzystwa, ale mogę przestać nawet jutro.

— To mnie zupełnie zadowala.

Roześmiała się.

— Nie zdradzę się z niczym pod wpływem alkoholu, Herkulesie.

Poirot kontynuował.

— Romanse?

— Liczne w przeszłości.

— A obecnie?

— Tylko Rex.

— Czyli doktor Donaldson?

— Tak.

— Życie, o którym pani wspomniała, jest mu chyba całkiem obce?

— To prawda.

— Mimo to darzy go pani uczuciem. Zastanawiam się, dlaczego?

— Cóż mają tu do rzeczy powody? Dlaczego Julia zakochała się w Romeo?

— Po pierwsze, z całym szacunkiem należnym Szekspirowi, był pierwszym mężczyzną, jakiego w

życiu spotkała.

Teresa wolno odparła:

— Rex nie jest pierwszym napotkanym przeze mnie mężczyzną — w żadnym wypadku.

Po chwili dodała przyciszonym głosem:

— Jednak myślę... czuję, że będzie ostatnim mężczyzną w moim życiu.

— Jest przecież człowiekiem niezamożnym, *mademoiselle*.

Skinęła głową.

— On również potrzebuje pieniędzy?

— Rozpaczliwie. Och, nie z tych samych powodów, co ja. Nie pragnie ani luksusu, ani piękna, ani podniet — żadnej z tych rzeczy. Mógłby nosić ten sam garnitur, póki by się nie przetarł, codziennie z chęcią jadłby na lunch mrożone kotlety i kąpał się w popękanej blaszanej wannie. Gdyby miał pieniądze, przeznaczyłby je w całości na próbówki, laboratorium i tego rodzaju rzeczy. Jest ambitny. Praca znaczy dla niego wszystko. Więcej niż... ja.

— Wiedział, że odziedziczy pani pieniądze po śmierci panny Arundell?

— Powiedziała mu o tym. Już po zaręczynach. Nie poślubia mnie dla pieniędzy, jeśli to chciał pan zasugerować.

— Jesteście nadal zaręczeni?

— Oczywiście.

Poirot nic na to nie odpowiedział. Jego milczenie wydawało się ją niepokoić.

— Oczywiście, że tak — powtórzyła gwałtownie i zaraz dorzuciła — czy pan... pan się z nim widział?

— Wczoraj. W Market Basing.

— Po co? Co mu pan powiedział?

— Nic. Poprosiłem jedynie o adres pani brata.

— Karola? — jej głos zabrzmiał ostro. — Czego pan chce od Karola?

— Komu potrzebny Karol? — rozległ się jakiś nowy głos — męski, urzekający.

Do pokoju wszedł młodzieniec o ogorzałej twarzy, na której rozkwitł szeroki, sympatyczny uśmiech.

— Kto tu o mnie mówi? — spytał. — Usłyszałem w holu swoje imię, ale dalej nie podsłuchiwałem. W poprawczaku zabraniali podsłuchiwania. Moja droga Tereso, o co właściwie chodzi? Wal prosto z mostu.

# Rozdział czternasty

## Karol Arundell

Muszę przyznać, iż Karol Arundell wzbudził moją skrytą sympatię od pierwszego wejrzenia. Było w nim coś jowialnego i beztroskiego. W jego oczach skrzyła się wesołość, a do tego nie spotkałem dotąd nikogo o równie rozbrajającym uśmiechu.

Przeciął pokój i przysiadł na poręczy masywnego, wyściełanego fotela.

— Co się tu dzieje, skarbie? — spytał.

— Karolu, przedstawiam ci pana Herkulesa Poirota. Jest gotów wykonać dla nas małą brudną robotę w zamian za drobne wynagrodzenie.

— Protestuję — wykrzyknął Poirot. — Nie brudną robotę — powiedzmy raczej: małe niewinne szachrajstwo — ażeby wypełnić pierwotną wolę testatorki. Ujmijmy to w ten sposób.

— Jak tylko pan sobie życzy — oznajmił zgodnie Karol. — Ciekaw jestem, co skłoniło Teresę do pomyślenia właśnie o panu?

— Nic — odparł szybko Poirot. — Przyszedłem tutaj z własnej woli.

— Zaoferować swoje usługi?

— Niezupełnie. Pytałem o pana. Pańska siostra powiedziała, że udał się pan za granicę.

— Teresa — rzekł Karol — jest bardzo troskliwą siostrą. Rzadko popełnia błędy. Prawdę mówiąc, jest podejrzliwa jak wszyscy diabli.

Uśmiechnął się do niej czule, lecz ona nie odpowiedziała tym samym. Wyglądała na zatroskaną i pogrążoną w myślach.

— A jakże — rzekł Karol. — Czy nie nastąpiło tu odwrócenie ról? O ile mi wiadomo, pan Poirot słynie z tropienia przestępców, a nie ze wspomagania ich w niecznych postępkach?

— Nie jesteśmy przestępcami — powiedziała ostrym tonem Teresa.

— Ale chętnie się w nich przedzierzgniemy — odparł grzecznie Karol. — Sam pomyślałem o małym fałszerstwie. To moja specjalność. Wyrzucili mnie z Oxfordu z powodu drobnego nieporozumienia z cukiernikiem. Rzecz była dziecinnie łatwa — kwestia dopisania zera. Potem była kolejna afery z ciotką Emilią i lokalnym bankiem. Postąpiłem oczywiście jak ostatni idiota. Powinienem był zdawać sobie sprawę, że ciotka jest bardzo bystrą kobieciną. W każdym razie tamte

incydenty były fraszką — chodziło o piątaka albo dyszkę — ta kategoria. Testament spisany na łożu śmierci byłby rzeczą ze wszech miar ryzykowną. Trzeba by było dorwać tę sztywną i nieugiętą Ellen i nakłonić ją do złożenia fałszywych zeznań. Obawiam się, że nie poszłoby jak z płatka. Mógłbym się z nią nawet ożenić, a wtedy nie mogłaby świadczyć przeciwko mnie.

Posłał Poirotowi szeroki, miły uśmiech.

— Bez wątpienia zainstalował pan tutaj ukryty dyktafon i Scotland Yard podsłuchuje każde słowo — powiedział.

— Interesuje mnie ta sprawa — odparł Poirot z cieniem nagany w głosie. — Naturalnie nie mógłbym maczać palców w czymś niezgodnym z prawem. Istnieje jednak więcej sposobów... — urwał znacząco.

Karol Arundell z wdziękiem wzruszył ramionami.

— Nie wątpię, że prawo oferuje równie bogaty wybór zmyślnych sztuczek — zgodził się. — Pan powinien się orientować.

— Kto był obecny przy sporządzaniu testamentu? Mam na myśli dokument z dwudziestego pierwszego kwietnia?

— Purvis przyprowadził urzędnika ze swojej kancelarii, a drugim świadkiem był ogrodnik.

— Wobec tego testament podpisano w obecności pana Purvisa?

— Tak.

— A pan Purvis jest, jak mniemam, człowiekiem cieszącym się najwyższym szacunkiem?

— Purvis, Purvis, Charlesworth i znowu Purvis są mniej więcej tak szacowni i nieskazitelni jak Bank of England — oświadczył Karol.

— Nie miał ochoty sporządzać testamentu — wtrąciła Teresa. — Na swój nienaganny sposób usiłował nawet odwieść ciotkę Emilię od tego pomysłu.

— Powiedział ci o tym, Tereso? — spytał ostro Karol.

— Tak. Wczoraj odwiedziłam go ponownie.

— To nie ma sensu, moja droga — musisz zdać sobie z tego sprawę. Jedynie tracisz pieniądze.

Teresa wzruszyła ramionami. Poirot powiedział:

— Będę prosił o podanie możliwie jak najwięcej informacji o ostatnich tygodniach życia panny Arundell. O ile mi wiadomo, pani wraz z bratem, a także doktor Tanios i jego żona spędziliście tam Wielkanoc?

— Tak.

— Czy wydarzyło się wówczas coś istotnego?

— Nie sędzę.

— Nic? Wydawało mi się... Wtrącił się Karol.

— Jaka z ciebie egocentryczka, Tereso. Tobie nie przydarzyło się nic istotnego. Zakochana po uszy! Musi pan wiedzieć, panie Poirot, że Teresa ma w Market Basing błękitnookiego adoratora. Miejscowego konowała. Wskutek tego ma obecnie zaburzone wyczucie proporcji. Tymczasem moja czigodna ciotka stoczyła się ze schodów na główkę i o mały włos się nie zabiła. A szkoda. Oszczędziłaby nam zachodu.

— Spadła ze schodów?

— Tak, potknęła się o psią piłkę. Inteligentne bydlę zostawiło ją na szczycie schodów, a ciotka nadepnęła na nią po ciemku i runęła na główkę.

— Kiedy to było?

— Zaraz... we wtorek, w przeddzień naszego wyjazdu.

— Doznała poważnych obrażeń?

— Niestety, nie uderzyła się w głowę. Gdyby tak było, moglibyśmy powołać się na rozmiękczenie mózgu — czy jak to się tam naukowo nazywa. Nie, wyszła z tego prawie bez szwanku.

— Wielce to pana rozczarowało! — skomentował oschle Poirot.

— Słucham? Och, rozumiem, co ma pan na myśli. Tak, ma pan rację, wielkie rozczarowanie. Twarde sztuki z tych staruszek.

— Wszyscy wyjechaliście w środę rano?

— Tak.

— Czyli piętnastego. Kiedy ponownie widział się pan z ciotką?

— Nie w najbliższy weekend. Tydzień później.

— To wypadaloby... chwileczkę... dwudziestego piątego, zgadza się?

— Tak, to chyba właściwa data.

— A ciotka zmarła — kiedy?

— W następny piątek.



— Zachorowawszy w poniedziałek wieczorem?

— Tak.

— W dniu, kiedy pan wyjechał?

— Tak.

— Nie odwiedzał jej pan w chorobie?

— Dopiero w piątek. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że tak z nią źle.

— Zdążył pan zobaczyć ją przed śmiercią?

— Nie, zmarła, zanim przyjechałem.

Poirot przeniósł wzrok na Teresę Arundell.

— Towarzyszyła pani bratu przy obu okazjach?

— Tak.

— Czy za drugim razem nie było mowy o spisywaniu nowego testamentu?

— Nie — odparła Teresa.

Na pytanie jednocześnie odpowiedział Karol.

— Ależ tak — rzekł. — Była.

Powiedział to równie beztrąsko, jak mówił dotąd, lecz tym razem zabrzmiało w tym coś wymuszonego, jak gdyby ta niedbałość była bardziej sztuczna niż zwykle.

— Była? — dopytywał się Poirot.

— Karolu! — zawołała Teresa.

Karol wyraźnie starał się unikać wzroku Teresy. Mówił do niej, wcale na nią nie patrząc.

— Z pewnością pamiętasz, skarbie. Mówiłem ci. Ciotka Emilia przedstawiła swe ostateczne stanowisko. Przypominała sędziego na sali rozpraw. Wygłosiła mowę. Oświadczyła, że całkowicie potępia poczynania swoich krewnych — to znaczy Teresy i moje. Przyznała, że nie ma nic przeciwko Belli, lecz z drugiej strony nie lubi jej męża i mu nie ufa. Popieraj Anglię — to było zawsze motto ciotki Emilii. Gdyby Bella miała odziedziczyć pokaźną sumę pieniędzy, Tanios znalazłby jakiś sposób na jej zagarnięcie — powiedziała, że jest o tym przekonana. Grek postąpiłby tak, nie mrugnawszy okiem! „Tak będzie dla niej bezpieczniej”, ciągnęła. Potem oznajmiła, że ani ja, ani Teresa nie należymy do ludzi, którym można spokojnie powierzyć pieniądze. Wszystko byśmy

roztrwonili i przegrali. Dlatego, podsumowała, sporządziła nowy testament i zapisała cały majątek pannie Lawson. „Jest głupia — mówiła ciotka Emilia — ale to wierna dusza. Wierzę, iż jest mi naprawdę oddana. Cóż jest winna, że brak jej rozumu? Uznałam, że uczciwiej będzie cię o tym poinformować, Karolu, nie zaszkodziłoby bowiem, gdybyś sobie uświadomił, że nie będziesz mógł podjąć moich pieniędzy zgodnie ze swoimi oczekiwaniami”. To ostatnie było dość złośliwe. Właśnie o to się starałem.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś, Karolu? — spytała z oburzeniem Teresa.

— I co pan odpowiedział, panie Arundell? — indagował dalej Poirot.

— Ja? — rzekł niedbale Karol. — Po prostu się roześmiałem. Złość na nic się nie zda. Nie tędy droga. „Jak sobie życzysz, ciociu Emilio”, powiedziałem. „Choć to dla mnie cios, ostatecznie to twoje pieniądze i możesz z nimi robić, co tylko ci się podoba”.

— Jak zareagowała ciotka?

— Pozytywnie, bardzo pozytywnie. Powiedziała: „Zachowanie godne prawdziwego sportowca, Karolu”. A ja na to: „Trzeba umieć godzić się z przeciwnościami losu. A skoro nie mogę już niczego oczekiwać, może teraz dostałbym dziesiątkę?” Ona odparła, że mam tupet i w końcu rozstała się z banknotem pięciofuntowym.

— Bardzo zręcznie ukrył pan swe uczucia.

— Prawdę mówiąc, nie potraktowałem jej słów zbyt poważnie.

— Nie?

— Pomyślałem, że to rodzaj chwytu ze strony staruszki. Chciała nas wszystkich przestraszyć. Sprytnie podejrzewałem, że po upływie kilku tygodni bądź miesięcy podrze testament na strzępy. Ciotka Emilia stawiała rodzinę ponad wszystko. W gruncie rzeczy myślę, że właśnie tak by postąpiła, gdyby nie umarła tak piekielnie zniecka.

— Hmm, interesujący pomysł — rzekł Poirot. Przez chwilę milczał, po czym kontynuował indagację.

— Czy ktokolwiek, na przykład panna Lawson, mógł podsłuchać tę rozmowę?

— Raczej tak. Nie rozmawialiśmy bynajmniej szeptem. Faktem jest, że ta Lawson kręciła się pod drzwiami, kiedy wychodziłem. Moim zdaniem weszła.

Poirot skierował na Teresę zamyślane spojrzenie.

— Pani nic o tym nie wiedziała?

Nim zdążyła odpowiedzieć, wtrącił się Karol.

— Tereso, skarbie; jestem pewien, że ci mówiłem, albo przynajmniej o tym napomknąłem.

Zapadło dziwne milczenie. Karol nie odrywał od Teresy oczu, a w jego spojrzeniu malowały się niepokój i nieustępliwość, które zdawały się być zupełnie niewspółmierne do tematu.

Teresa wolno odparła:

— Gdybyś mi mówił, chyba nie mogłabym o tym zapomnieć, jak pan sądzi, panie Poirot?

Zwróciła na niego ciemne oczy o kształcie migdałów.

— Nie mogłaby pani o tym zapomnieć, panno Arundell.

Następnie odwrócił się gwałtownie do Karola.

— Wyjašnjmy do końca jedną kwestię. Czy panna Arundell mówiła panu o zamiarze zmiany testamentu, czy też powiedziała wyraźnie, że już jej dokonała?

Karol odpowiedział natychmiast.

— Wyraziła się zupełnie jasno. A nawet pokazała mi nowy testament.

Poirot pochylił się do przodu. Otworzył szeroko oczy.

— To ogromnie ważne. Twierdzi pan, iż panna Arundell pokazała panu testament?

Karol zaczął się nagle wiercić niczym uczeń — co było dość rozbijające. Powaga Poirota sprawiła, że poczuł się nieswojo.

— Tak — odpowiedział. — Pokazała.

— Może pan wyraźnie poświadczyć to pod przysięgą?

— Oczywiście.

Karol spoglądał nerwowo na Poirota.

— Nie rozumiem, dlaczego to takie istotne — dorzucił. Teresa wykonała gwałtowny ruch. Podniosła się z miejsca i stanęła przy kominku. Szybko zapaliła kolejnego papierosa.

— A pani, *mademoiselle*? — Poirot odwrócił się do niej raptownie. — Czy podczas tamtego weekendu nie usłyszała pani z ust ciotki nic znaczącego?

— Raczej nie. Ciotka była... całkiem miła. To znaczy taka jak zwykle. Zrobiła mi krótki wykład na temat mojego sposobu życia i tak dalej. Ale tego nie darowała sobie nigdy. Może wydawała się nieco bardziej nerwowa niż zwykle.

Poirot rzekł z uśmiechem:

— Przypuszczam, *mademoiselle*, że była pani bardziej zaabsorbowana swoim narzeczonym?

— Nie było go tam. Wyjechał na jakiś kongres lekarzy — odparła ostro Teresa.

— A zatem nie widziała się z nim pani od czasu Wielkanocy? Czy to było wasze ostatnie spotkanie?

— Tak, przyszedł na kolację w przeddzień naszego wyjazdu.

— Proszę wybaczyć to pytanie — czy wtedy nie doszło między wami do żadnej sprzeczki?

— Z pewnością nie.

— Pomyślałem sobie tylko, że skoro był nieobecny podczas pani kolejnych odwiedzin...

— Ale widzi pan, ta druga wizyta nie była planowana. Pojechaliśmy tam pod wpływem nagłego impulsu — wtrącił Karol.

— Doprawdy?

— Och, nie ukrywajmy prawdziwych powodów — rzekła Teresa znużonym głosem. — Bella pojechała tam z mężem tydzień wcześniej krzątać się wokół ciotki Emilii w związku z jej wypadkiem. Pomyśleliśmy, że mogą nas ubiec...

— Postanowiliśmy i my okazać odrobinę troski o zdrowie ciotki Emilii — powiedział Karol, szczerząc w uśmiechu zęby. — Jednak staruszka miała za wiele sprytu, by dać się nabrać na numer z troskliwą opieką. Doskonale wiedziała, ile to warte. Cwana sztuka z tej ciotki Emilii.

Teresa nagle się roześmiała.

— Ładna historia, co? Cała rodzina czyha na pieniądze z wywieszonymi językami.

— Czy tak było w wypadku pani kuzynki i jej męża?

— O tak, portfel Belli zawsze świeci pustkami. Osiąga żalosne efekty, próbując naśladować moje ubrania za jedną ósmą ceny. Moim zdaniem Tanios spekulował za jej pieniądze. Teraz muszą zachodzić w głowę, jak związać koniec z końcem. Mają dwójkę dzieci, które chcieliby kształcić w Anglii.

— Może mi pani podać ich adres? — spytał Poirot.

— Zatrzymali się w hotelu Durham w Bloomsbury.

— Jaką osobą jest pani kuzynka?

— Bella? To ponura kobieta. Prawda, Karolu?

— Zdecydowanie. Trochę przypomina skórka. Jest oddaną matką. Skórki chyba też są oddane swemu potomstwu.

— A jej mąż?

— Tanios? Wygląda dość specyficznie, ale to z gruntu sympatyczny gość. Błyskotliwy, zabawny, a do tego dobry kompan.

— Pani się z tym zgadza?

— Muszę przyznać, że wolę go od Belli. Jest, jak sędzę, piekielnie zdolnym lekarzem. Mimo wszystko zbytnio bym mu nie ufała.

— Teresa — rzekł Karol — nie ufa nikomu. Objął ją ramieniem.

— Nawet mnie — dodał.

— Tobie, mój drogi, zaufałyby tylko ktoś upośledzony umysłowo — odparła uprzejmie Teresa.

Rodzeństwo odsunęło się od siebie i popatrzyło na Poirota. Ten skłonił się i ruszył w stronę drzwi.

— Zabieram się do roboty. Nie będzie łatwo, ale panna Teresa ma rację. Zawsze istnieje jakiś sposób. A propos, czy panna Lawson jest osobą, która mogłaby stracić głowę w sądzie, wzięta w krzyżowy ogień pytań?

Karol i Teresa wymienili spojrzenia.

— Myślę, że naprawdę bezwzględny Doradca Królewski\* potrafiłby doprowadzić do tego, że pomyliłaby czarne z białym.

— To może okazać się bardzo użyteczne — rzekł Poirot.

Wymknął się z pokoju, a ja poszedłem w jego ślady. W holu wzięł kapelusz, podszedł do drzwi frontowych, otworzył je i zaraz zamknął z trzaskiem. Potem zbliżył się na palcach do drzwi salonu i bezwstydnie przyłożył ucho do szpary. Nie wiem, w jakiej szkole kształcił się Poirot, w każdym razie najwidoczniej nie obowiązywały tam żadne niepisane zasady dotyczące podsłuchiwania. Byłem przerażony, ale bezsilny. Dawałem mu rozpaczliwe znaki, lecz nie zwracał na nie uwagi.

Nagle dały się wyraźnie słyszeć dwa słowa wypowiedziane głębokim, wibrującym głosem Teresy Arundell:

— Ty durniu!

W korytarzu rozległ się odgłos kroków. Poirot szybko chwycił mnie za ramię, otworzył drzwi frontowe i wyszedł na zewnątrz, zamykając je za sobą bezszelestnie.

# Rozdział piętnasty

## Panna Lawson

— Słuchaj, Poirot — odezwałem się — czy musimy podsłuchiwać pod drzwiami?

— Uspokój się, przyjacielu. Podsłuchiwałem tylko ja. Ty nie przykładając ucha do szpary w drzwiach. Wprost przeciwnie, stałeś sztywno, jakbyś kij połknął, jak jakiś żołnierz.

— Ale i tak słyszałem.

— Rzeczywiście. *Mademoiselle* raczej nie szeptała.

— Ponieważ myślała, że już nas nie ma.

— Tak, dopuściliśmy się drobnego podstępu.

— Nie pochwalam takich rzeczy.

— Twoja moralność jest bez zarzutu! Ale po co się powtarzać? Identyczne rozmowy odbyliśmy już przy innych okazjach. Ty byś teraz powiedział, że to nie przelewki. Zaś ja powinienem odpowiedzieć, iż morderstwo nie jest wcale zabawą.

— Przecież tutaj nie ma mowy o morderstwie.

— Nie bądź taki pewien.

— Z zamiarem być może mamy tu do czynienia. Lecz mimo wszystko zabójstwo i usiłowanie zabójstwa to dwie różne rzeczy.

— Pod względem moralnym nie różnią się niczym. Jednak chodziło mi o to, czy jesteś tak bardzo pewien, że naszą uwagę absorbuje wyłącznie usiłowanie zabójstwa?

Wytrzeszczyłem na niego oczy.

— Panna Arundell umarła przecież z przyczyn jak najbardziej naturalnych.

— Powtarzam: czy jesteś zupełnie pewny?

— Wszyscy tak mówią!

— Wszyscy? *O la, la!*

— Tak twierdzi lekarz — zauważyłem. — Doktor Grainger. Powinien się na tym znać.

— Powinien — rzekł Poirot z niezadowoleniem. — Pamiętaj jednak, Hastings, w każdym wypadku ekshumacji zwłok okazuje się, że wezwany lekarz podpisał akt zgonu w dobrej wierze.

— Tak, ale panna Arundell zmarła na dolegliwość, która trapiła ją od wielu lat.

— Na to wygląda.

W głosie Poirota nadal pobrzmiwało niezadowolenie. Rzuciłem mu przenikliwe spojrzenie.

— Poirot — powiedziałem — rozpocznę zdanie od pytania: „czy jesteś pewien?” Czy jesteś pewien, że nie dajesz się ponieść zawodowej gorliwości? Chciałbyś, aby to było morderstwo, a więc uważasz, że tak być musi.

Cień na jego czole się pogłębił. Wolno pokiwał głową.

— Bystre spostrzeżenie, Hastings. Rozpoznałeś mój słaby punkt. Morderstwo to moja specjalność. Przypominam wybitnego chirurga, który specjalizuje się — powiedzmy — w zapaleniu wyrostka robaczkowego lub operowaniu jakiegoś rzadszego schorzenia. Przychodzi do niego pacjent, a on przygląda mu się wyłącznie pod kątem chorób, w jakich się specjalizuje. Czy występują objawy, które mogłyby wskazywać, że ten człowiek cierpi na to czy na tamto? Ja działam tak samo. Zawsze się zastanawiam: czy to może być morderstwo? I widzisz, mój przyjacielu, niemal w każdym wypadku taka możliwość istnieje.

— W tej sprawie wydaje się ona mało prawdopodobna — zauważyłem.

— Ona umarła, Hastings! To jest fakt niezaprzeczalny. Umarła!

— Była słabego zdrowia, po siedemdziesiątce. Moim zdaniem wszystko wygląda całkowicie naturalnie.

— Wydaje ci się również naturalne, że Teresa Arundell z taką mocą nazywa swego brata durniem?

— Co to ma do rzeczy?

— Wszystko! Powiedz, co sądzisz o tym oświadczeniu pana Karola Arundella, jakoby ciotka przedstawiła mu nowy testament?

Popatrzyłem ostrożnie na Poirota.

— A co ty na to powiesz? — spytałem.

Niby dlaczego Poirot miałby mieć monopol na zadawanie pytań?

— Uważam to za bardzo, ale to bardzo interesujące. Taka też była reakcja Teresy Arundell. Ich słowna potyczka daje dużo do myślenia.

— Hmm — odparłem niczym wyrocznia.

— Otwiera dwa odmienne tory dochodzenia.

— Wyglądają na ładną parę oszustów — zaobserwowałem. — Gotowych na wszystko. Dziewczyna jest zdumiewająco atrakcyjna. A co do Karola — to z pewnością pociągający łotr.

Poirot właśnie przywoływał taksówkę. Podjechała do krawężnika i Poirot podał kierowcy adres.

— Clanroyden Mansions 17, Bayswater.

— A więc teraz kolej na Lawson — skomentowałem.

— Później na Taniosów?

— Zgadza się, Hastings.

— W jaką rolę zamierzasz się wcielić? — zagadnąłem, gdy taksówka zatrzymała się pod Clanroyden Mansions.

— Biografa generała Arundella, przyszłego lokatora Littlegreen House, czy wymyśliłeś coś jeszcze subtelniejszego?

— Przedstawię się po prostu jako Herkules Poirot.

— Cóż za rozczarowanie — zadrwiłem.

Poirot jedynie rzucił mi przelotne spojrzenie i zapłacił taksówkarzowi.

Mieszkanie numer siedemnaście znajdowało się na drugim piętrze. Drzwi otworzyła pokojówka o impertynenckim wyglądzie i zaprowadziła nas do pokoju, który wprost uderzał swą niedorzecznością po wnętrzach, jakie dopiero co opuściliśmy.

Mieszkanie Teresy Arundell było ogołoczone ze sprzętów do tego stopnia, iż sprawiało wrażenie pustego. Natomiast lokum panny Lawson zostało tak zagracone meblami i bibelotami, że niemal nie można się było po nim poruszać bez obawy strącenia czegoś na podłogę.

Otworzyły się drzwi i weszła dość tęga kobieta w średnim wieku. Panna Lawson wyglądała prawie tak, jak ją sobie wyobrażałem. Miała dość bezmyślną twarz, siwe włosy w nieładzie i odrobinę przekrzywione na nosie pince-nez. Mówiła w sposób spazmatyczny, często łapiąc oddech.

— Dzień dobry... chyba się nie...

— Pani Wilhelmina Lawson?

— Tak, tak... we własnej osobie.

— Nazywam się Poirot, Herkules Poirot. Wczoraj pojechałem obejrzeć Littlegreen House.



— Tak?

Usta panny Lawson otworzyły się nieco szerzej. Nieudolnie poprawiła rozwichrzoną fryzurę.

— Nie usiądzie pan? — ciągnęła. — Proszę tutaj. Mój Boże, stół zagradza panu drogę. Trochę tu u mnie ciasno. Tak trudno się pomieścić. Ach te mieszkania! Ciut za małe. Za to w centrum. Lubię mieszkać w centrum. A pan?

Chwyciwszy powietrze, usiadła na wiktoriańskim krześle, sprawiającym wrażenie niewygodnego, pochyliła się do przodu i z zapartym tchem spojrzała na Poirota wzrokiem pełnym nadziei. Pince-nez nadal siedziało krzywo na nosie.

— Pojechałem do Littlegreen House pod pretekstem kupna domu — wyjaśnił Poirot. — Chciałbym jednak od razu zaznaczyć — mówię to pani w największej tajemnicy...

— Ależ tak — wysapala panna Lawson, najwyraźniej owładnięta przyjemnym podnieceniem.

— Jako rzecz ściśle poufną — ciągnął Poirot — że udałem się tam w innym celu... Być może jest pani zorientowana, iż wkrótce przed śmiercią panna Arundell napisała do mnie list...

Urwał na chwilę, po czym mówił dalej:

— Jestem znanym prywatnym detektywem.

Przez lekko zaczerwienione oblicze panny Lawson przemknęła cała gama rozmaitych emocji. Zastanawiałem się, który z wyrazów twarzy Poirot wyróżniłby jako istotny dla śledztwa. Trwogę, podniecenie, zaskoczenie, czy zakłopotanie.

— Aha — odparła.

Po chwili powtórzyła jeszcze raz: — Aha. A potem zupełnie nieoczekiwanie spytała:

— Chodziło o pieniądze?

Nawet Poirot trochę zdębiał. Zapytał niepewnie:

— Ma pani na myśli pieniądze, które...

— Tak, tak. Pieniądze, które zniknęły z szuflady?

— Panna Arundell nie mówiła pani, iż pisała do mnie w sprawie pieniędzy? — spokojnie indagował Poirot.

— Ależ skąd. Nie miałam pojęcia. Muszę przyznać, że jestem doprawdy zdumiona.

— Sądziła pani, że panna Arundell nikomu o tym nie wspomni?

— Wcale tak nie sądziłam. Widzi pan, ona doskonale się domyślała...

Urwała. Poirot szybko wtrącił:

— Doskonale się domyślała, kto je zabrał. To zamierzała pani powiedzieć, prawda?

Panna Lawson kiwnęła głową i bez tchu mówiła dalej.

— Nie przypuszczałam, że będzie chciała... to znaczy powiedziała... a raczej uważała...

I znów Poirot zgrabnie przerwał potok bezładnych słów.

— Że to sprawa rodzinna?

— Właśnie.

— Ale ja — rzekł Poirot — specjalizuję się w sprawach natury rodzinnej. Jestem bardzo, bardzo dyskretny.

Panna Lawson energicznie pokiwała głową.

— Och, oczywiście! To co innego. Nie to co policja.

— Zupełnie nie to co policja. Policja w ogóle nie wchodziła w grę.

— O tak. Droga panna Arundell była bardzo dumną kobietą. Oczywiście Karol już wcześniej przysparzał kłopotów, ale za każdym razem sprawę tuszowano. Kiedyś nawet musiał uciekać do Australii!

— No proszę — powiedział Poirot. — Tym razem fakty przedstawiają się następująco. Panna Arundell miała w szufladzie pewną sumę pieniędzy...

Zrobił pauzę. Panna Lawson skwapliwie potwierdziła te słowa.

— Tak, z banku. Na wypłaty i rachunki.

— Ile dokładnie brakowało?

— Czterech banknotów jednofuntowych. Ach nie, pomyliłam się, trzech banknotów jednofuntowych i dwóch dziesięcioszylingowych. Wiem, że w takich sprawach należy wyrażać się bardzo dokładnie.

Panna Lawson popatrzyła na niego z przejęciem i w roztargnieniu poprawiła pince-nez, przekrzywiając je jeszcze bardziej. Mocniej wytrzeszczyła i tak dość wylupiate oczy.

— Dziękuję pani, panno Lawson. Widzę, że ma pani doskonały zmysł do interesów.

Panna Lawson nieco się zachnęła i zaśmiała z dezaprobatą.

— Panna Arundell podejrzewała, zapewne nie bez powodu, iż sprawcą kradzieży był jej bratanek Karol — ciągnął Poirot.

— Tak.

— Mimo braku konkretnych dowodów wskazujących, kto faktycznie zabrał pieniądze?

— Ależ to musiał być Karol! Pani Tanios nie zrobiłaby czegoś takiego, a jej mąż, obcy człowiek, nie mógł wiedzieć, gdzie są przechowywane pieniądze — zresztą ona też nie. A nie myślę, żeby Teresie Arundell coś takiego w ogóle przyszło do głowy. Ma pieniędzy w bród i zawsze jest tak pięknie ubrana.

— Może ktoś ze służby — zasugerował Poirot. Panna Lawson wydawała się być tym pomysłem przerażona.

— Niemożliwe. Ani Ellen, ani Annie by się nie odważyły. Obie są kobietami absolutnie uczciwymi, jestem tego pewna.

Poirot odczekał chwilę, po czym powiedział:

— Zastanawiam się, czy mogłaby pani podsunąć mi pewne wyjaśnienie — jestem pewien, że tak, bo kto jak kto, ale pani na pewno cieszyła się zaufaniem panny Arundell...

— Naprawdę nie wiem — wyszeptała zakłopotana panna Lawson, ale wyraźnie jej to schlebiało.

— Odnoszę wrażenie, iż potrafi mi pani pomóc.

— Och, jeśli tylko zdołam... uczynię, co w mojej mocy.

— Sprawa jest poufna — mówił dalej Poirot.

Twarz panny Lawson przybrała poważny wyraz. Magiczne słowa „sprawa poufna” zdawały się być hasłem w rodzaju „Sezamie, otwórz się”.

— Czy nasuwa się pani na myśl jakikolwiek powód, dla którego panna Arundell zmieniła testament?

— Testament? Ach, testament.

Panna Lawson wyglądała na nieco zaskoczoną.

— Czy to prawda, że na krótko przed śmiercią sporządziła nowy testament, zapisując cały majątek pani? — spytał Poirot, bacznie się jej przyglądając.

— Tak, ale ja nic o tym nie wiedziałam. Kompletnie nic! — zarzekała się piskliwie panna Lawson. — Byłam wielce zaskoczona. Oczywiście to wspaniała niespodzianka! Panna Arundell okazała mi taką dobroć! I nigdy nie zdradziła się ani słowem. Nawet o tym nie napomknęła! Tak osłupiałam, gdy

pan Purvis odczytał testament, że nie wiedziałam, gdzie mam podziąć oczy, śmiać się czy płakać. Zapewniam pana, panie Poirot, doznałam szoku, prawdziwego szoku. Jaka życzliwość ze strony drogiej panny Arundell, jaka cudowna dobroć serca. Oczywiście liczyłam w duchu na jakąś cząstkę, może na maluteńki zapis, choć naturalnie nie było powodu, aby darowała mi cokolwiek. Nie towarzyszyłam jej zbyt długo. Tymczasem wszystko jest jak w bajce! Do tej pory nie mogę do końca uwierzyć. Czasem... czasem czuję się w całej tej sytuacji nieswojo. To znaczy... znaczy...

Strąciła pince-nez, podniosła je, zaczęła miętosić je w palcach i mówiła dalej w sposób jeszcze bardziej chaotyczny.

— Czasami czuję, że... ostatecznie rodzina to rodzina i trochę krępuje mnie fakt pozostawienia przez pannę Arundell całego majątku w obcych rękach. To wydaje się nie na miejscu, prawda? Nie zostawia się obcym wszystkiego. I do tego takiej dużej fortuny. Nikt nie miał o tym pojęcia! Ale można się poczuć nieswojo, tym bardziej, że wszyscy wokół gadają różne rzeczy, a przecież ja nigdy nie byłam złą kobietą. Nie odważyłabym się wywierać jakiegokolwiek nacisku na pannę Arundell. Zresztą wcale nie miałam takiej możliwości. Prawdę mówiąc, zawsze troszeczkę się jej bałam. Była taka wybuchowa, tak łatwo na człowieka napadała. Czasem bywała wręcz grubiańska! „Nie bądź skończoną idiotką”, potrafiła fuknąć. W końcu ja też mam swoje uczucia i nieraz zdarzyło się jej wytrącić mnie z równowagi... A potem dowiaduję się, że przez cały czas naprawdę darzyła mnie sympatią... cudownie, nie uważa pan? Tyle że, jak już mówiłam, często spotykałam się z jej nieuprzejmością i na pewien sposób można było się poczuć... no cóż, chyba dotknętym, prawda?

— Czy to znaczy, że wolałaby pani zrzec się pieniędzy? — spytał Poirot.

Wyobraziłem sobie przez chwilę, że wyblakłe, jasnoniebieskie oczy panny Lawson nabrały innego wyrazu. Że na mgnienie oka miejsce miłej, niezbyt rozgarniętej kobiety zajęła osoba bystra i inteligentna.

Odpowiedziała, zaśmiaawszy się krótko.

— Naturalnie jest też druga strona medalu. Każdy medal ma dwie strony. Chcę przez to powiedzieć, iż panna Arundell życzyła sobie, abym to ja otrzymała pieniądze. Gdybym ich nie przyjęła, postąpiłabym wbrew jej woli. A to również nie byłoby właściwe, prawda?

— Trudne pytanie — rzekł Poirot, potrząsając głową.

— Rzeczywiście. Ileż ja się nad nim nabiedziłam. Pani Tanios — Bella — jest bardzo przyjemną kobietą i ma kochane dzieci! Jestem przeświadczona, że panna

Arundell nie chciała, ażeby ona... widzi pan, wydaje mi się, że droga panna Arundell liczyła na mój rozsądek. Nie chciała zostawiać pieniędzy bezpośrednio Belli, ponieważ obawiała się, iż zagarnie je ten mężczyzna.

— Jaki mężczyzna?

— Jej mąż. Widzi pan, panie Poirot, on trzyma tę nieszczęsną dziewczynę pod pantoflem. A ona

stosuje się do wszystkich jego rozkazów. Pewnie byłaby zdolna kogoś zamordować, gdyby tylko jej kazał. Boi się go. Na pewno czuje przed nim lęk. Kilka razy widziałam ją po prostu przerażoną. To nie jest w porządku, panie Poirot, nie można powiedzieć, że to normalne.

Poirot niczego takiego nie powiedział. Zamiast tego zapytał:

— Jakim człowiekiem jest doktor Tanios?

— Cóż — odparła z wahaniem — to bardzo miły mężczyzna.

Urwała niezdecydowana.

— Lecz pani mu nie ufa?

— Nie ufam... Nie wiem — ciągnęła z powątpiewaniem

— czy zaufałabym jakimkolwiek mężczyźnie! Słyszysz takie okropne historie. Ile te biedne żony muszą wycierpieć! To naprawdę straszne! Oczywiście doktor Tanios udaje, że kocha swoją żonę i jest dla niej naprawdę dobry. Ma czarujące maniery. Ale ja nie ufam obcokrajowcom. Są tacy przebiegli! Jestem absolutnie pewna, że droga panna Arundell nie życzyłaby sobie, aby jej pieniądze dostały się w jego ręce!

— Utrata spadku po ciotce jest również ciosem dla Teresy Arundell i Karola — rzucił Poirot.

Na twarzy panny Lawson wykwitły plamy czerwieni.

— Teresa ma więcej pieniędzy niż jej potrzeba! — oświadczyła ostro. — Na same tylko ubrania wydaje setki funtów. I na bieliznę. To nieprzyzwoite! Kiedy pomyśli się o tylu miłych, dobrze wychowanych dziewczętach, które muszą same zarabiać na swoje utrzymanie...

— Nie zaszkodziłoby, pani zdaniem, gdyby i ona zaznała smaku pracy? — dokończył łagodnie Poirot.

Panna Lawson spojrzała na niego z powagą.

— Byłoby to tylko z pożytkiem dla niej — rzekła.

— Może wróciłby jej rozsądek. Przeciwności losu uczą wiele.

Poirot wolno pokiwał głową. Uważnie się jej przypatrywał.

— A Karol?

— Karol nie zasługuje nawet na jednego pensa — oznajmiła z mocą panna Lawson. — Skoro panna Arundell wykluczyła go z testamentu, postąpiła bardzo słusznie — po jego podłych groźbach.

— Groźbach? — Poirot podniósł brew.

— Tak, po groźbach.

— Kiedy jej groził?

— Niech się zastanowię... to było... tak, oczywiście, to było w Wielkanoc. Dokładnie w Niedzielę Wielkanocną — co czyni ten występek jeszcze bardziej nikczemnym!

— Co powiedział?

— Poprosił o pieniądze, a ona odmówiła. Wtedy powiedział, że to z jej strony nieroztropne. I że jeśli będzie podtrzymywać to stanowisko, on — zaraz, jak to on się wyraził, użył jakiegoś amerykańskiego wulgaryzmu... ach, właśnie, powiedział, że ją sprzątnie!

— Groził sprzątnięciem?

— Tak.

— A co na to panna Arundell?

— Powiedziała: „Przekonasz się, Karolu, że potrafię się o siebie zatroszczyć”.

— Była pani wtedy w pokoju?

— Niezupełnie w pokoju — odparła panna Lawson po krótkiej pauzie.

— No właśnie — rzucił szybko Poirot. — A co odpowiedział Karol?

— „Nie bądź taka pewna”.

— Czy panna Arundell potraktowała tę groźbę poważnie? — zapytał wolno Poirot.

— Nie wiem... Nic mi o tym nie wspomniała... Ale i tak by tego nie zrobiła.

— Oczywiście wiedziała pani, iż panna Arundell przygotowuje nowy testament? — spokojnie spytał Poirot.

— Ależ skąd. Mówiłam panu, że byłam całkowicie zaskoczona. Nawet mi się nie śniło...

— Nie znała pani jego treści. Ale była pani świadoma faktu sporządzania nowego testamentu? — przerwał Poirot.

— Tak podejrzewałam... Posłała po prawnika, kiedy musiała leżeć w łóżku...

— Właśnie. To miało miejsce po wypadku, prawda?

— Tak. Bob — pies — zostawił na schodach piłkę. Pani się o nią potknęła i upadła.

— Paskudny wypadek.

— Och tak, mogła łatwo złamać nogę albo rękę. Tak mówił lekarz.

— Mogła łatwo stracić życie.

— To prawda.

Jej odpowiedź zabrzmiała zupełnie naturalnie i szczerze.

— Zdaje mi się, że widziałem pana Boba w Littlegreen House — rzekł z uśmiechem Poirot.

— Spodziewam się. Kochana mała psina.

Nic mnie bardziej nie irytuje niż kiedy słyszę, jak ktoś nazywa skłonnego do harców teriera kochaną małą psiną. Nic dziwnego, pomyślałem, że Bob pogardzał panną Lawson i odmawiał wykonywania jakichkolwiek jej poleceń.

— Ogromnie inteligentne zwierzę? — indagował dalej Poirot.

— O tak.

— Byłby bardzo nieszczęśliwy, gdyby wiedział, że nieomal uśmiercił swoją panią?

Panna Lawson nie odpowiedziała. Potrząsnęła tylko głową i westchnęła.

— Uważa pani, że to możliwe, aby ten wypadek wpłynął na zmianę decyzji panny Arundell w sprawie testamentu? — spytał Poirot.

Niebezpiecznie zbliżamy się do nagiej prawdy, pomyślałem, lecz panna Lawson najwyraźniej uznała pytanie za zupełnie naturalne.

— Nie zdziwiłabym się, gdyby miał pan rację — odparła. — Przeżyła szok — tego jestem pewna. Starzy ludzie odsuwają od siebie myśl, że mogą umrzeć. Ale taki wypadek skłania ich do myślenia o śmierci. Równie dobrze mogła mieć przecucie, że zbliża się kres jej życia.

— Cieszyła się dość dobrym zdrowiem, prawda? — zapytał od niechcienia Poirot.

— O tak, bardzo dobrym.

— Choroba zaatakowała ją znienacka?

— Tak. Była zaskoczeniem. Tamtego wieczora podejmowałyśmy w domu przyjaciółki — urwała.

— Pani przyjaciółki, panny Tripp. Poznałem obie damy. Są czarujące.

Na twarzy panny Lawson zakwitł rumieniec zadowolenia.

— Prawda? Takie wykształcone kobiety. O bardzo szerokich zainteresowaniach. I tak bardzo uduchowione!

Mówiły panu być może o naszych seansach? Spodziewam się, że jest pan sceptykiem, ale z naprawdę szczerą chęcią opowiedziałabym panu o nieopisanej radości nawiązywania kontaktu ze zmarłymi.

— Nie wątpię, nie wątpię.

— Wie pan, panie Poirot, przemówiła do mnie moja matka — i to nie raz. Jaka to radość wiedzieć, że nasi bliscy nadal o nas myślą i czuwają nad nami.

— Tak, tak, doskonale rozumiem — łagodnie rzekł Poirot. — Czy panna Arundell również w to wierzyła?

Oblicze panny Lawson trochę się zachmurzyło.

— Nie miała nic przeciw temu, by dać się przekonać — odparła z powątpiewaniem. — Nie sądzę jednak, że za każdym razem podchodziła do sprawy z właściwym nastawieniem. Była sceptykiem i niedowiarkiem. A parę razy jej postawa przyciągnęła wyjątkowo niepożądanego ducha! Otrzymałyśmy bardzo nieprzyzwoite wiadomości, a wszystko z powodu stanowiska panny Arundell, jestem o tym przeświadczona.

— Bardzo prawdopodobne — zgodził się Poirot.

— Jednak tamtego wieczoru — kontynuowała panna Lawson — Izabela i Julia może panu o tym mówiły? — obserwowaliśmy wyraźne zjawiska. W rzeczywistości był to początek materializacji. Ektoplazma. Wie pan może, co to jest?

— Tak, znana mi jest istota tego zjawiska.

— Wydobywa się z ust medium w formie wstęgi i zaczyna zmieniać kształt. Jestem przekonana, panie Poirot, że panna Arundell była medium, choć sama o tym nie wiedziała. Tamtego wieczora widziałam wyraźnie świecąca wstęgę wydostającą się z jej ust! Potem świetlista mgła spowiła jej głowę.

— Niebywale interesujące!

— A później, niestety, panna Arundell nagle poczuła się źle i musiałyśmy przerwać seans.

— Kiedy wezwała pani lekarza?

— Z samego rana.

— Uznał jej stan za poważny?

— Wieczorem przysłał pielęgniarkę ze szpitala, ale moim zdaniem miał nadzieję, że panna Arundell z tego wyjdzie.

— „Nie powiadomiła pani — proszę mi wybaczyć — rodziny?



Panna Lawson oblała się rumieńcem.

— Zawiadomiłam ich najszybciej jak mogłam, to znaczy kiedy doktor Grainger oświadczył, że jej życiu zagraża niebezpieczeństwo.

— Co było przyczyną ataku? Zjadła coś nieodpowiedniego?

— Nie chodziło chyba o nic konkretnego. Doktor Grainger powiedział, że nie przestrzegała diety jak należy. Myślał, zdaje się, że atak prawdopodobnie wywołało przeziębienie. Pogoda była bardzo zdradliwa.

— Teresa i Karol Arundell spędzili tamten weekend na wsi?

Panna Lawson zacisnęła usta.

— Tak.

— Wizyta zakończyła się fiaskiem — zasugerował Poirot, nie spuszczać z niej wzroku.

— Owszem.

Po chwili dodała zjadliwie:

— Panna Arundell wiedziała, po co przyjechali!

— A po co? — spytał Poirot, cały czas ją obserwując.

— Po pieniądze! — burknęła. — I nie dostali ani pensa.

— Nie?

— Moim zdaniem doktorowi Taniosowi chodziło o to samo — mówiła dalej.

— Doktora Taniosa nie było tam podczas tego samego weekendu?

— Był. Przyjechał w niedzielę. Został tylko na godzinę.

— Wygląda na to, że wszyscy czyhali na pieniądze biednej panny Arundell — ośmielił się powiedzieć Poirot.

— Wiem, nieładnie tak myśleć.

— Ależ nie — rzekł Poirot. — Karol i Teresa Arundell musieli być wstrząśnięci, dowiedziawszy się, iż zostali definitywnie wydziedziczeni przez pannę Arundell?

Panna Lawson utkwiała w nim wzrok.

— Było inaczej? Nie poinformowała ich jasno o tym fakcie? — nagabywał dalej Poirot.

— Tego nie wiem. W każdym razie ja nic o tym nie słyszałam! O ile mi wiadomo, nie było żadnej wrzawy, żadnych awantur. Oboje wyjechali w pogodnym nastroju.

— Ach tak. Być może zostałem źle poinformowany. Panna Arundell trzymała testament w domu?

Panna Lawson upuściła pince-nez i schyliła się je podnieść.

— Naprawdę nie wiem. Ale myślę, że przechowywał go pan Purvis.

— Kto był wykonawcą testamentu?

— Pan Purvis.

— Czy po śmierci przyjechał przejrzeć dokumenty?

— Tak.

Poirot spojrział na nią przenikliwie i zadał nieoczekiwane pytanie.

— Lubi pani pana Purvisa? Panna Lawson straciła głowę.

— Czy lubię pana Purvisa? Trudno powiedzieć. Na pewno jest bardzo bystrym mężczyzną, to znaczy zdolnym prawnikiem. Za to zachowuje się dość obcesowo. Często robi się człowiekowi nieprzyjemnie, gdy ktoś mówi do niego, jakby... nie umiem tego wyjaśnić... Był całkiem uprzejmy, a zarazem wręcz grubiański.

— Znalazła się pani między młotem a kowadłem — powiedział ze współczuciem Poirot.

— I owszem.

Panna Lawson westchnęła i potrząsnęła głową. Poirot wstał.

— Bardzo dziękuję za wyświadczoną mi uprzejmość i pomoc.

Panna Lawson także podniosła się z miejsca. Wydawała się lekko podenerwowana.

— Zupełnie nie ma za co dziękować. Tak się cieszę, że mogłam choć trochę pomóc. Jeżeli będę mogła jeszcze na coś się przydać...

Poirot zawrócił od drzwi. Ściszył głos.

— Panno Lawson, sądzę, że powinna pani o czymś wiedzieć. Karol i Teresa Arundell mają nadzieję obalić testament.

Na policzkach panny Lawson pojawiły się intensywne wypieki.

— Nie mogą — powiedziała porywczo. — Tak twierdzi mój prawnik.

— A więc zasięgnęła pani rady prawnika?

— Oczywiście. Dlaczego miałabym tego nie robić?

— Nie ma żadnego powodu. Bardzo roztropne posunięcie. Do widzenia, *mademoiselle*.

Gdy wyszliśmy z Clanroyden Mansions na ulicę, Poirot wziął głęboki oddech.

— Hastings, *mon ami*, ta kobieta jest albo dokładnie taka, na jaką wygląda, albo doskonała z niej aktorka.

— Nie wierzy, by panna Arundell zmarła z przyczyn innych niż naturalne. To widać — rzekłem.

Poirot nie odpowiedział. Od czasu do czasu, kiedy mu tak wygodnie, raptownie traci słuch. Przywołał taksówkę.

— Hotel Durhain w Bloomsbury — poinstruował kierowcę.

# Rozdział szesnasty

## Pani Tanios

— Jakiś mężczyzna przyszedł się z panią zobaczyć. Kobieta, siedząca przy stole w gabinecie hotelu Durham, odwróciła głowę i z pewnym wahaniem podniosła się, aby nas przywitać.

Pani Tanios była w wieku między trzydzieści a czterdzieści lat. Wysoka, szczupła, ciemnowłosa, miała wypukłe, jasne oczy i wiecznie zmartwiony wyraz twarzy. Ubrana była w ponurą bawełnianą sukienkę, a modny kapelusz nasadziła na głowę w niemodny sposób.

— Mam wrażenie, że się nie... — zaczęła niepewnie.

Poirot się skłonił.

— Przysłała mnie pani kuzynka, Teresa Arundell.

— Och, Teresa? O co chodzi?

— Czy mógłbym prosić panią o kilka minut poufnej rozmowy?

Pani Tanios rozejrzała się apatycznie. Poirot wskazał sofę stojącą w odległym rogu pokoju. Gdy tylko ruszyliśmy z miejsca, usłyszeliśmy jakiś piskliwy głos:

— Mamo, gdzie idziesz?

— Zostaję tutaj, kochanie. Nie przerywaj sobie pisanie listu.

Chorowicie wyglądająca dziewczynka w wieku około siedmiu lat pochyliła się nad papierem, przy czym w mozołach korespondencji najwyraźniej pomagał jej wyciągnięty język.

W tej części gabinetu, gdzie stała sofa, nie było żywej duszy. Pani Tanios usiadła, my poszliśmy za jej przykładem. Kobieta spojrzała pytająco na Poirota.

— Przyszedłem w sprawie śmierci pańskiej ciotki, świętej pamięci panny Emilii Arundell.

Czy mi się wydawało, czy też w jasnych, wylupiastych oczach pani Tanios dostrzegłem panikę?

— O co chodzi?

— Panna Arundell na krótko przed śmiercią zmieniła swą ostatnią wolę — wyjaśnił Poirot. — W nowym testamencie cały majątek zostawiła pannie Wilhelminie Lawson. Chciałbym się dowiedzieć, pani Tanios, czy poprze pani starania pani kuzynostwa, panny Teresy i pana Karola Arundellów, zmierzające do jego obalenia.

— Och! — Bella Tanios na chwilę zaniemówiła. — Ale to chyba niemożliwe, prawda? To znaczy, mój mąż pytał się prawnika i on powiedział, że lepiej nie próbować.

— Prawnicy, proszę pani, są nazbyt ostrożni. Zawsze radzą za wszelką cenę unikać spraw sądowych — i przeważnie mają rację. Ale w niektórych wypadkach opłaca się ponieść ryzyko. Sam nie jestem prawnikiem i dlatego inaczej patrzę na tę sprawę. Panna Arundell — mam na myśli pannę Teresę — jest gotowa walczyć. A pani?

— Ja? Och... naprawdę nie wiem — powiedziała, nerwowo wyłamując sobie palce. — Muszę zapytać męża.

— Z pewnością powinna pani zapytać męża, zanim zapadną konkretne postanowienia. Ale teraz chciałbym się dowiedzieć, co pani sama o tym myśli.

— Naprawdę nie wiem. — Pani Tanios wyglądała na bardziej zmartwioną niż zwykle. — Wszystko zależy od męża.

— Ale jakie jest pani zdanie?

— Nie bardzo mi się to podoba. To jest chyba nieuczciwe — odparła pani Tanios, marszcząc brwi.

— Naprawdę?

— Oczywiście. W końcu, jeśli ciotka Emilia chciała zostawić pieniądze komuś spoza rodziny, to musimy to zaakceptować.

— Zatem nie trapi pani ta sprawa?

— Naturalnie, że tak. — Nagle na jej twarzy pojawił się ceglasty rumieniec. — Uważam, że ciotka postąpiła niesprawiedliwie. Bardzo niesprawiedliwie! I to tak nieoczekiwanie. Nigdy bym nie podejrzewała, że zrobi coś takiego. To nie w porządku w stosunku do dzieci.

— Sądzi pani, że to do niej niepodobne?

— Wyjątkowo niepodobne!

— Może zatem nie postępowała zgodnie z własną wolą? Może uczyniła to pod czyjś niepożądanym wpływem?

Pani Tanios znowu się zamyśliła.

— Problem w tym, że nie wyobrażam sobie, aby ktokolwiek był w stanie wpłynąć na ciotkę. Ona była bardzo uparta.

Poirot skinął głową.

— Ma pani rację. A panią Lawson trudno określić jako silną osobowość.

— Ona jest naprawdę bardzo miła... być może trochę głupia, ale ma dobre serce. To częściowo dlatego uważam, że...

— Tak, *madame*?

— Że podłością byłoby próbować obalić testament. Jestem pewna, że w tym, co się stało, nie ma żadnej winy panny Lawson. To osoba niezdolna do snucia intryg...

— Znowu muszę się z panią zgodzić.

— I dlatego myślę, że uciekanie się do pomocy prawa byłoby... niegodne, a poza tym bardzo kosztowne, prawda?

— Naturalnie, byłoby kosztowne.

— I przypuszczalnie bezowocne. Ale powinien pan porozmawiać o tym z mężem. Ma o wiele lepszą głowę do interesów aniżeli ja.

Poirot chwilę milczał, po czym spytał:

— Jak pani myśli, co skłoniło pani ciotkę do zmiany testamentu?

Twarz pani Tanios pokryła się rumieńcem.

— Nie mam najmniejszego pojęcia — wymamrotała.

— *Madame*, powiedziałem pani, że nie jestem prawnikiem. Ale nie spytała pani, jaki jest mój zawód.

Kobieta spojrzała na niego pytająco.

— Jestem detektywem. Krótco przed swoją śmiercią panna Arundell napisała do mnie list.

Pani Tanios pochyliła się w przód ze złożonymi dłońmi.

— List? — spytała gwałtownie. — Na temat mojego męża? Poirot przez chwilę mierzył ją wzrokiem, po czym rzekł powoli:

— Obawiam się, że nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

— Zatem zgadłam! — zawołała lekko podniesionym głosem. — Co napisała? Zapewniam pana, panie... hm... nie znam pana nazwiska.

— Nazywam się Poirot. Herkules Poirot.

— Więc zapewniam pana, panie Poirot, że jeśli w liście było coś złego na temat mojego męża, to

było to zupełnie nieprawdziwe. Wiem, kto stoi za tym listem! I to jest drugi powód, dla którego nie chcę mieć nic wspólnego z tym, co planują Teresa i Karol! Teresa nigdy nie lubiła mojego męża. Wygadywała o nim różne rzeczy! Ciotka Emilia była do niego uprzedzona, bo nie jest Anglikiem, i dlatego mogła uwierzyć Teresie. Ale to nie jest prawda, panie Poirot, daję słowo!

— Mamo, skończyłam list!

Pani Tanios odwróciła się do córki. Z czułym uśmiechem wzięła list, który wręczyła jej dziewczynka.

— Bardzo dobrze, kochanie, doskonale. Jak ładnie narysowałaś myszkę Miki.

— Co mam teraz robić, mamusiu?

— Może kupisz jakąś ładną pocztówkę z obrazkiem? Masz tu pieniądze. Idź do pana w holu i wybierz kartkę dla Selima.

Dziecko odeszło. Przypomniałem sobie, co mówił Karol Arundell. Pani Tanios najwyraźniej była oddaną żoną i matką. Tak jak powiedział, przypominała nieco skórka.

— Czy to pani jedyne dziecko, *madame*?

— Nie, mam również chłopca. Nie ma go tu, wyszedł z ojcem.

— Dzieci nie towarzyszyły państwu podczas wizyt w Littlegreen House?

— Czasami je zabieraliśmy, ale widzi pan, ciotka była staruszką i dzieci ją męczyły. Ale była dla nich bardzo miła i zawsze wysyłała im prezenty na święta.

— Kiedy ostatni raz widziała pani pannę Emilię Arundell?

— Chyba dziesięć dni przed śmiercią.

— Byli tam państwo wszyscy razem, prawda, pani z mężem i dwójka pani kuzynów?

— Ocy nie, to było tydzień wcześniej, na Wielkanoc. — A pani z mężem była u ciotki również tydzień później?

— Tak.

— Pani Arundell była wówczas zdrowa i w dobrym humorze?

— Wydawała się taka jak zawsze.

— Nie leżała chora w łóżku?

— Leżała, bo potłukła się spadając ze schodów, ale zeszła do nas na dół.

— Nic nie powiedziała na temat nowego testamentu?

— Nic absolutnie.

— Nie zauważyła pani żadnej zmiany w jej zachowaniu?

Tym razem pani Tanios leciutko się zawahała.

— Nie — odparła.

Byłem przekonany, że w tym momencie Poirot odniósł takie samo wrażenie jak ja. Pani Tanios kłamie! Po chwili Poirot rzekł:

— Może powinienem wyjaśnić, że nie miałem na myśli was wszystkich, tylko panią osobiście.

— Och, rozumiem — odparła szybko. — Ciotka Emilia była dla mnie bardzo miła. Dała mi małą broszkę z perełką i diamentem i po dziesięć szylingów dla dzieci.

W jej słowach nie wyczuwało się już wahania. Mówiła szybko i swobodnie.

— A w stosunku do pani męża? Czy też się nie zmieniła?

Odniosłem wrażenie, że skrępowanie powróciło. Nie patrząc Poirotowi w oczy, pani Tanios odparła:

— Oczywiście, że nie. Dlaczego miałyby się zmienić? — Ale skoro sugerowała pani, że Teresa Arundell

mogła próbować nastawić ciotkę przeciw niemu...

— Jestem pewna, że to robiła! — wykrzyknęła pani Tanios, pochylając się ku rozmówcy. — Ma pan rację. Zmieniła się! Ciotka nagle zaczęła odnosić się do niego z rezerwą. I w ogóle dziwnie się zachowywała. Polecił jej pewną miksturę na trawienie — nawet poszedł ją zamówić do apteki! Podziękowała i w ogóle, ale dosyć chłodno, a potem zobaczyłam, że wylewa ją do zlewu! — oburzyła się gwałtownie.

Oczy Poirota zabłysnęły.

— Dziwny postępek — orzekł tonem celowo pozbawionym emocji.

— Czarna niewdzięczność!

— Jak pani wie, starsze kobiety są skłonne niedowierzać cudzoziemcom — wyjaśnił detektyw. — Jestem pewien, że aprobuja wyłącznie lekarzy Anglików. Lokalny patriotyzm wiele wyjaśnia.

— Tak, ma pan chyba rację — przyznała pani Tanios, nieco udobruchana.



— Kiedy pani wraca do Smyrny, madamc?

— Za parę tygodni. Mój mąż... O, jest mój mąż i Edward. Już wrócili.

# Rozdział siedemnasty

## Doktor Tanios

Muszę przyznać, że pierwsze spotkanie z doktorem Taniosem było dla mnie wstrząsem. W wyobraźni obdarzyłem go złowieszczymi cechami. Wyobrażałem sobie, że jest ogorzały, ma ciemną brodę i ponurą twarz. Tymczasem ujrzałem krągłego, wesołego mężczyznę z kasztanowymi włosami i orzechowymi oczyma. Wprawdzie miał brodę, ale nosił ją krótko przyciętą. Nadawała mu wygląd artysty.

Doskonale mówił po angielsku. Miał miły tembr głosu, pasujący do dobroduszej twarzy.

— Wróciliśmy — powiedział do żony. — Edward jest pod wrażeniem pierwszej przejażdżki metrem. Do dziś jeździł tylko autobusami.

Edward wyglądem przypominał ojca. Zarówno on, jak i jego siostra zupełnie nie wyglądali na Anglików. Zrozumiałem, co miała na myśli panna Peabody, mówiąc, że dzieci mają żółtawą cerę.

W obecności męża pani Tanios zrobiła się nerwowa. Jąkając się, przedstawiła mu Poirota. Mnie zupełnie pominęła.

— Poirot? Pan Herkules Poirot? — zainteresował się doktor Tanios. — Pańskie nazwisko jest mi dobrze znane. Co pana do nas sprowadza?

— Przychodzę w sprawie dotyczącej śmierci panny Emilii Arundell — odparł detektyw.

— To ciotka mojej żony. A o co chodzi?

— W związku z jej śmiercią wyniknęły pewne... — zaczął powoli detektyw.

— Chodzi o testament, Jakubie — przerwała mu pani Tanios. — Pan Poirot rozmawiał z Teresą i Karolem.

Doktor Tanios wyraźnie się rozluźnił. Usiadł na krześle.

— Ach, testament! Naturalnie, jest niesprawiedliwy — ale, jak sędzę, to nie moja sprawa.

Poirot przedstawił pokrótce przebieg spotkania z Arundellami (powiedziałbym, że bardzo odbiegający od prawdy) i ostrożnie wskazał na możliwość obalenia testamentu.

— To bardzo interesujące, co pan mówi. Podzielam pańskie zdanie. Też uważam, że coś powinno się zrobić. Posunąłem się nawet do tego, że zasięgnąłem porady prawnika, ale on odradził mi jakiegokolwiek działania w tej sprawie. I dlatego... — wzruszył ramionami.

— Jak już mówiłem, prawnicy są bardzo ostrożni. Nie lubią ryzyka. Ja jestem inny. A pan? Pan Tanios wybuchnął śmiechem.

— O, ja nie mam nic przeciwko ryzyku. Często ryzykowałem, prawda, Bello? — uśmiechnął się do żony, a ona odwzajemniła jego uśmiech, ale, jak mi się wydawało, nieco machinalnie.

Doktor z powrotem zwrócił się do Poirota.

— Wprawdzie nie jestem prawnikiem — rzekł — ale sędzę, że mam rację uważając, że panna Arundell najwyraźniej nie wiedziała, co czyni. Ta Lawson jest bystra i przebiegła.

Pani Tanios poruszyła się niespokojnie. Poirot rzucił jej szybkie spojrzenie.

— Pani się nie zgadza?

— Zawsze była bardzo miła. Nie powiedziałabym, że jest bystra — zaprotestowała słabo.

— Była dla ciebie miła — wyjaśnił doktor Tanios — bo nie miała powodu, żeby się ciebie obawiać, moja droga Bello. Ciebie łatwo nabrać.

Mówił dobrodusznie, ale żona się zarumieniła.

— Ze mną było inaczej — ciągnął. — Nie lubiła mnie. I nie kryła się z tym. Podam wam przykład. Kiedy byliśmy u niej z wizytą, ciotka spadła ze schodów. Chciałem przyjechać w następnym tygodniu, żeby zobaczyć, jak się czuje. Panna Lawson robiła co tylko w jej mocy, żeby nie dopuścić do naszego przyjazdu. Nie udało jej się, ale wyraźnie widziałem, że była zła. Przyczyna jest jasna. Chciała mieć staruszkę dla siebie.

— Pani się zgadza, *madame*? — spytał Poirot. Mąż nie dał jej odpowiedzieć.

— Bella ma zbyt dobre serce — rzekł — nigdy nie przypisze nikomu złych motywów. Ale ja jestem pewien, że mam rację. Powiem panu jeszcze jedno, panie Poirot. Tajemnicą jej wpływu na pannę Arundell był spirytyzm. Tak to wyglądało, niech mi pan wierzy.

— Tak pan myśli?

— Jestem pewien, drogi panie. Nieraz to widziałem. Zdziwiłby się pan, jak ludzie, szczególnie w wieku panny Arundell, dają się nabrać. Idę o zakład, że w ten właśnie sposób podsunięto jej tę myśl. Pewnie jakiś duch, przypuszczalnie jej zmarłego ojca, nakazał jej zmienić testament i zapisać majątek tej Lawson. Była chora, łatwowierna...

Pani Tanios lekko się poruszyła. Poirot zwrócił się do niej.

— Pani uważa, że to możliwe?

— No, Bello, powiedz, co myślisz — zachęcił ją mąż. Żona spojrzała na niego dziwnym wzrokiem. Zawahała się, w końcu rzekła:

— Pewnie masz rację, Jakubie. Ja się na tym nie znam.

— Możesz mi wierzyć, że mam rację, prawda, panie Poirot?

Poirot skinął głową.

— Możliwe. — I dodał: — O ile wiem, państwo pojechali do Market Basing na weekend przed śmiercią panny Arundell?

— Zgadza się. Byliśmy u niej na Wielkanoc i tydzień później.

— Nie, nie, mam na myśli następny tydzień, dwudziestego szóstego. Chyba byliście tam w niedzielę.

— Och, Jakubie, naprawdę pojechałeś do Market Basing? — spytała zdziwiona żona.

— Nie pamiętasz? — doktor szybko się zwrócił do niej. — Wpadłem tam po południu. Mówiłem ci o tym.

Poirot i ja patrzyliśmy na panią Tanios. Kobieta nerwowo przesunęła kapelusz do tyłu.

— Jak możesz nie pamiętać, Bello — ciągnął jej mąż. — Masz pamięć jak sito.

— Oczywiście — wyznała wreszcie z przeproszającym uśmiechem. — Pamięć mam rzeczywiście słabą, przyznaję ci rację. Od tego wydarzenia minęły już niemal dwa miesiące.

— Panna Teresa i pan Karol Arundellowic też tam wtedy byli, jak mi się wydaje?

— Możliwe. Ja ich nie widziałem.

— Zatem nie zabawiał pan tam długo?

— O nie, zaledwie pół godziny czy coś koło tego. Wydawało się, że pod pytającym spojrzeniem Poirota doktor Tanios poczuł się skrępowany.

— Równie dobrze od razu mogę się przyznać — powiedział, puszczając do nas oko. — Miałem nadzieję dostać pożyczkę, ale mi się nie udało. Obawiam się, że ciotka mojej żony nie polubiła mnie tak, jak bym sobie ‘życzył. Szkoda, bo ja ją lubiłem. Równa była z niej staruszka.

— Mogę zadać panu szczerze pytanie? Czy w oczach Taniosa mignęła obawa?

— Naturalnie, panie Poirot.

— Jakie ma pan zdanie na temat Teresy i Karola Arundellów?

Doktor się uspokoił.

— Karol i Teresa? — Tanios obrzucił żonę czułym spojrzeniem. — Bello, moja droga, chyba nie

masz nic przeciwko temu, żebym powiedział, co myślę o twojej rodzinie?

Z lekkim uśmiechem potrząsnęła głową.

— Uważam, że są zepsuci do szpiku kości, obydwójcie! Dziwne, lecz wolę Karola. Jest nicponiem, ale da się lubić. Za grosz nie ma poczucia moralności, lecz to nie jego wina. Trudno, niektórzy już tacy są.

— A Teresa? Zawahał się.

— Nie wiem. Jest wyjątkowo atrakcyjną kobietą, ale powiedziałbym, że bezwzględna. Gdyby miało jej to przynieść korzyść, potrafiłaby zamordować z zimną krwią. Przynajmniej ja ją tak widzę. Może pan słyszał, że jej matka była sądzona za morderstwo?

— I została uniewinniona — dodał Poirot.

— Owszem, została uniewinniona — przyznał szybko Tanios. — Ale mimo to czasami człowiek się zastanawia, czy słusznie.

— Spotkał pan tego młodzieńca, z którym jest zaręczona?

— Donaldsona? Tak, któregoś wieczoru przyszedł na kolację.

— Co pan o nim sądzi?

— Bystry facet. Wydaje mi się, że daleko zajdzie — naturalnie, jeśli będzie miał szansę. Specjalizacja dużo kosztuje.

— Mówiąc „bystry”, myślał pan o jego zdolnościach zawodowych?

— Dokładnie. Pierwszorzędny umysł. — Uśmiechnął się. — Jeszcze niezbyt obyty w towarzystwie. Trochę zbyt sztywny. Razem z Teresą tworzą śmieszny parę. Podobają się sobie na zasadzie przyciągania przeciwieństw. Ona jest motylem ciągnącym do światła i ludzi, a on — pustelnikiem.

Dzieci Taniosów przybiegły i rzuciły się na matkę.

— Mamo, dlaczego nie idziemy na obiad? Jestem głodna. Spóźnimy się.

Poirot spojrział na zegarek i wykrzyknął:

— Tysiącrotnie przepraszam! To przeze mnie państwo nie poszli jeszcze na obiad!

Patrząc na męża, pani Tanios powiedziała z wahaniem:

— Może by pan zechciał z nami... Poirot szybko jej przerwał:

— Ogromnie pani dziękuję, *madame*, ale umówiłem się na obiad i widzę, że już jestem spóźniony.

Podał rękę Taniosom i dzieciom. Ja zrobiłem to samo.

Przez chwilę pozostaliśmy jeszcze w holu, bo Poirot chciał zatelefonować. Czekałem na niego przy recepcji. Stałem tam, kiedy zobaczyłem, że pani Tanios wyszła do holu i rozgląda się wkoło. Wyglądała na przestraszoną i znękaną. Gdy mnie ujrzała, szybko podeszła.

— Pana przyjaciel, pan Poirot... on już poszedł, prawda?

— Nie, jest w budce telefonicznej.

— Aha.

— Chciała pani z nim porozmawiać?

Skinęła głową. Sprawiała wrażenie coraz bardziej zdenerwowanej.

Poirot wyszedł z budki i od razu ujrzał nas razem. Zbliżył się szybkim krokiem.

— Panie Poirot, jest coś, o czym muszę panu powiedzieć. — Pani Tanios mówiła cicho, ale gwałtownie. — Po prostu muszę...

— Słucham panią.

— To ważne, bardzo ważne. Widzi pan...

Urwała. Doktor Tanios z dwójką dzieci wyszli właśnie z gabinetu. Doktor podeszedł do nas.

— Coś jeszcze masz do pana Poirota, Bello?

Ton jego głosu był dobroduszny, a uśmiech na twarzy — sama słodycz.

— Tak — zawahała się i dodała: — właściwie to wszystko, panie Poirot. Chciałam po prostu, żeby powiedział pan Teresie, że poprzemy ją we wszystkim, co zrobi. Uważam, że rodzina musi trzymać się razem.

Skinęła nam głową, wzięła męża pod rękę i poszli do restauracji.

Złapałem Poirota za ramię.

— Wcale nie to chciała nam powiedzieć! Potrząsnął głową, przyglądając się oddalającym się małżonkom.

— Rozmyśliła się — zauważyłem.

— Owszem, *mon ami*, rozmyśliła się.

— Dlaczego?

— Niestety, tego nie wiem — mruknął.

— Powie nam innym razem.

— Nie jestem tego pewien. Obawiam się... że może nie powiedzieć.

# Rozdział osiemnasty

## Igła w stogu siana

Na obiad poszliśmy do małej restauracji w pobliżu hotelu. Nie mogłem się doczekać, żeby dowiedzieć się, co Poirot sądzi o rodzinie Arundellów.

— I co, Poirot? — spytałem niecierpliwie.

Poirot spojrział na mnie z wyrzutem w oczach i skupił się na menu. Gdy złożyliśmy zamówienie, odchylił się w krzesło, przełamał bułkę na pół i nieco kpiącym tonem spytał:

— I co, Hastings?

— Co myślisz o nich teraz, kiedy spotkałeś ich osobiście?

— *Ma foi* — odparł powoli — myślę, że to interesująca rodzinka! Zachwycające studium! Studnia niespodzianek. Zwróć uwagę, że za każdym razem, kiedy mówię „Panna Arundell napisała do mnie list przed śmiercią”, wyskakuje coś nowego. Od panny Lawson dowiedziałem się, że zginęły pieniądze. Pani Tanios od razu mówi: „List na temat mojego męża?” Dlaczego od razu myśli o mężu? Dlaczego panna Arundell miałyby pisać do mnie w sprawie doktora Taniosa?

— Ta kobieta coś wie.

— Tak, ale co? Panna Peabody mówi, że Karol Arundell dla paru groszy potrafiłby zamordować własną babkę, panna Lawson mówi, że pani Tanios zamordowałaby każdego, gdyby jej mąż kazał. Doktor Tanios mówi, że Karol i Teresa są zepsuci do szpiku kości, wspomina, że ich matka była morderczynią, i niedbale rzuca uwagę, że Teresa jest zdolna do morderstwa z zimną krwią. Niezłe zdania mają o sobie nawzajem! Doktor Tanios sądzi, albo przynajmniej tak mówi, że zachodzi wypadek bezprawnego nacisku na testatorkę. Zanim przyszedł, jego żona była najwyraźniej przekonana, że takiego nacisku nie było. Na początku nie chce obalenia testamentu. Potem zmienia zdanie. Widzisz, Hastings, w tym kotle bez przerwy wrze i co rusz coś istotnego wypływa na powierzchnię. Coś tu jest nie tak. Mogę na to przysiąc, jakem Herkules Poirot!

Jego poważny ton zrobił na mnie wrażenie.

Po chwili rzekłem:

— Może masz rację, ale to wszystko jest takie... niekonkretne.

— Ale zgadzasz się, że coś w tym jest?

— Tak — przyznałem niechętnie. — Tak mi się wydaje. Poirot nachylił się nad stołem i



świdrował mnie wzrokiem.

— Tak — rzekł — zmieniłeś się. Już nie jesteś rozbawiony, nie patrzysz na mnie z wyższością, nie uważasz mojego zainteresowania tą sprawą za czysto akademickie. Co cię przekonało? Nie moje znakomite dedukcje, *non, ce n'est pas ça!*\* Coś innego wywarło na tobie wrażenie. Powiedz mi, przyjacielu, co takiego sprawiło, że nagle zacząłeś brać tę sprawę poważnie.

— Myślę — odparłem powoli — że pani Tanios. Wyglądała... jakby się bała...

— Mnie się bała?

— Nie, nie ciebie. Chodziło o coś innego. Najpierw rozmawiała spokojnie i rozsądnie, być może była urażona testamentem — to całkiem naturalne — lecz ogólnie była z tym pogodzona i chciała pozostawić sprawy ich własnemu biegowi. Taka postawa wydaje się normalna u dobrze wychowanej, ale dość apatycznej z natury kobiety. A potem ta nagła zmiana i gorliwość, z jaką przychyliła się do zdania męża. Niemal... niemal ukradkowy sposób, w jaki nas potem odszukała...

Poirot zachęcająco skinął głową.

— I jeszcze jeden drobiazg, który może zauważyłeś...

— Nic nie umyka mojej uwadze!

— Mam na myśli wizytę jej męża w Littlegreen House w tamtą niedzielę. Mógłbym przysiąc, że nic o niej nie wiedziała, że było to dla niej niespodzianką, jednak szybko zrozumiała, czego mąż od niej oczekuje, i przyznała, że po prostu zapomniała. Nie podoba mi się to, Poirot.

— Masz rację, Hastings, to wiele mówi.

— Odniosłem wrażenie... że się bała. Poirot powoli skinął głową.

— Też to czułeś?

— Tak, takie to sprawiało wrażenie. — Po krótkiej chwili dodał: — A jednak polubiłeś Taniosa, prawda? Okazał się miły, szczerzy, dobroduszny i jowialny. Pomimo twojego wyspiarskiego uprzedzenia do Argentyń czyków, Portugalczyków i Greków uznałeś go za bardzo sympatycznego.

— Owszem — przyznałem.

W ciszy, która zapadła, przyglądałem się Poirotowi. W końcu spytałem:

— O czym myślisz?

— O różnych ludziach, o przystojnym młodym Normanie Gale'u, rubasznym, serdecznym Evelynie Howardzie, miłym doktorze Sheppardzie, cichym, odpowiedzialnym Knightonie.

Przez chwilę nie rozumiałem tych odniesień do osób znanych z dawnych procesów.

— No i co z tego wynika?

— Wszyscy oni byli ogromnie sympatyczni...

— Wielkie nieba, Poirot, nie myślisz naprawdę, że Tanios...

— Ależ nie, nie. Nie wyciągaj pochopnie wniosków, Hastings. Chcę tylko wskazać ci, że nie możemy polegać na naszych wrażeniach. Nie wolno kierować się uczuciami, tylko faktami.

— Hm. Fakty nie są naszą mocną stroną. Nie, nie, Poirot, nie zaczynaj od początku!

— Będę się streszczał, przyjacielu. Po pierwsze, z pewnością mamy próbę morderstwa. Przyznajesz, że mam rację?

— Tak, przyznaję.

Do tej pory odnosiłem się sceptycznie do jego — jak mi się wydawało — fantastycznej rekonstrukcji wydarzeń we wtorek po Wielkanocy. Musiałem jednak przyznać, że dedukcje mojego przyjaciela były bardzo logiczne.

— *Tres bien*. Nie ma próby morderstwa bez mordercy. Jedna z osób obecnych wtedy w domu jest mordercą — przynajmniej w sferze zamiarów, jeśli nie faktów.

— Zgoda.

— Zatem mamy punkt wyjścia — mordercę. Zadajemy kilka pytań — innymi słowy mącimy wodę w sadzawce — i co się okazuje? W trakcie rozmowy zupełnie przypadkowo pada kilka ciekawych oskarżeń.

— Myślisz, że nie były przypadkowe?

— Trudno to w tej chwili ocenić. Pamiętasz pozornie niewinny sposób, w jaki panna Lawson ujawniła fakt, że Karol groził ciotce? Może zrobiła to celowo, a może nie zdawała sobie sprawy ze znaczenia tego, co mówi. Uwagi doktora Taniosa o Teresie Arundell mogą być nie złośliwością, lecz po prostu bezstronną opinią lekarza. Z kolei panna Peabody prawdopodobnie naprawdę ma takie zdanie o skłonnościach Karola, ale w końcu to nie fakty, tylko jej opinia. I tak dalej. Jest takie powiedzenie, szukać igły w stogu siana. My też szukamy — tylko nie igły, lecz mordercy.

— Chciałbym wiedzieć, co ty naprawdę o tym myślisz.

— Hastings, Hastings, nie pozwalam sobie na to, by coś „myśleć”, a przynajmniej nie w tym znaczeniu, jakie ty przypisujesz temu wyrażeniu. W tej chwili ograniczam się do rozważań.

— Na przykład?

— Zastanawiam się nad motywem. Jakie są prawdopodobne motywy zabójstwa panny Arundell? Najbardziej oczywistym jest zysk. Kto zyskałby na jej śmierci, gdyby zmarła we wtorek po

Wielkanocy?

— Każdy, z wyjątkiem panny Lawson.

— Dokładnie.

— No, przynajmniej jedna osoba została automatycznie oczyszczona.

— Tak — przyznał Poirot. — Tak by się wydawało. Co jednak ciekawe, ta jedyna osoba, która nic by nie zyskała, gdyby testatorka zmarła we wtorek po Wielkanocy, zyskuje bardzo wiele, kiedy śmierć przychodzi dwa tygodnie później.

— Do czego zmierzasz, Poirot? — spytałem zaintrygowany.

— Przyczyna i skutek, mój przyjacielu, przyczyna i skutek.

Spojrzałem na niego z powątpiewaniem.

— Pomyśl logicznie — ciągnął. — Co zdarzyło się po wypadku?

Nienawidzę, kiedy Poirot wpada w ten ton. Cokolwiek się wtedy powie, jest źle. Postanowiłem zachować niezwykłą ostrożność.

— Panna Arundell położyła się do łóżka.

— Dokładnie. Miała mnóstwo czasu na rozmyślania. I co zrobiła?

— Napisała do ciebie. Poirot skinął głową.

— Tak. Napisała do mnie. Ale list nie został wysłany. Wielka szkoda.

— Uważasz, że w niewysłaniu listu jest coś podejrzanego?

Poirot zmarszczył brwi.

— Widzisz, Hastings, tego nie wiem. W świetle tego, czego się dowiedzieliśmy, jestem niemal pewien, że to był przypadek. Chyba nikt nie podejrzewał, że ona napisała taki list. Kontynuujmy. Co się dalej działo?

Zastanowiłem się.

— Przyszedł prawnik.

— Tak. Posłała po prawnika i on złożył jej wizytę.

— I napisała nowy testament — odpowiedziałem.

— Otóż to. Napisała nowy testament i w zupełnie nieoczekiwany sposób rozporządziła majątkiem.

W świetle tych faktów musimy bardzo ostrożnie podejść do tego, co powiedziała nam Ellen. Ellen, jeśli pamiętasz, mówiła, że panna Lawson bardzo się starała, by panna Arundell nie dowiedziała się, że Bob całą noc był poza domem.

— Ale... ach, rozumiem... właściwie nie rozumiem. Czy dobrze zgaduję, do czego robisz aluzję?

— Bardzo w to wątpię. Ale jeśli wiesz, o co mi chodzi, to mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z ogromnej wagi tego faktu.

Utkwił we mnie wzrok.

— Naturalnie, naturalnie — zapewniłem pospiesznie.

— A potem — rzekł Poirot — zdarzyły się różne rzeczy. Karol i Teresa przyjechali na weekend, panny Arundell pokazała nowy testament Karolowi — przynajmniej on tak twierdzi.

— Nie wierzysz mi?

— Wierzę tylko w to, co zostało sprawdzone. Panna Arundell nie pokazuje testamentu Teresie.

— Myślała, że Karol jej powie.

— Ale on to przemilczał. Dlaczego?

— Karol twierdzi, że jej mówił.

— Teresa jest pewna, że tego nie zrobił — bardzo ciekawa i wiele mówiąca rozbieżność. A kiedy wychodzimy, wyzywa go od głupców.

— Gubię się w tym — jęknąłem.

— Powróćmy do chronologii. Doktor Tanios przyjeżdża w niedzielę, przypuszczalnie w tajemnicy przed żoną.

— Powiedziałbym, że z pewnością w tajemnicy.

— Zgódźmy się, że prawdopodobnie. Dalej. Karol i Teresa wyjeżdżają w poniedziałek. Panna Arundell jest zdrowa, ma dobry nastrój. Po obiedzie uczestniczy w seansie z pannami Tripp i panną Lawson. Pod koniec seansu zaczyna czuć się źle. Wraca do łóżka i cztery dni później umiera, zostawiając cały swój majątek pannie Lawson — a kapitan Hastings twierdzi, że umarła śmiercią naturalną.

— A tymczasem Herkules Poirot nie mając żadnych dowodów twierdzi, że do obiadu wsypano jej truciznę.

— Mam pewne dowody, Hastings. Przypomnij sobie naszą rozmowę z pannami Tripp. Z ust panny Lawson również padło jedno ważne stwierdzenie.

— Chodzi o to, że dostała curry na obiad? Curry łatwo ukryłoby smak trucizny. Czy to masz na myśli?

— Tak, może curry nie było bez znaczenia — odparł powoli Poirot.

— Ale jeśli to, co sugerujesz (na przekór świadectwu lekarza) jest prawdą, zabić ją mogła tylko panna Lawson lub jedna z pokojówek.

— Nie jestem tego taki pewien.

— A może jedna z panien Tripp? Ale to nonsens. Nigdy w to nie uwierzę. Czuje się, że te wszystkie osoby są niewinne.

Poirot wzruszył ramionami.

— Pamiętaj, Hastings, że głupota i brak rozsądku nie wykluczają dużego sprytu. I nie zapominaj pierwszej próby zabójstwa. Nie wymagało specjalnej inteligencji. Było bardzo proste. Pomysł podsunął Bob, przez swój zwyczaj zostawiania piłki u szczytu schodów. Myśl przeciągnięcia nitki tuż nad stopniem nie była szczególnie skomplikowana — mogło na to wpaść dziecko.

Zmarszczyłem brwi.

— Chcesz powiedzieć...

— Chcę powiedzieć, że szukamy tylko jednego: pragnienia wysłania kogoś na drugi świat. Tylko tego.

— Ale trucizna musiałaby być bardzo sprytnie wybrana, żeby nie zostawiła śladu — zaprotestowałem. — Coś takiego byłoby trudno zdobyć zwykłemu człowiekowi. Och, do diabła, Poirot, nie mogę w to uwierzyć. Ty też nic nie wiesz! Mamy tylko hipotezy!

— Mylisz się, przyjacielu. W wyniku rozmów przeprowadzonych dzisiaj rano mam coś konkretnego. Słabe, ale niewątpliwe wskazówki. Chodzi teraz tylko o to... że się boję.

— Boisz się? Czego?

— Obudzić lichu — odparł poważnie. — To jedno z waszych powiedzonek, prawda? Nasz morderca teraz śpi zadowolony... Obydwa wiemy, jak często strwożony morderca zabija drugą, a nawet trzecią osobę!

— Obawiasz się, że tak się stanie? Skinął głową.

— Tak. Jeśli tylko w tym stogu jest morderca... a myślę, Hastings, że jest.

# Rozdział dziewiętnasty

## Spotkanie z panem Purvisem

Poirot poprosił o rachunek i zapłacił.

— Co teraz robimy?

— To, co sugerowałeś rano. Jedziemy do Harchester na spotkanie z panem Purvisem. W tej właśnie sprawie dzwoniłem z hotelu Durham.

— Dzwoniłeś do Purvisa?

— Nie, do Teresy Arundell. Poprosiłem, by napisała pismo upoważniające mnie do reprezentowania jej. Aby mieć szansę rozmowy z Purvisem, musimy przedstawić pełnomocnictwa od rodziny. Przyrzekła, że dostarczy mi pismo do domu. Powinno już na nas czekać.

W domu zastaliśmy nie tylko pismo, ale też Karola Arundella, który je osobiście przyniósł.

— Miło pan sobie mieszka, panie Poirot — zauważył, rozglądając się po salonie.

W tej chwili spostrzegłem niedokładnie zamkniętą szufladę biurka. Wystający kawałek papieru nie pozwalał jej się domknąć.

Było absolutnie niemożliwe, aby Poirot niedbale zamknął szufladę! Spojrzałem zamyślony na Karola. Czekając na nas, był sam w pokoju. Nie miałem wątpliwości, że umiał sobie czas, grzebiąc w papierach Poirota. Niezły ptaszek z tego młodzieńca! Nie posiadałem się z oburzenia.

Karol był w wesołym nastroju.

— Proszę bardzo — rzekł, wręczając pismo. — Wszystko w najlepszym porządku. Oby miał pan więcej szczęścia ze starym Purvisem niż my.

— Nie dawał dużych nadziei, jak sądzę?

— Zdecydowanie nas zniechęcał... Jego zdaniem tej Lawson wszystko się upiecze.

— Czy myśleli państwo, by zaapelować do jej uczuć? Karol wyszczerzył zęby.

— Ja — jak najbardziej. Ale nic z tego. Cała moja elokwencja poszła na marne. Żaloszny obraz wydziedziczonej czarnej owieczki, i to owieczki nie tak czarnej, za jaką uchodzi (tak właśnie usiłowałem się przedstawić)

— wcale nie poruszył tej kobiety. Wyobraźcie sobie, ona mnie najwyraźniej nie lubi! Pojęcia nie

mam, dlaczego!

— Roześmiał się. — Większość starszych kobiet ma do mnie słabość. Uważają, że mnie nie rozumiano i nigdy nie dano mi szansy.

— Użyteczna opinia.

— Nieraz okazała się użyteczna. Ale, jak mówię, Lawson się na to nie nabrała. Myślę, że ona w ogóle nie lubi mężczyzn. Pewnie w dawnych dobrych czasach przed wojną przykuwała się do balustrady i wymachiwała flagą sufrażystek.

— Trudno — rzekł Poirot. — Jeśli zawiodły prostsze metody...

— Trzeba uciec się do przestępstwa — dokończył radośnie Karol.

— A propos przestępstwa, młody człowieku. Czy to prawda, że groził pan ciotce, że ją pan sprzątnie?

Karol usiadł w fotelu, wyciągnął przed siebie nogi i utkwiał wzrok w Poirotcie.

— Kto panu o tym powiedział? — spytał.

— Nieważne. Czy to prawda?

— No cóż, jest w tym coś z prawdy.

— Chciałbym poznać tę historię, to znaczy prawdziwą historię.

— Proszę bardzo. Nie ma w niej nic melodramatycznego. Próbowałem podejść ciotkę — wie pan, o czym mówię?

— Pojmuję.

— Nie udało się. Ciotka Emilia dała mi do zrozumienia, że żadne próby odseparowania jej od pieniędzy nie odniosą skutku! No cóż, nie straciłem panowania nad sobą, ale wyłożyłem kawę na ławę. „Zrozum, ciociu Emilio — powiedziałem — zachowujesz się w taki sposób, że w końcu ktoś cię sprzątnie”. Dosyć chłodno zapytała, co mam na myśli. „Właśnie to, co powiedziałem — odparłem. — Wszyscy przyjaciele i rodzina, biedni jak myszy kościelne, czekają niecierpliwie, ale z nadzieją. A ty co robisz? Siedzisz na forsie i nie chcesz się podzielić. W ten sposób ludzie narażają się na morderstwo. Uwierz mi, jeśli ktoś cię zamorduje, sama będziesz temu winna”. Spojrzała na mnie ponad okularami, jak to miała w zwyczaju, i powiedziała dosyć nieprzyjemnym tonem: „Naprawdę tak myślisz?” „Naprawdę — odparłem. — Rozwiąż sakiewkę, dobrze ci radzę”. „Dziękuję, Karolu za tę radę. Przekonasz się jednak, że potrafię o siebie zadbać”. „Rób jak chcesz, ciociu Emilio — powiedziałem. Uśmiechałem się szeroko i wydaje mi się, że ona nie była tak poważna, jak chciała, żebym myślał.

— Nie mów, że cię nie uprzedzałem”. „Zapamiętam” — odparła.

Przerwał.

— To wszystko.

— Zatem — rzekł Poirot — zadowolili się pan kilkoma funtami znalezionymi w szufladzie.

Karol patrzył na niego niedowierzająco, a potem wybuchnął śmiechem.

— *Chapeau bas* — powiedział. — To ci detektyw! Jak pan to wykrył?

— Czyli to prawda?

— Och, naturalnie! Nie miałem grosza i musiałem skądś zdobyć pieniądze. W tej szufladzie znalazłem plik banknotów i wziąłem sobie kilka sztuk. Zachowałem umiar. Nie sądziłem, że taki mały ubytek zostanie zauważony. A nawet jeśli, pomyślałem, że podejrzenie padnie na służbę.

— Gdyby rzeczywiście podejrzewano służbę, mogłoby się to dla nich źle skończyć.

Karol wzruszył ramionami.

— Niech każdy martwi się o siebie.

— A pozostałych niech diabli biorą? — dokończył Poirot. — To jest pańskie credo?

Karol patrzył z zainteresowaniem na detektywa.

— Nie wiedziałem, że staruszka zauważyła brak pieniędzy. Skąd pan wie o tym? I o tej rozmowie z ciotką?

— Panna Lawson mi powiedziała.

— Stara plotkara! Zawsze wtyka nos w nie swoje sprawy. — Wydawało mi się, że Karol lekko się zaniepokoił. — Nie lubi mnie ani Teresy. Nie sądzi pan... że ona ma jeszcze coś w zanadrzu?

— A co takiego?

— Nie wiem. Po prostu robi na mnie wrażenie złośliwej diablidy. — Po chwili dodał: — Nienawidzi Teresy.

— Czy pan wie, panie Arundell, że w niedzielę przed śmiercią pańskiej ciotki złożył jej wizytę doktor Tanios?

— Co? W tę niedzielę, kiedy my tam byliśmy?

— Nie widział go pan?

— Nie. Po południu poszliśmy na spacer. Podejrzewam, że musiał przyjść właśnie wtedy. Ciekawe, że ciotka Emilia nie wspomniała o tym. Kto to panu powiedział?



— Panna Lawson.

— Znowu ona? Co za kopalnia informacji. Urwał, a po chwili rzekł:

— Wie pan, Tanios to całkiem miły chłop. Lubię go. Jest wesoły, jowialny.

— Jest sympatyczny, owszem — przyznał Poirot. Karol wstał.

— Na jego miejscu już dawno zamordowałbym tę ponurą Bellę. Czy nie robi na panu wrażenia osoby wprost przeznaczonej na to, by być ofiarą? Nie zdziwiłbym się, gdyby pewnego dnia znaleziono jej ciało w kufrze gdzieś koło Margate.

— Nieładny czyn przypisuje pan jej mężowi, dobremu doktorowi — zauważył surowo Poirot.

— To prawda — odparł Karol, zamyślony. — Naprawdę myślę, że Tanios nie skrzywdziłby muchy. Ma zbyt dobre serce.

— A pan? Czy popełniłby pan morderstwo, gdyby było opłacalne?

Karol wybuchnął śmiechem.

— Myśli pan o małym szantażyku, panie Poirot? Nic z tego. Zapewniam pana, że nie wsypałem — zrobił nieznaczną przerwę — strychniny do zupy ciotki Emilii.

Pomachał nam beztrosko ręką i wyszedł.

— Chciałeś go postraszyć, Poirot? — spytałem. — Jeśli tak, to ci się nie udało. Nie zachowywał się jak winny.

— Naprawdę?

— Tak. Wydawał się nieporuszony.

— Dziwna była ta pauza — rzekł Poirot.

— Pauza? Jaka?

— Przed słowem „strychnina”. Prawie jakby miał powiedzieć coś innego i w ostatniej chwili się rozmyślił.

Wzruszyłem ramionami.

— Pewnie szukał w pamięci jakiejś silnej, zjadliwej trucizny.

— Możliwe. Całkiem możliwe. Ale ale, czas wyruszyć. Noc chyba spędzimy w zajeździe U George’a w Market Basing.

Dziesięć minut później wyjeżdżaliśmy z Londynu.

Do Harchester przybyliśmy o czwartej i od razu poszliśmy do biura firmy Purvis, Purvis, Charlesworth i Purvis.

Pan Purvis był silnie zbudowanym mężczyzną z siwymi włosami i różaną cerą. Wyglądał trochę jak właściciel majątku. Jego zachowanie było uprzejme, ale nie pozbawione rezerwy.

Przeczytał pismo, które mu przedstawiliśmy, a potem spojrzał na nas przez biurko. Jego wzrok był przenikliwy i badawczy.

— Oczywiście, znam pańskie nazwisko, panie Poirot

— rzekł uprzejmie. — Jak zrozumiałem, panna Arundell oraz jej brat zatrudnili pana w tej sprawie, choć nie jestem w stanie sobie wyobrazić, w czym może im pan być pomocny.

— Powiedzmy, że zajmę się dokładnym zbadaniem okoliczności.

— Panna Arundell i jej brat poznali już moją opinię co do ich sytuacji prawnej — zauważył sucho pan Purvis.

— Okoliczności były najzupełniej jasne i nie zachodzi żadna możliwość pomyłki.

— Jak najbardziej, jak najbardziej — zgodził się szybko Poirot. — Ale nie będzie pan chyba miał nic przeciwko przedstawieniu ich, tak bym mógł dokładnie wyobrazić sobie całą sytuację?

— Jestem do pańskich usług — rzekł prawnik z ukłonem.

— Pani Arundell napisała do pana list z prośbą o zmianę testamentu siedemnastego kwietnia, prawda?

Pan Purvis zajrzał do papierów leżących na stole.

— Tak jest.

— Może pan powiedzieć, co napisała?

— Prosiła o sporządzenie nowego testamentu. Miały być zapisy dla służby i kilku instytucji dobroczynnych. Reszta majątku miała przypaść Wilhelminie Lawson.

— Niech mi pan wybaczy pytanie, panie Purvis, ale czy nie był pan zaskoczony?

— Owszem, przyznam, że byłem zaskoczony.

— Czy panna Arundell napisała wcześniej jakiś testament?

— Tak, pięć lat temu.

— Czy w tym testamencie, pomijając zapisy dla służby, cały majątek przypadł rodzinie?

— Przeważająca część majątku miała zostać równo podzielona pomiędzy dzieci jej brata Tomasza i córkę Arabelli Biggs, jej siostry.

— Co się stało z tym testamentem?

— Na prośbę panny Arundell przyniosłem go ze sobą do Littlegreen House dwudziestego pierwszego kwietnia.

— Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby zechciał mi pan opisać wszystko, co się wtedy wydarzyło.

Prawnik chwilę milczał, a potem zaczął pedantycznie referować:

— Przybyłem do Littlegreen House o trzeciej po południu. Towarzyszył mi jeden z moich pomocników. Panna Arundell przyjęła mnie w salonie.

— Jakie sprawiła na panu wrażenie?

— Wydawała się zdrowa i w dobrym nastroju, pomimo że chodząc musiała podpierać się laską. To, jak zrozumiałem, z powodu upadku ze schodów: Uderzyło mnie, że była trochę zdenerwowana i podniecona.

— Czy towarzyszyła jej panna Lawson?

— Kiedy przybyłem, to tak, ale zaraz wyszła.

— A wówczas?

— Panna Arundell spytała, czy zrobiłem to, o co mnie prosiła, i czy przyniosłem nowy testament do podpisania. Powiedziałem, że tak. Muszę przyznać — zawahał się, po czym kontynuował chłodno — że o ile mogłem, upominałem pannę Arundell, mówiłem, że nowy testament będzie bardzo niesprawiedliwy wobec rodziny.

— Co ona na to?

— Spytała, czy pieniądze nie są jej wyłączną własnością i czy może zrobić z nimi, co chce. Odparłem, że tak właśnie jest. „Bardzo dobrze” — rzekła. Przypomniałem jej, że pannę Lawson zna bardzo krótko, i spytałem, czy krzywda, jaką chce zrobić rodzinie, jest usprawiedliwiona. Odpowiedziała: „Mój drogi, doskonale wiem, co robię”.

— Wspomniał pan, że była podniecona.

— Owszem, ale proszę mnie źle nie zrozumieć, panie Poirot, była w pełni władz umysłowych. Choć w tej sprawie stoję po stronie rodziny panny Arundell, to jednak żaden sąd nie zmusi mnie do zmiany zdania w tej kwestii.

— Naturalnie, rozumiem pana.

— Panna Arundell przeczytała stary testament, po czym wyciągnęła rękę po nowy. Chciałbym dodać, że wolałbym najpierw przygotować szkic, ale ona nalegała, że testament musi być gotowy do podpisania. Nie miałem z tym problemów, bo postanowienia były bardzo proste. Przeczytała go, kiwnęła głową i powiedziała, że od razu go podpisze. Uważałem za swój obowiązek ostatni raz zaprotestować. Wysłuchała mnie uważnie, ale powiedziała, że jest całkowicie zdecydowana: Zawołałem swojego pomocnika i on oraz ogrodnik byli świadkami. Służba, oczywiście, nie wchodziła w grę, bo otrzymywała zapis w testamencie.

— Czy potem prosiła pana o przechowanie dokumentu?

— Nie. Włożyła go do szuflady biurka, a szufladę zamknęła na klucz.

— A co stało się z pierwszym testamentem? Zniszczyła go?

— Nie, schowała razem z tym drugim.

— Gdzie znaleziono testament po jej śmierci?

— W tej właśnie szufladzie. Jako jego wykonawca otrzymałem klucze i przeglądałem wszystkie papiery i dokumenty.

— Czy w szufladzie były oba testamenty?

— Tak, dokładnie tak, jak je włożyła.

— Czy pytał ją pan o przyczynę tej zaskakującej decyzji?

— Owszem, ale nie uzyskałem satysfakcjonującej odpowiedzi. Zapewniła mnie tylko, że wie, co robi.

— Niemniej był pan zaskoczony jej postępowaniem?

— Bardzo. Panna Arundell zawsze była bardzo przywiązana do rodziny.

Poirot przez chwilę milczał, po czym spytał:

— Nie rozmawiał pan przypadkiem na ten temat z panną Lawson?

— Oczywiście, że nie. Byłoby to ogromnie niestosowne. — Na samą myśl o tym pan Purvis poczuł się zgorzony.

— Czy panna Arundell powiedziała coś, co by wskazywało, że panna Lawson wie o testamencie na jej korzyść?

— Przeciwnie. Spytałem, czy panna Lawson wie, co panna Arundell robi, i moja klientka odpowiedziała oschle, że nic podobnego. Uważałem, że byłoby lepiej, gdyby panna Lawson niczego nie podejrzewała. Odważyłem się podzielić tą myślą z panną Arundell i ona zgodziła się ze mną.

— A dlaczego zwrócił pan na to uwagę, panie Purvis?

— Wychodzę z założenia, że o takich rzeczach lepiej za dużo nie mówić. Może to zapobiec późniejszym rozczarowaniom.

— Ach! Rozumiem, że uważał pan za całkiem możliwe, że panna Arundell może w przyszłości zmienić zdanie?

Prawnik skinął głową.

— Właśnie. Wydawało mi się, że panna Arundell musiała pokłócić się z rodziną. Sądziłem, że kiedy ochłonie, pożałuje pochoptnej decyzji.

— A w takim wypadku...?

— Zechce, żebym przygotował nowy testament.

— Mogłaby wybrać łatwiejsze wyjście z sytuacji i po prostu zniszczyć nowy, a wówczas obowiązywałby stary?

— To nie jest takie proste. Nowy testament automatycznie unieważnia wszystkie poprzednie.

— Ale panna Arundell nie знаła na tyle prawa, aby być tego świadoma. Mogła myśleć, że jeśli zniszczy późniejszy dokument, to poprzedni pozostanie w mocy.

— Niewykluczone.

— A gdyby zmarła nie zostawiając testamentu, majątek przypadłby rodzinie?

— Tak. Połowa dla pani Tanios, druga połowa dla Karola i Teresy Arundellów. Niestety, fakty wskazują na to, że testatorka zmarła, nie zmieniając zdania.

— I tu — rzekł Poirot — jest zadanie dla mnie. Prawnik spojrzał na niego pytająco.

Poirot pochylił się ku niemu.

— Przypuśćmy — rzekł — że panna Arundell na łożu śmierci chciała zniszczyć ten testament? Przypuśćmy dalej, że wydawało jej się, że to uczyniła, ale że w rzeczywistości zniszczyła wcześniejszy dokument, a nie późniejszy?

Pan Purvis potrząsnął głową.

— Nie, oba były nienaruszone.

— Zatem przypuśćmy, że panna Arundell zniszczyła fałszywy testament, sądząc, że niszczy prawdziwy? Jak pan pamięta, była bardzo chora i łatwo można byłoby ją zwieść.

— Musiałby pan zdobyć dowody — zauważył sucho prawnik.

— Och, niewątpliwie.

— Czy mogę spytać, czy jest jakiś powód, by wierzyć, że to właśnie się zdarzyło?

Poirot lekko się cofnął.

— Na tym etapie nie chciałbym wypowiadać się wiążąco...

— Naturalnie, naturalnie — zgodził się prawnik, słysząc dobrze sobie znaną formułkę.

— Ale w zaufaniu mogę panu powiedzieć, że ta sprawa ma kilka dziwnych punktów.

— Naprawdę? Niech pan nie mówi!

Pan Purvis, przyjemnie podniecony, zatarł ręce.

— Otrzymałem to, czego od pana oczekiwałem — pańską opinię — ciągnął Poirot. — Podzielił się pan ze mną przekonaniem, że wcześniej czy później panna Arundell zmieniłaby zdanie i zmiękłaby w stosunku do swojej rodziny.

— To tylko moje prywatne zdanie — zaznaczył prawnik.

— Drogi panie, doskonale to ‘rozumiem. Jak mi się wydaje, panna Lawson nie jest pańską klientką?

— Poradziłem jej, by poszukała innego prawnika — odparł pan Purvis sztywno.

Poirot podał mu rękę i — podziękował za uprzejmość oraz za wszystkie informacje, których nam udzielił.

# Rozdział dwudziesty

## Druga wizyta w Littlegreen House

Wracając z Harchester do Market Basing, odległego o dziesięć mil, rozważaliśmy sytuację.

— Czy masz jakiegokolwiek podstawy, żeby tak przypuszczać, Poirot?

— Chodzi ci o to, że panna Arundell mogła wierzyć, że ten drugi testament został zniszczony? Nie, *mon ami*, szczerze przyznaję, że nie. Ale przecież musiałem mu coś powiedzieć! Pan Purvis jest bardzo bystry. Gdybym nie wysunął jakiejś sugestii tego typu, zacząłby się zastanawiać, jaka jest moja rola w tej sprawie.

— Wiesz, kogo mi przypominasz, Poirot?

— Nie, *mon ami*.

— Kuglarza żonglującego w powietrzu wieloma kolorowymi piłeczkami.

— Kolorowe piłki to różne moje kłamstwa?

— Mniej więcej.

— I myślisz, że pewnego dnia zdarzy się katastrofa? — Nie da się nieustannie podtrzymywać pozorów — wytknąłem.

— To prawda. Przyjdzie taki moment, kiedy wyłapię piłki jedna po drugiej, ukłonię się i zejdem z sceny.

— W burzy oklasków.

Poirot zmierzył mnie podejrzliwym spojrzeniem.

— Bardzo możliwe.

— Niewiele dowiedzieliśmy się od pana Purvisa — zauważyłem, niechając niebezpiecznego tematu.

— Owszem, ale uzyskaliśmy potwierdzenie naszej koncepcji.

— I potwierdziły się słowa panny Lawson, że aż do śmierci chlebodawczyni nic nie wiedziała o testamencie.

— Jeśli o mnie chodzi, nie znalazłem takiego potwierdzenia.

— Purvis poradził panie Arundell, żeby jej nic nie mówiła, a panna Arundell odparła, że i tak nie miała zamiaru tego robić.

— Tak, to jasne. Ale nie zapominaj przyjacielu o dziurkach od kluczy i kluczach do szuflady.

— Czy naprawdę sądzisz, że panna Lawson posunęłaby się do podsłuchiwania pod drzwiami i szperania w cudzych rzeczach? — zawołałem oburzony.

Poirot uśmiechnął się.

— Panna Lawson nie odebrała wychowania w ekskluzywnej szkole, mcm cher. Wiemy, że podsłuchiwała przynajmniej jedną rozmowę, nie przeznaczoną dla jej uszu — mam na myśli rozmowę Karola z ciotką, w której wspominał o ukatrupianiu skąpych krewnych.

Musiałem przyznać mu rację.

— Widzisz, Hastings, bez trudu mogła podsłuchiwać fragmenty rozmowy pana Purvisa i panny Arundell. On ma donośny głos. A jeśli chodzi o szperanie w cudzych rzeczach, robi to więcej ludzi, niżbyś przypuszczał. Osoby nieśmiałe i tyranizowane przez innych, takie jak panna Lawson, często wyrabiają sobie niezbyt zaszczytne nawyki, które są dla nich pewnym pocieszeniem i rozrywką.

— Doprawdy, Poirot! — zaprotestowałem. Detektyw z przekonaniem pokiwał głową.

— Ależ tak właśnie jest!

Po przybyciu na miejsce wynajęliśmy pokoje w zajeździe U George'a, a następnie udaliśmy się do Littlegreen House.

Gdy zadzwoniliśmy, Bob natychmiast podjął wyzwanie. Wściekle szczekając, pędził przez hol i rzucił się na drzwi wejściowe.

— Wy szarpie wam wątrobę i płuca! — warczał. — Powyrywam wam ręce i nogi! Już ja was nauczę wchodzić do tego domu! Poczekajcie, niech tylko zatopię w was kły!

W ogłuszającym hałasie usłyszeliśmy uspokajający głos:

— No, staruszk, zachowuj się jak grzeczny pies. Chodź tu.

Bob, wbrew swojej woli, został wywleczony za obrozę i zamknięty w małym salonie.

— Zawsze muszą zepsuć zabawę — narzekał. — Pierwsza od długiego czasu okazja, żeby kogoś dobrze postraszyć! Zęby mnie śwędzą, żeby schwycić kogoś za nogawkę! Ładnie byście wyglądali, gdybym was nie bronił!

Zamknąwszy psa, Ellen odrygłowała wejście do domu.

— O, to pan! — zawołała.



Szerzej otworzyła drzwi. Na jej twarzy pojawił się wyraz przyjemnego podniecenia.

— Proszę, niech pan wejdzie, bardzo proszę. Weszliśmy do holu. Spod drzwi na lewo dobywało się sapanie przerywane powarkiwaniem. Bob usiłował rozszyfrować, kim jesteśmy.

— Może pani go wypuści — zaproponowałem.

— Oczywiście. On jest całkiem nieszkodliwy, ale tak szczeka i rzuca się na ludzi, że wszyscy się boją. To doskonały stróż.

Ellen otworzyła drzwi i Bob wypadł przez nie jak z katapulty.

— Kto to? Gdzie oni są? Ach, tu was mam! Ojej, chyba nie pamiętam... — zaczął nas gwałownie obwąchiwać, sapnął. — Oczywiście, my już się znamy!

— Cześć, staruszkę — powiedziałem. — Jak leci? Bob niepewnie machnął ogonem.

— Dziękuję, nieźle. Zobaczmy, co tutaj... ach tak, czuję, że ostatnio rozmawiałeś ze spanielką. To głupie psy. A to co? Kot? Ciekawe. Szkoda, że go tu nie ma. Można by się zabawić. Hmm... no, no, jakiś bulterier.

Prawidłowo odczytawszy wizyty, jakie ostatnio złożyłem przyjaciołom posiadającym psy, Bob przeniósł swoją uwagę na Poirota, powąchał cuchnące benzyną spodnie i odwrócił się z pogardą.

— .Bob! — zawołałem.

Odwrócił głowę i spojrzał na mnie.

— W porządku, wiem, co robię. Za chwilę wracam.

— Dom jest zamknięty. Mam nadzieję, że panowie wybaczą — usprawiedliwiając się, Ellen rzuciła się do otwierania okiennic w małym saloniku.

— Nic nie szkodzi, jest doskonale — uspokajał Poirot, podążając za pokojówką do pokoju i siadając w fotelu.

Już miałem udać się za nimi, kiedy z tajemniczych zakątków domu wyłonił się Bob z piłeczką w pysku. Wbiegł na schody i ułożył się na najwyższym stopniu z piłką między łapami. Zamachał do mnie ogonem.

— Co ty na to, zagramy?

Moje zainteresowanie dochodzeniem natychmiast osłabło. Kilka minut bawiłem się z psem, a potem z poczuciem winy dołączyłem do Poirota.

Poirot i Ellen rozmawiali właśnie na temat chorób i lekarstw.

— Małe białe pigułki, proszę pana, tylko to brała. Dwie lub trzy po każdym posiłku. Tak jej zalecił doktor Grainger. Tak, pomagały jej. Takie maciupęńkie pigułki. I jeszcze lekarstwo, za które ręczyła panna Lawson. To były kapsułki, lek na wątrobę według receptury doktora Loughbarrowa, tak się nazywał. Jest reklamowany na tablicach.

— I też je brała?

— Tak. Najpierw dała jej na spróbowanie panna Lawson, i okazało się, że skutkuje.

— Czy doktor Grainger wiedział o tym?

— O, tak, ale nie protestował. „Niech pani bierze, jeśli pani uważa, że pomaga” — mówił jej. A ona na to: „Może się pan śmiać, ale mi pomaga. O wiele lepiej niż to, co pan mi przepisuje”. I doktor Grainger śmiał się i powiedział, że wiara jest więcej warta niż jakiegokolwiek pigułki.

— I nic więcej nie brała?

— Nie. Mąż panienki Belli, ten obcokrajowiec, przyniósł jej z apteki jakieś lekarstwo, ale choć grzecznie mu podziękowała, wylała je do zlewu. Słowo daję! Uważam, że miała rację. Lepiej nie leczyć się według tych zagranicznych metod.

— Pani Tanios widziała, jak wylewa lekarstwo, prawda?

— Tak. Chyba, biedactwo, poczuła się urażona. Mnie też było przykro, bo niewątpliwie pan doktor chciał jej pomóc z dobrego serca.

— Niewątpliwie. Podejrzewam, że lekarstwa zostały wyrzucone po śmierci panny Arundell?

Pytanie najwyraźniej zdziwiło Ellen.

— O tak, oczywiście. Trochę wyrzuciła pielęgniarka, a panna Lawson wyrzuciła wszystkie stare leki z apteczki w łazience.

— To właśnie tam przechowywano... eee... kapsułki na wątrobę doktora Loughbarrowa?

— Nie, trzymano je w kredensie w pokoju stołowym, żeby były pod ręką — zażywało się je zaraz po posiłku.

— Jak się nazywała pielęgniarka opiekująca się panią Arundell? Może pani podać mi jej nazwisko i adres?

Ellen natychmiast dała nam potrzebne dane.

Poirot wrócił do tematu ostatniej choroby panny Arundell.

Ellen z wyraźną przyjemnością włączyła się w drobiazgowy opis bólów, pierwszych objawów żółtaczki i końcowej utraty przytomności. Nie wiem, czy te szczegóły na coś się Poirotowi przydały.

W każdym razie słuchał cierpliwie i od czasu do czasu zadawał pytanie, głównie na temat panny Lawson i czasu, jaki spędzała w pokoju chorej. Bardzo go również interesowała dieta panny Arundell, którą porównywał z dietą jakiegoś zmarłego (fikcyjnego) krewnego.

Widząc, że na tych rozmowach miło im płynie czas, wymknąłem się do holu. Tym razem Bob, zapewne czując się obrażony, kazał mi długo czekać na piłeczkę, kilkakrotnie łapiąc ją w ostatniej chwili. Patrzył na mnie, zupełnie jakby chciał powiedzieć:

— Czujesz się zawiedziony, co? No, może tym razem ci ją rzucę.

Kiedy wróciłem do pokoju, Poirot mówił o nieoczekiwanej wizycie Taniosa w niedzielę przed śmiercią starszej pani.

— Tak, proszę pana, pan Karol i panienska Teresa wyszli na spacer. Nikt nie wiedział, że doktor Tanios przyjedzie. Pani leżała w łóżku i była bardzo zdziwiona, kiedy go zapowiedziałam. „Pan Tanios? — rzekła. — Czy jest z nim pani Tanios?” Powiedziałam, że nie, przyjechał sam. Kazała mi powiedzieć, że za chwilę zejdzie na dół.

— Czy długo został?

— Mniej niż godzinę. Nie wyglądał na bardzo zadowolonego, kiedy wychodził.

— Czy wie pani... po co przyjechał?

— Nie, nie wiem.

— Nic pani nie słyszała?

Ellen gwałtownie się zaczerwieniła.

— Nic, proszę pana! Nie podsłuchuję pod drzwiami, tak jak niektórzy... i to tacy, którzy powinni lepiej wiedzieć, jak się zachować!

— Och, ależ pani mnie nie zrozumiała! — wykrzyknął przepaszająco Poirot. — Pomyślałem, że może przyniosła pani herbatę dla doktora, a w tym wypadku mogła pani usłyszeć, o czym mówił z pani chlebobawczynią.

Ellen się udobruchała.

— Przepraszam, źle to zrozumiałam. Nie, doktor Tanios nie został na herbacie.

Poirot spojrział na pokojówkę i mrugnął okiem.

— Gdybym chciał wiedzieć, po co przyjechał, to może... może panna Lawson byłaby lepiej zorientowana?

— Jeśli ona nie wie, to nikt nie wie — odparła Ellen z pogardliwym prychnięciem.

— Zaraz, zaraz — Poirot zmarszczył brwi, jakby próbując sobie przypomnieć — sypialnia panny Lawson była zaraz koło sypialni panny Arundell?

— Nie, pokój panny Lawson jest na wprost schodów. Mogę panu pokazać.

Poirot chętnie skorzystał z propozycji. Idąc po schodach, trzymał się blisko ściany. Gdy był już na ostatnim stopniu, krzyknął i pochylił się, łapiąc za nogawkę.

— Ach, zahaczyłem się o coś... no właśnie, w listwie jest gwóźdź.

— Tak proszę pana. Myślę, że musiał się obłuzować. Parę razy zahaczyłam o niego sukienką.

— Od dawna tak sterczy?

— Od jakiegoś czasu. Po raz pierwszy zauważyłam go, kiedy pani leżała po wypadku. Próbowałam go wyciągnąć, ale się nie dało.

— Chyba kiedyś była wokół niego owinięta nić.

— To prawda, pamiętam, że była nić. Nie mam pojęcia, skąd się tam wzięła.

W głosie Ellen nie czuło się podejrzliwości. Dla niej była to po prostu jedna z niewytłumaczalnych rzeczy, które co dzień się zdarzają, ale którym nie poświęca się chwili uwagi.

Pokój na wprost schodów był niewielki. Naprzeciw wejścia znajdowały się dwa okna, w jednym rogu pokoju stała toaletka, a pomiędzy oknami ustawiono szafę z długim lustrem. Łóżko mieściło się po prawej za drzwiami. Pod ścianą po lewej stała duża mahoniowa komoda i stojak na miskę, z marmurowym blatem.

Poirot rozejrzał się uważnie i wyszedł na korytarz. Minął dwie inne sypialnie i wszedł do dużej sypialni panny Arundell.

— Pielęgniarka miała pokój obok — wyjaśniła Ellen. Poirot zamyślony kiwnął głową.

Gdy schodziliśmy po schodach, spytał, czy mógłby zobaczyć ogród.

— Naturalnie, sir. Teraz wygląda pięknie.

— Ogrodnik nadal przychodzi?

— Angus? Tak. Panna Lawson chce, żeby ogród był dobrze utrzymany, bo uważa, że łatwiej będzie sprzedać dom.

— Chyba ma rację. Nie jest dobrze, jeśli otoczenie wygląda na zaniedbane.

W ogrodzie było pięknie i cicho. Wokół trawników biegły szerokie pasy łubinów, ostróżek i wielkich czerwonych maków. Kwitły piwonie. Podziwiając ogród, doszliśmy do szopy ogrodniczej,

przy której pracował wysoki staruszek o nieregularnych rysach. Pozdrowił nas uprzejmie i Poirot wciągnął go w rozmowę.

Na wzmiankę, że tego dnia widzieliśmy się z paniczem Karolem, mężczyzna pozbył się rezerwy i stał się bardzo rozmowny.

— Zawsze było z niego niezłe ziółko! Widziałem, jak schował tu z ciasto z agrestem, a kucharka szukała je wszędzie i nie mogła znaleźć! A potem wrócił do domu z taką niewinną miną, że w końcu posądziła kota o to, że je zezarł. Nigdy nie widziałem kota, który by jadł ciasto z agrestem! Tak, niezłe z niego ziółko!

— Przyjechał tu w kwietniu, prawda?

— Tak, na dwa weekendy. Tuż przed śmiercią pani.

— Zaglądał tu do pana?

— O tak, spędził ze mną trochę czasu. Taki młody nie ma co tu robić. Szedł na jednego do George'a, a potem przychodził tu i pytał mnie o różne rzeczy.

— O kwiaty?

— Tak, kwiaty... i chwasty. — Staruszek zachichotał.

— O chwasty? — zainteresował się Poirot. Przebiegł wzrokiem wzdłuż półek. Zatrzymał wzrok na puszcze. — Może chciał wiedzieć, jak się ich pozbyć?

— Właśnie!

— Przypuszczam, że pan tego używa? — Poirot wskazał puszkę i przeczytał etykietę.

— Tak jest. Bardzo przydatny środek — przyznał Angus.

— Niebezpieczny?

— Nie, jeśli zachowuje się ostrożność. Zawiera arszenik. Żartowaliśmy na ten temat z paniczem Karolem. Powiedział, że jeśli się ożeni i będzie miał dość żony, weźmie trochę tego środka i dosypie jej do jedzenia. Ja mu na to: a może to ona zechce ciebie wyprawić na drugi świat! Ale się uśmieł!

My też pośmialiśmy się jak należało. Poirot otworzył wieczko.

— Prawie pusta — mruknął.

Staruszek zajrzał do środka.

— O, wyszło więcej, niż myślałem. Nie miałem pojęcia, że już tyle zużyłem. Muszę zamówić nową porcję.

— No właśnie — uśmiechnął się Poirot. — Obawiam się, że jest za mało, żeby odstąpił mi pan trochę dla mojej żony!

Znowu pośmialiśmy się z dowcipu.

— Pan nie jest żonaty, prawda?

— Nie.

— Tylko nieżonaci mogą sobie pozwolić na takie żarty. Ci, którzy nie wiedzą, co to kłopoty.

— Rozumiem, że pańska żona...

— Żyje i ma się dobrze... bardzo dobrze.

Angus wydawał się nieco przygnębiony tym faktem. Chwaląc ogród, pożegnaliśmy się i wróciliśmy do domu.

# Rozdział dwudziesty pierwszy

## Aptekarz, pielęgniarka i lekarz

Puszka środka chwastobójczego nadała nowy kierunek moim rozmyśleniom. Po raz pierwszy natknąłem się na coś podejrzanego. Zainteresowanie Karola, oczywiste zaskoczenie ogrodnika na widok prawie pustego opakowania — wszystko wydawało się wskazywać na jedno.

Poirot, jak zwykle kiedy się czymś ekscytowałem, dawał wymijające odpowiedzi.

— Nawet jeśli znikło trochę herbicydu, wcale nie ma dowodu, że zabrał go Karol.

— Ale tyle o tym rozmawiali z ogrodnikiem!

— Nadzwyczaj nierozsądne posunięcie, jeśli istotnie miał zamiar wziąć trochę tego środka.

I zapytał:

— Jeśli masz szybko wymienić nazwę trucizny, to co ci automatycznie przyjdzie na myśl?

— Chyba arszenik.

— Właśnie. Zatem rozumiesz znaczenie tej pauzy, którą zrobił Karol przed słowem „strychnina”, kiedy z nami dziś rozmawiał?

— To znaczy...

— Że miał zamiar powiedzieć „arszenik do zupy” i się rozmyślił.

— No właśnie! A dlaczego się rozmyślił?

— Otóż to. Dlaczego? Po to, aby znaleźć odpowiedź na to pytanie, udałem się do ogrodu na poszukiwanie możliwego źródła herbicydów.

— I znalazłeś go!

— Owszem. Potrząsnąłem głową.

— Karolek nie najlepiej w tym wszystkim wygląda. Długo rozmawiałeś z Ellen o chorobie jej pani. Czy symptomy przypominały zatrucie arszenikiem?

Poirot potarł nos.

— Trudno powiedzieć. Miała bóle brzucha i nudności...

— Oczywiście! Zgadza się!

— Hm, nie jestem pewien.

— To jaką truciznę spożyła?

— *Eh bien*, przyjacielu, objawy nie tyle świadczyły o truciznie, co o dolegliwościach wątrobowych.

— Ależ Poirot — zawołałem. — Niemożliwe, żeby to była śmierć z przyczyn naturalnych! To na pewno morderstwo!

— *O la, la*, zdaje się, że zamieniliśmy się miejscami. Raptownie odwrócił się i wszedł do apteki. Po długiej rozmowie na temat kłopotów zdrowotnych Poirot kupił małą fiolkę tabletek przeciw niestrawności. A kiedy lekarstwo zostało już elegancko opakowane i Poirot miał wychodzić ze sklepu, nagle zauważył przyciągającą wzrok etykietę kapsułek na wątrobę doktora Loughbarrowa.

— Bardzo dobry preparat, proszę pana — zachwalał aptekarz, rozmowny mężczyzna w średnim wieku. — Sam się pan przekona, że skutkuje.

— Pamiętam, że brała je panna Arundell. Emilia Arundell.

— Ma pan rację. Panna Arundell z Littlegreen House. Prawdziwa dama, jeszcze dawna szkoła. U mnie kupowała leki.

— Czy zażywała wiele specyfików?

— Nie tak wiele. Nie tyle, co inne starsze kobiety, które mógłbym wymienić. Na przykład panna Lawson, jej pani do towarzystwa, ta co odziedziczyła cały majątek...

Poirot skinął głową.

— Ona brała to, tamto i co jej tylko wpadło do głowy. Pigułki, pastylki, tabletki na niestrawność, mikstury poprawiające trawienie i na krew. W aptece czuła się jak ryba w wodzie. — Uśmiechnął się żałośnie. — Szkoda, że nie ma więcej takich osób. Dziś ludzie nie zażywają tylu lekarstw co niegdyś. Na szczęście sprzedajemy więcej kosmetyków, co trochę rekompensuje straty.

— Czy panna Arundell regularnie brała kapsułki?

— Tak, brała je przez jakieś trzy miesiące przed śmiercią.

— Jej powinowaty, doktor Tanios, zamawiał tu kiedyś jakąś miksturę, prawda?

— Tak, to ten Grek, który poślubił siostrzenicę panny Arundell. To była ciekawa mikstura. Nigdy przedtem takiej nie robiłem.

Aptekarz mówił o niej jak przyrodnik o ciekawym okazie botanicznym.



— Dla odmiany warto czasem zrobić coś innego. Ta mieszanka miała interesujący skład. Naturalnie, on wie, co robi, w końcu jest lekarzem. Bardzo miły gość.

— Czy jego żona kupowała coś u pana?

— Czy kupowała? Nie pamiętam. A, przypomniałem sobie. Przyszła po środek nasenny. Pamiętam, że recepta była na podwójną dawkę. Musimy uważać, wydając leki nasenne. Widzi pan, większość lekarzy nie przepisuje jednorazowo takich ilości.

— A kto wypisał receptę?

— Wydaje mi się, że jej mąż. Naturalnie, wszystko było w porządku, ale rozumie pan, w dzisiejszych czasach trzeba być ostrożnym. Może pan nie wie, ale jeśli lekarz pomyli się w recepturze, a aptekarz w dobrej wierze zrobi ten lek, to jeśli coś się stanie, odpowiada aptekarz, nie pan doktor.

— To niesprawiedliwe!

— Przyznam, że to przykre. Ale, odpukać, nie mogę narzekać. Na szczęście nic takiego mi się nie przytrafiło.

Energicznie postukał w kontuar. Poirot zdecydował się na kapsułki doktora Loughbarrowa.

— Jakie opakowanie? Dwadzieścia pięć, pięćdziesiąt, sto kapsułek?

— Podejrzewam, że lepiej kupić większe, ale...

— Niech pan kupi pięćdziesiąt. Takie właśnie kupowała panna Arundell. Osiem sześćdziesiąt.

Poirot zgodził się na to opakowanie, zapłacił osiem funtów sześćdziesiąt pensów i wziął paczuszkę. Wyszliśmy ze sklepu.

— A więc pani Tanios kupowała środek nasenny! — wykrzyknąłem, kiedy wyszliśmy na ulicę. — Duża dawka mogłaby każdego zabić, prawda?

— Bez wątpienia.

— Czy myślisz, że staruszka, panna Arundell... Przypomniały mi się słowa panny Lawson: „Każdego by zabiła, gdyby jej kazał”. Poirot potrząsnął głową.

— Chloral jest narkotykiem i środkiem nasennym. Stosuje się go przeciwbólowe i nasennie. Można się od niego uzależnić.

— Czy myślisz, że pani Tanios jest uzależniona? Poirot potrząsnął głową z zakłopotaniem.

— Nie, tak nie myślę. Ale to dziwne. Tylko jedno przychodzi mi do głowy. Ale to by znaczyło...

Urwał i rzucił okiem na zegarek.

— Chodźmy, zobaczymy, czy uda nam się znaleźć tę siostrę Carruthers, która opiekowała się panią Arundell podczas jej ostatniej choroby.

Siostra Carruthers była rozsądną kobietą w średnim wieku.

Poirot wystąpił w kolejnej roli. Tym razem wymyślił starszą matkę, dla której szukał sympatycznej pielęgniarki.

— Widzi pani... będę szczerzy. Moja matka jest trudna. Mieliśmy już kilka wspaniałych pielęgniarek, młodych i kompetentnych, ale mama miała im za złe ich młodość. Mama nie lubi młodych kobiet, obraża je, jest nieuprzejma i nieposłuszna, zwalcza otwarte okna i współczesną higienę. Jest bardzo trudna.

Westchnął żałośnie.

— Znam to — powiedziała pielęgniarka współczująco.

— To bywa bardzo męczące. Trzeba mieć dużo taktu. Nic się nie osiągnie, denerwując pacjenta. Lepiej ustąpić w tym, w czym można. Jak tylko pacjent poczuje, że do niczego się go nie zmusza, bardzo często się odpręża i jest potulny jak baranek.

— O, widzę, że pani dobrze by się do tego nadawała. Rozumie pani starsze panie.

— W swoim czasie z niejedną miałam do czynienia — odparła siostra Carruthers z uśmiechem. — Dobrym humorem i cierpliwością można dużo osiągnąć.

— Mądre słowa. Słyszałem, że pielęgnowała pani pannę Arundell? Ta też pewnie była trudna.

— Czy ja wiem? Była uparta, ale ja nie miałam z nią trudności. Naturalnie, nie spędziłam z nią dużo czasu. Umarła na czwarty dzień.

— Zaledwie wczoraj rozmawiałem z jej bratanicą, Teresą Arundell.

— Naprawdę? Coś takiego! Jaki ten świat jest mały!

— Pani ją zna, prawda?

— Przyjechała po śmierci ciotki i została na pogrzeb. Oczywiście widziałam ją i wcześniej, kiedy pracowałam w tym domu. Bardzo przystojna dziewczyna.

— Owszem, ale zbyt chuda. Zdecydowanie zbyt chuda. Siostra Carruthers, świadoma okrągłości swej figury, z zadowoleniem zgodziła się z Poirotem:

— Naturalnie, niedobrze jest być zbyt szczupłym.

— Biedna dziewczyna — ciągnął Poirot — bardzo mi jej żal. *Entre nous* — pochylił się i zniżył głos — testament ciotki był dla niej wielkim ciosem.

— Spodziewam się. Podobno wywołał wiele komentarzy.

— Nie wiem, co skłoniło pannę Arundell do wydziedziczenia rodziny. To po prostu niesłychane.

— Zgadzam się z panem. Oczywiście ludzie mówią, że coś się za tym musi kryć.

— Czy wie pani, co spowodowało ten krok? Czy panna Arundell coś powiedziała? .

— Nie. To znaczy nie mi.

— Komuś innemu?

— Podejrzewam, że musiała wspomnieć pannie Lawson, bo słyszałam, jak panna Lawson mówiła: „Tak, moja droga, ale widzisz, jest u prawnika”. A pani Arundell rzekła: „Jestem pewna, że leży w dolnej szufladzie”. Na to panna Lawson: „Nie, przecież wysłała go pani panu Purvisowi. Nie pamięta pani?” I potem pacjentka dostała ataku nudności, musiałam się nią zająć, a panna Lawson wyszła. Nieraz się zastanawiałam, czy nie mówiły o testamencie.

— Bardzo prawdopodobne. Siostra Carruthers ciągnęła:

— Jeśli tak, to podejrzewam, że panna Arundell martwiła się i może chciała go zmienić, ale po tym ataku biedaczka była taka chora, że już o niczym nie myślała.

— Czy panna Lawson pomagała w pielęgnacji?

— Och nie, zupełnie nie potrafiła zajmować się chorymi. Niepotrzebnie cały czas się krząta. Tylko denerwowała pacjentkę.

— Czyli pani sama pielęgnowała pannę Arundell? *C'est formidable, ça\**.

— Pomagała mi pokojówka... jak ona się nazywała... Ellen. Ellen dobrze to robiła. Miała praktykę w opiece nad starszą panią. Razem dobrze sobie radziłyśmy. Doktor Grainger zamierzał w piątek przysłać pielęgniarkę na noc, ale panna Arundell zmarła wcześniej.

— Może panna Lawson pomagała chociaż przygotowywać posiłki dla chorej?

— Nie, nic takiego nie robiła. Właściwie nie było co przygotowywać. Ja miałam bulion Valentine'a, brandy, ekstrakt Branda, glukozę i całą resztę. Panna Lawson jedynie cały dzień snuła się po domu, płakała i wchodziła wszystkim w drogę.

W głosie pielęgniarki wyczuwało się zjadliwość.

— Widzę, że pani nie bardzo sobie ceni użyteczność panny Lawson — rzekł Poirot.

— Widzi pan, panie do towarzystwa nic nie umieją. Wszystko robią po amatorsku. I zazwyczaj to kobiety, które do niczego innego się nie nadają.

— Myśli pani, że panna Lawson bardzo się przywiązała do panny Arundell?

— Takie sprawiała wrażenie. Była przygnębiona i kiedy panna Arundell zmarła, kompletnie się załamała. Moim zdaniem była bardziej zmartwiona niż rodzina — prychnęła pogardliwie siostra Carruthers.

— Zatem może panna Arundell wiedziała, co robi — pokiwał domyślnie głową Poirot — kiedy tak właśnie rozporządziła majątkiem?

— Była bystra — przyznała pielęgniarka. — Powiedziałabym, że niewiele umykało jej uwadze.

— Czy wspominała psa, Boba?

— Dziwne, że pan o to pyta. Dużo o nim mówiła, kiedy majaczyła w gorączce. Coś o piłce i o upadku ze schodów. Miły pies, ten Bob. Bardzo lubię psy. Biedny, był taki nieszczęśliwy, kiedy jego pani umarła. Psy są wspaniałe, prawda? Zupełnie jak ludzie.

I na tej ludzkości psów zakończyliśmy wizytę.

— Jedyne osoba, która nie ma żadnych podejrzeń — zauważył Poirot, kiedy wyszliśmy. Był lekko rozczarowany.

W zajeździe U George'a zjedliśmy fatalny obiad. Poirot bardzo narzekał, szczególnie na zupę.

— A to żadna sztuka, Hastings, zrobić dobrą zupę. *Le-pot-au-feu* \*...

Z pewnym trudem udało mi się uniknąć dyskusji na temat kuchni.

Po obiedzie czekała na nas niespodzianka.

Siedzieliśmy w holu. Byliśmy sami — wprawdzie na obiedzie był jeszcze jakiś mężczyzna, z wyglądu agent handlowy, ale wyszedł. Leniwie przerzucałem strony starego numeru „Hodowcy bydła” czy jakiejś podobnej gazety, kiedy nagle usłyszałem, że ktoś wymienia nazwisko Poirota. Głos dobiegał z za drzwi.

— Gdzie jest? Tutaj? W porządku, znajdę go. Nagle drzwi się otworzyły i do pokoju wtargnął doktor Grainger, czerwony na obliczu i ze zmarszczonymi brwiami. Zatrzymał się w progu, a potem zdecydowanym krokiem zaczął się do nas zbliżać.

— Ach, tu pan jest. Co pan, panie Poirot, chce osiągnąć, karmiąc mnie stekiem kłamstw?

— Jedna z piłeczek zonglera? — mruknąłem złośliwie.

— Mój drogi doktorze — zaczął Poirot przymilnym tonem — niech mi pan pozwoli wyjaśnić...

— Co takiego? Mam pozwolić? Ależ ja pana do tego zmuszę! Pan jest detektywem, ot co! Węszącym, wtykającym we wszystko nos detektywem! Co za czelność, przychodzić do mnie i opowiadać mi bzdury o pisaniu biografii generała Arundella! Co za głupiec ze mnie, że dałem się na to nabrać! v

— Kto powiedział panu, kim jestem? — spytał Poirot.

— Kto mi powiedział? Panna Peabody. Ona szybko pana przejrzała!

— Panna Peabody... tak. Tak mi się wydawało... — mruknął zamyślony Poirot.

Doktor Grainger przerwał mu ze złością.

— Teraz czekam na wyjaśnienia!

— Naturalnie. Moje wyjaśnienie jest bardzo proste. Usiłowanie morderstwa.

— Co? O co chodzi?

— Panna Arundell spadła ze schodów, prawda? — powiedział spokojnie Poirot. — To było krótko przed śmiercią?

— Tak, i co z tego? Poślizgnęła się na piłce Boba.

Poirot potrząsnął głową.

— Nie, doktorze, nie poślizgnęła się. Na ostatnim stopniu w poprzek schodów przeciągnięto nitkę, żeby zahaczyła o nią stopą i się przewróciła.

Doktor Grainger, zaskoczony, przyglądał się Poirotowi.

— To czemu mi o tym nie powiedziała? — spytał.

— Ani słowem o tym nie wspomniała.

— To chyba zrozumiałe... jeśli tę pułapkę zмайstrował ktoś z jej rodziny.

— Hm. Rozumiem. — Doktor rzucił uważne spojrzenie Poirotowi, a potem usiadł w fotelu. — A skąd pan wziął się w tej sprawie?

— Pani Arundell napisała do mnie, prosząc o zachowanie tajemnicy. Niestety, list nie doszedł na czas.

Poirot zaznajomił doktora z mocno okrojona wersją wypadków i wyjaśnił, jak znalazł gwóźdź wbity w listwę przypodłogową.

Doktor słuchał z poważną miną. Złość mu minęła.

— Jak pan rozumie, moja pozycja jest delikatna — zakończył opowieść Poirot. — Zostałem zatrudniony przez nieżyjącą kobietę. Mimo to uważam swoje zadanie za nie mniej zobowiązujące.

Doktor Grainger w zamyśleniu ściągnął brwi.

— I nie wie pan, kto przeciągnął nić przy schodach? — spytał.

— Nie mam dowodów, ale nie powiem, że się nie domyślam.

— Paskudna historia.

— Tak. Rozumie pan, zastanawiałem się, czy nie nastąpiła druga próba.

— Ee? Nie rozumiem.

— Wydawać by się mogło, że pani Arundell zmarła śmiercią naturalną, ale czy można mieć pewność? Raz próbowano ją zabić. Skąd można wiedzieć, że nie było drugiej próby? Tym razem udanej?

Doktor Grainger ze zrozumieniem pokiwał głową.

— Jest pan przekonany — proszę mi wybaczyć to pytanie — że śmierć pani Arundell była naturalna? Dziś natrafiłem na pewne ślady...

Streścił rozmowę ze starym Angusem, wspomniał zainteresowanie Karola środkiem chwastobójczym i w końcu zdziwienie ogrodnika małą ilością preparatu.

Grainger słuchał z uwagą. Kiedy detektyw skończył; rzekł:

— Rozumiem pana. W wielu przypadkach zatrucia arszenikiem zostało zdiagnozowanych jako ostre zapalenie żołądka i jelit i lekarz wystawiał świadectwo zgonu — szczególnie, jeśli nie było żadnych podejrzanych okoliczności. Zatrucie arszenikiem trudno jest wykryć, bardzo różnie może się objawiać. Może być ostre, podostre, nerwowe lub chroniczne. Mogą pojawić się nudności i ból brzucha, ale niekoniecznie. Chory może nagle upaść na ziemię i umrzeć, a może wystąpić faza oszołomienia i paraliżu.

— *Eh bien*, biorąc pod uwagę te fakty, jakie jest pana zdanie?

Doktor Grainger przez chwilę milczał, po czym rzekł:

— Biorąc wszystko pod uwagę, jestem zdania, że objawy choroby panny Arundell w żadnym wypadku nie odpowiadają zatruciu arszenikiem. Jestem absolutnie przekonany, że jej śmierć nastąpiła w wyniku żółtego zaniku wątroby. Jak pan wie, leczyłem ją od wielu lat i już poprzednio zdarzały jej się ataki takie jak ten, w czasie którego zmarła. Jestem pewien tego, co mówię. I tego należy się trzymać.

Poirot z przepaszającą miną wyjął kapsułki na wątrobę, które kupił w aptece.

— Wydaje mi się, że panna Arundell je zażywała — powiedział. — Nie mogły jej zaszkodzić, prawda?

— Te kapsułki? Z pewnością nie. Aloes, podofilina — środki łagodne i nieszkodliwe. Chciała to wypróbować, a ja nie miałem nic przeciwko temu.

Podniósł się z fotela.

— Pan sam przygotowywał dla niej jakieś leki? — spytał Poirot.

— Tak. Łagodne pigułki na wątrobę, zażywane po posiłku. Mogła wziąć całe opakowanie bez szkody dla zdrowia. Nie zwykłem truć swoich pacjentów, panie Poirot — dodał, puszczając do nas oko.

Pożegnaliśmy się i doktor wyszedł.

Poirot wyciągnął z tekturowego pudełka kapsułki kupione w aptece. Były przezroczyste, w trzech czwartych wypełnione ciemnobrązowym proszkiem.

— Wyglądają zupełnie jak lek przeciw chorobie morskiej, który kiedyś brałem — zauważyłem.

Poirot otworzył kapsułkę, zbadał zawartość i ostrożnie posmakował. Wykrzywił się strasznie.

— No cóż — powiedziałem, padając na fotel i ziewając. — Okazało się, że to wszystko jest nieszkodliwe, zarówno medykamenty doktora Loughbarrowa, jak i pigułki doktora Graingera. I Grainger zdecydowanie odrzuca otrucie arsenikiem. Czy to cię przekonuje, mój uparty Poirocie?

— To prawda, że jestem uparty jak osioł — tak chyba mówicie? Tak, mam w sobie ośli upór — powiedział mój przyjaciel z zadumą.

— Zatem, pomimo iż aptekarz, pielęgniarka i lekarz nie podzielają twoich podejrzeń, nadal wierzysz, że panna Arundell została zamordowana?

— W to właśnie wierzę. Nie, więcej, jestem tego pewien.

— Jest tylko jeden sposób na zdobycie niezbitego dowodu — rzekłem. — Ekshumacja.

Poirot skinął głową.

— Czy to będzie nasz następny krok?

— Drogi przyjacielu, muszę być bardzo ostrożny.

— Dlaczego?

— Ponieważ — rzekł, zniżając głos — obawiam się drugiej tragedii.

— Chcesz powiedzieć...

— Boję się, Hastings. Boję się. Nie mówmy więcej na ten temat.



# Rozdział dwudziesty drugi

## Kobieta na schodach

Następnego dnia rano posłaniec doręczył nam list. Napisany był niepewną ręką, a linijki pisma uciekały w górę.

*Szanowny panie Poirot,*

*Dowiedziałam się od Ellen, że był Pan wczoraj w Littlegreen House. Byłabym wdzięczna, gdyby zechciał Pan złożyć mi dziś wizytę.*

*Z poważaniem*

*Wilhelmina Lawson*

— Zatem ona też tu przyjechała — zauważyłem.

— Owszem.

— Ciekaw jestem, po co. Poirot uśmiechnął się.

— Nie podejrzewam, żeby miała jakieś mrozące krew w żyłach powody. W końcu teraz dom należy do niej.

— No tak, naturalnie. Wiesz, Poirot, że to właśnie jest najgorsze w naszej grze. Każdy najniewinniejszy uczynek tych ludzi może nabierać złowieszczych interpretacji.

— Muszę przyznać, że to ja uczuliłem cię na hasło „podejrzewać każdego”.

— Czy ty sam też jesteś na tym etapie?

— Nie. Jeśli o mnie chodzi, podejrzewam jedną konkretną osobę.

— Kogo?

— Ponieważ obecnie jest to tylko podejrzenie i brakuje nam konkretnych dowodów, wolałbym, abyś sam wyciągał wnioski, Hastings. Nie zapominaj o psychologii — to bardzo ważne. Rodzaj

zbrodni zdradza charakter zbrodniarza — to podstawowa wskazówka.

— Nie mogę rozpatrywać charakteru mordercy, jeśli nie wiem, kto to jest.

— Nie słuchałeś, co mówiłem! Jeśli odpowiednio rozważysz charakter zbrodni, dojdiesz do tego, kto jest mordercą.

— Naprawdę to wiesz? — spytałem zaintrygowany.

— Nie mogę powiedzieć, że wiem, bo nie mam dowodów. Dlatego w obecnej chwili nic więcej nie mogę zdradzić. Ale jestem całkiem pewien swoich wniosków — tak, przyjacielu, w głębi duszy jestem ich pewien.

— No cóż — żartowałem — uważaj, żeby tobie nic nie zrobił. To dopiero byłaby tragedia!

Poirot spojrział na mnie ze zdumieniem. Nie potraktował moich słów jako żartu.

— Masz rację — mruknął. — Muszę być bardzo ostrożny.

— Powinieneś nosić kolczugę i zatrudnić podczaszego, żeby ustrzec się trucizny. Właściwie najlepiej byłoby wynająć kilku goryli dla ochrony.

— *Merci*, Hastings. Wolę polegać na sobie.

Mój przyjaciel napisał list do panny Lawson, z informacją, że może się nas spodziewać w Littlegreen House o godzinie jedenastej, po czym zjedliśmy śniadanie i wyszliśmy na rynek. Był gorący, senny dzień, godzina wpół do jedenastej.

Przyglądałem się stojącemu na wystawie sklepu z antykami kompletowi krzesel Hepplewhite'a, kiedy ktoś boleśnie dźgnął mnie w żebra i usłyszałem przenikliwy okrzyk:

— Hej!

Oburzony odwróciłem się na pięcie i stanąłem twarzą w twarz z panną Peabody. W ręku trzymała narzędzie tortur — dużą, solidną parasolkę z ostrym końcem.

Najwyraźniej obojętna na ostry ból, jaki mi zadała, zauważyła z satysfakcją:

— Ha! Tak myślałam, że to pan. Rzadko się myłę.

— Dzień dobry — odparłem chłodnym tonem. — Czym mogę służyć?

— Może mi pan powiedzieć, jak pańskiemu przyjacielowi idzie pisanie biografii generała Arundella?

— Jeszcze nie zaczął.

Panna Peabody zachichotała z wyraźnym ukontentowaniem. Trzęsła się jak galareta. Opanowawszy się, rzekła:

— Chyba się za nią nie zabierze.

— Przejrzała pani nasze małe oszukaństwo? — spytałem z uśmiechem.

— Brał mnie pan za głupią? Od razu się zorientowałam, czego szuka pański przyjaciel. Chciał, żebym mówiła! Nie miałam nic przeciwko. Lubię mówić. W dzisiejszych czasach trudno o słuchacza. Dobrze się bawiłam.

Rzuciła mi bystre spojrzenie.

— No i o co tu chodzi?

Wahałem się, co odpowiedzieć, kiedy podszedł do nas Poirot. Gorliwie ukłonił się pannie Peabody.

— Dzień dobry pani. Jestem zachwycony naszym spotkaniem.

— Dzień dobry — odparła panna Peabody. — Jak się pan ma, panie Parotti, a może Poirot?

— Bardzo sprytnie przejrzała pani moje przebranie — rzekł Poirot z uśmiechem.

— Bardzo słabe przebranie, nie było co przeglądać. Niewielu mężczyzn jest podobnych do pana, co? Nie wiem, czy to dobrze, czy źle. Trudno ocenić.

— Wolę być unikalny, *mademoiselle*.

— Powiedziałałabym, że pańskie życzenie się spełniło — powiedziała z przekąsem. — No, panie Poirot, parę dni temu naplotkowałam panu, ile wlezie. Teraz moja kolej zadawać pytania. Co tu się dzieje, co? O co chodzi?

— Czy przypadkiem nie zadaje pani pytania, na które zna pani odpowiedź?

— Nie jestem pewna. — Rzuciła mu spojrzenie. — Nie podoba mi się ten testament. A może to coś innego? Nie chcecie przypadkiem wykopać Emilii?

Poirot nie odezwał się.

Panna Peabody powoli i z namaszczeniem skłoniła głowę, jakby otrzymała odpowiedź.

— Często zastanawiałam się — powiedziała bez związku — jak by to było... Wie pan, tyle się czyta w gazetach... Byłam ciekawa, czy kiedykolwiek u nas, w Market Basing, będzie ekshumacja... Nie podejrzewałam, że będzie chodziło o Emilię Arundell...

Zmierzyła Poirota uważnym wzrokiem.

— Jej by się to nie podobało. Ale pan pewnie wziął to pod uwagę...

— Tak, wziąłem to pod uwagę.

— Tak mi się wydawało. Nie jest pan głupcem! Ani też nie nadgorliwy.

Poirot skłonił się.

— Dziękuję pani, *mademoiselle*.

— A to więcej, niż powiedziałyby większość ludzi — którzy sądziliby pana po wąsie. Po co pan go nosi? Podoba się panu?

Odwróciłem się, pękając ze śmiechu.

— Anglicy w godny ubolewania sposób lekceważą wąsy — zauważył Poirot, gładząc ukradkiem tę ozdobę oblicza.

— Rozumiem. Dziwne — rzekła panna Peabody. — Znałam kiedyś kobietę, która miała wole i była z tego dumna! Nie uwierzyłby pan, ale to prawda! Chciałam powiedzieć, że to wyjątkowe szczęście, kiedy jest się zadowolonym z tego, co dał dobry Pan Bóg. Zazwyczaj jest odwrotnie. — Pokręciła głową i westchnęła.

— Nigdy nie sądziłam, że w tej dziurze zdarzy się morderstwo. — Znowu rzuciła Poirotowi przenikliwe spojrzenie. — Które z nich to zrobiło?

— Mam o tym krzyczeć tu, na ulicy?

— Znaczy, że pewnie pan nie wie. A może wie? No cóż, zła krew, zła krew. Chciałabym wiedzieć, czy ta Yarleyowa otruła męża, czy też nie. To duża różnica.

— Wierzy pani w dziedziczność?

— Wolalabym, żeby to był Tanios — wyrzuciła z siebie panna Peabody. — Zawsze to obcy! Ale, niestety, to tylko pobożne życzenia. No cóż, muszę iść. Widzę, że nic mi pan nie powie... A propos, w którym imieniu pan występuje?

— W imieniu zmarłej — odparł poważnie Poirot.

Z przykrością muszę donieść, że na te słowa panna Peabody wybuchnęła gwałtownym śmiechem. Szybko się jednak opanowała i wyjaśniła:

— Przepraszam. To było zupełnie w stylu Izabeli Tripp! Co za straszna kobieta! Choć wydaje mi się, że Julia jest jeszcze gorsza. Stara baba, a udaje dzierlatkę. Nigdy nie lubiłam kobiet, co to z tyłu liceum, z przodu muzeum. No cóż, do widzenia. Widział się pan z doktorem Graingerem?

— *Mademoiselle*, mam z panią na pieńku. Zdradziła pani moją tajemnicę.

Panna Peabody zachichotała.

— Mężczyźni są tacy łatwowierni! Połknął ten stek bzdur, który mu pan naopowiadał. Ależ był wściekły, kiedy powiedziałam mu prawdę! Kipiał ze złości. Szuka pana.

— Znalazł mnie wczoraj.

— Szkoda, że mnie tam nie było.

— Rzeczywiście szkoda, *mademoiselle* — zgodził się szarmancko Poirot.

Panna Peabody znowu wybuchnęła śmiechem. Już odchodząc, odwróciła się i rzuciła mi przez ramię:

— Do widzenia, młody człowieku. Niech pan nie kupuje tych krzeseł. To podróbka.

Odeszła, chichocząc pod nosem.

— Co za bystra staruszka — zauważył Poirot.

— Mimo że nie podziwiała twoich wąsów?

— Gust to jedno — odparł chłodno Poirot — a inteligencja to drugie.

Weszliśmy do sklepu i oddaliśmy się przyjemności oglądania eksponatów. Po dwudziestu minutach bez ubytku w kieszeni wyszliśmy na ulicę i podążyliśmy ku Littlegreen House.

Ellen, trochę bardziej czerwona na twarzy niż zazwyczaj, wpuściła nas i poprosiła do salonu. Wkrótce usłyszeliśmy, że ktoś schodzi po schodach i do pokoju weszła panna Lawson. Była nieco zadyszana i wzburzona. Włosy miała związane jedwabną chusteczką.

— Mam nadzieję, że wybaczy mi pan mój strój, panie Poirot, ale przeglądałyśmy zamknięte kredensy. Niewiarygodne, ile tam jest rzeczy, starsi ludzie lubią chomikować, a panna Arundell nie była tu wyjątkiem. Przy sprzątaniu strasznie kurzą się włosy... zdumiewające, co ludzie trzymają w szafie, nie uwierzy mi pan, dwa tuziny kartoników igieł. Słownie, dwa tuziny.

— Chce pani powiedzieć, że panna Arundell kupiła dwa tuziny kartoników igieł?

— Tak. Schowała je i kompletnie o nich zapomniała. Teraz, oczywiście, wszystkie igły zardzewiały, wielka szkoda. Dawała je pokojówkom pod choinkę.

— Była zapominalska?

— Bardzo. Nigdy nie pamiętała, gdzie coś położyła. Zupełnie jak pies z kością. Żartowałyśmy sobie z tego. Często mówiłam jej: „Niech pani tego nie zakopie, jak pies kości”.

Zaśmiała się, a potem nagle zaczęła pociągać nosem i wyjęła chusteczkę.

— Och jej — powiedziała płaczącym tonem — to straszne, śmiać się tutaj.

— Jest pani zbyt wrażliwa — zapewnił ją Poirot. — Za bardzo pani to odczuwa.

— To samo mówiła moja mama. „Za bardzo bierzesz sobie wszystko do serca, Minnie” — mawiała. Zbytńia wrażliwość jest wadą, panie Poirot. Szczególnie, kiedy trzeba na siebie zarobić.

— Owszem, ale to już należy do przeszłości. Teraz jest pani panią własnego losu. Może pani cieszyć się życiem, podróżować, nie ma pani już żadnych trosk ani kłopotów.

— Tak, chyba ma pan rację — przyznała powątpiewającym tonem panna Lawson.

— Ależ z pewnością mam rację. A propos tego, jaka pani Arundell była zapominalska. Już rozumiem, dlaczego jej list tak późno do mnie dotarł.

Poirot wyjaśnił okoliczności towarzyszące znalezieniu listu. Na twarz panny Lawson wstąpiły rumieńce.

— Ellen powinna była mi o tym powiedzieć! — zawołała ostro. — To impertynencja, wysłać panu list, nie mówiąc mi ani słowa. Powinna była mnie zapytać. Co za impertynencja! I ani słowa o całej sprawie! Haniebny postępek.

— Ależ, droga pani, jestem pewien, że miała dobre zamiary.

— Uważam, że było to co najmniej dziwne! A nawet bardzo dziwne! Służba wpada na najdziwsze pomysły. Ellen powinna pamiętać, że teraz ja jestem panią domu.

Podniosła głowę do góry z wielkim poczuciem godności własnej.

— Ellen była przywiązana do swojej pani, prawda? — spytał Poirot.

— Och, wiem, że nie ma sensu teraz robić z tego sprawy, ale mimo wszystko uważam, że należy Ellen powiedzieć, iż zanim cokolwiek zrobi, musi się wcześniej zapytać.

Po chwili milczenia Poirot powiedział:

— Chciała się pani dziś ze mną widzieć? Czym mogę służyć?

Gniew panny Lawson zgasł tak szybko, jak wybuchł. Znowu była, jak dawniej, niepozbita i chaotyczna.

— Widzi pan... zastanawiałam się... Prawdę mówiąc, panie Poirot, przyjechałam tu wczoraj i, naturalnie, Ellen powiedziała, że pan tu był, więc się zastanawiałam... no, po prostu nie wspomniał mi pan, że się pan tu wybiera, i to wydawało mi się bardzo dziwne... nie rozumiałam, po co...

— Po co tu przyjechałem? — podpowiedział Poirot.

— Właściwie... tak, o to chodzi.

Patrzyła na niego zmieszana, ale z pytaniem w oczach.

— Muszę zrobić pewne wyznanie — rzekł Poirot. — Pozwoliłem sobie nie sprostować pomyłki. Uznała pani za oczywiste, że list, który otrzymałem od panny Arundell, dotyczył małej kwoty, którą wedle wszelkiego prawdopodobieństwa przywłaszczył sobie pan Karol Arundell.

Panna Lawson kiwnęła głową.

— Ale, widzi pani, to nieprawda. W rzeczywistości od pani po raz pierwszy usłyszałem o brakującej sumie... Panna Arundell napisała do mnie w sprawie swojego wypadku.

— Wypadku? Jak to?

— Jak słyszałem, spadła ze schodów.

— No tak, owszem — przytaknęła zdumiona panna Lawson. — Ale... przepraszam, wiem, że jestem głupia... ale dlaczego napisała do pana? Z tego, co wiem... właściwie sam pan powiedział, że jest pan detektywem. Pan nie jest też... lekarzem, prawda? Ani uzdrowiaczem?

— Nie jestem ani lekarzem, ani uzdrowiaczem. Ale, tak jak lekarza, interesują mnie tak zwane śmiertelne wypadki.

— Śmiertelne wypadki!

— Tak zwane śmiertelne wypadki. To prawda, że panna Arundell nie straciła życia... ale mogła je stracić!

— Och, Boże, Boże, doktor też tak mówił, ale nie rozumiem...

Panna Lawson najwyraźniej nadal nic nie pojmowała.

— Podejrzewano, że przyczyną wypadku była piłka Boba, prawda?

— Tak, właśnie. To wszystko przez piłkę Boba.

— Niestety, to nie piłka była winna.

— Ależ... sama ją tam widziałam! Jak zbiegliśmy na dół!

— Może ją pani widziała. Ale to nie ona spowodowała upadek. Przyczyną, pani Lawson, była ciemna nitka przeciągnięta w poprzek schodów nad najwyższym stopniem!

— Ale... pies nie mógł...

— Otóż to — zgodził się Poirot. — Pies tego nie zrobił. Nie jest tak mądry... albo, jeśli pani woli,

nie jest tak zły... Tę nić rozciągnął człowiek...

Panna Lawson zrobiła się blada jak chusta.

— Och, panie Poirot — jęknęła, unosząc, drżącą dłoń do czoła — nie mogę uwierzyć... nie chce pan przecież powiedzieć, że... ale to straszne, po prostu straszne. Czyli to zrobiono celowo???

— Tak, celowo.

— To straszne! Prawie tak straszne, jak... jak zabicie kogoś.

— Gdyby się udało, to byłoby morderstwo! Panna Lawson cienko pisnęła.

— Do listwy przypodłogowej wbito gwóźdź — ciągnął Poirot poważnym tonem — do którego przyczepiono nitkę. Gwóźdź pomalowano, żeby nie rzucał się w oczy. Niech mi pani powie, czy nie przypomina sobie pani niewytłumaczalnego zapachu lakieru?

— Och, to niesłychane — zawołała panna Lawson. — Coś takiego! Oczywiście! I pomyśleć, że mi nigdy nie przyszło do głowy... nie podejrzewałam... ale, z drugiej strony, skąd miałam wiedzieć? Ale wtedy wydawało mi się to dziwne.

Poirot pochylił się ku rozmówczyni.

— Zatem pani może nam pomóc, *mademoiselle*. Znowu może nam pani pomóc. *C'est épatant!*\*

— Pomyśleć, że to było to! Wszystko pasuje!

— Błagam, niech mi pani powie. Czuła pani lakier, prawda?

— Tak. Naturalnie, nie wiedziałam, co to było. Pomyślałam, że pachnie farbą, ale potem doszłam do wniosku, że to bardziej przypomina bejcę, a potem, oczywiście pomyślałam, że musiałam to sobie wyobrazić.

— Kiedy to było?

— Zaraz... kiedy?

— Czy podczas świąt wielkanocnych, kiedy w domu było pełno gości?

— Tak, ale staram się przypomnieć dzień... Zaraz, nie niedziela, i nie wtorek — wtedy doktor Donaldson był na obiedzie. A w środę wszyscy wyjechali. Tak, oczywiście, to był wolny poniedziałek. Leżałam w łóżku i martwiłam się. Wolny poniedziałek zawsze sprawia tyle kłopotów. Na kolację ledwie starczyło wołowiny i bałam się, że pani Arundell może się złościć. Widzi pan, to ja zamawiałam pieczeń i powinnam była wziąć siedem funtów, ale myślałam, że pięć funtów zupełnie wystarczy, a panna Arundell nie lubiła, jak czegoś brakowało... była taka gościnna...

Panna Lawson wzięła głęboki wdech i ciągnęła dalej: — No więc nie spałam i zastanawiałam się,



czy wspomni o tym jutro, i jak już miałam zasnąć, coś mnie obudziło, jakby puknięcie czy stuk. Usiadłam na łóżku i pociągnęłam nosem. Zawsze boję się ognia, czasem dwa– trzy razy w nocy wydaje mi się, że czuję dym (niech pan pomyśli, jakie to okropne zostać odciętym przez ogień i nie móc wyjść). W każdym razie poczułam zapach, wahałam i wahałam, ale to nie był dym ani nic takiego. I wtedy powiedziałam sobie, to przypomina farbę albo bejcę, ale przecież to niemożliwe, żeby poczuć coś takiego w środku nocy. Zapach był dosyć silny, więc usiadłam i wahałam i wtedy zobaczyłam ją w lustrze...

— Ją? To znaczy kogo?

— Moje lustro okazuje się bardzo przydatne. Zawsze zostawiałam lekko uchylone drzwi, na wypadek gdyby mnie panna Arundell wołała, i żebym mogła ją zobaczyć, gdyby schodziła lub wchodziła po schodach. W korytarzu zawsze paliło się jedno światło. Dlatego zobaczyłam ją na schodach. Teresę. Klęczała chyba na trzecim stopniu, miała pochyloną głowę, i pomyślałam sobie: „To dziwne, czyżby była chora?”. Ale zaraz wstała i odeszła, więc pomyślałam, że się poślizgnęła. Albo pochyliła się, żeby coś podnieść. A potem nigdy więcej o tym nie myślałam.

— Mogło panią zbudzić wbijanie młotkiem gwoźdza — zastanawiał się Poirot.

— Tak, chyba tak. Ale, panie Poirot, jakie to okropne! Zawsze czułam, że Teresa jest nieco... rozwydrzona, ale żeby zrobić coś takiego!

— Jest pani pewna, że to Teresa?

— Tak, oczywiście.

— To nie mogła być pani Tanios ani żadna pokojówka?

— Nie, nie, to była Teresa.

Panna Lawson potrząsnęła głową i kilkakrotnie mruknęła pod nosem:

— O Boże! O Boże!

Nie rozumiałem, czemu Poirot patrzy na nią takim dziwnym wzrokiem.

— Proszę pozwolić mi przeprowadzić eksperyment — powiedział. — Chodźmy na górę i spróbujmy odtworzyć tę scenę.

— Odtworzyć? Po co? Nie bardzo...

— Pokażę pani — uciał jej wątpliwości Poirot. Nieco podekscytowana, panna Lawson poprowadziła nas na górę.

— Mam nadzieję, że pokój jest posprzątanym... tyle do roboty... co raz to coś nowego — usprawiedliwiała się beładnie.

Pokój był rzeczywiście zarzucony różnorodnymi przedmiotami, najwyraźniej wyciągniętymi ze sprzątanых kredensów. Panna Lawson wskazała łóżko, a Poirot sprawdził, że rzeczywiście w lustrze na ścianie odbijał się fragment korytarza i schodów.

— A teraz, *mademoiselle* — zasugerował — niech pani będzie tak dobra i przedstawi to, co pani widziała.

Panna Lawson, ciągle mruczając pod nosem „Mój Boże”, pospieszyła odegrać swą rolę. Poirot wcielił się w obserwatora.

Po eksperymencie Poirot wyszedł na korytarz i spytał, które światło zostawiano zapalone.

— To. Tuż za drzwiami panny Arundell.

Poirot odkręcił żarówkę i dokładnie ją obejrzał.

— Czterdzieści wat. Niezbyt silna.

— Chodzi tylko o to, żeby nie było zupełnie ciemno. Poirot podszedł do schodów.

— Niech mi pani wybaczy, *mademoiselle*, ale biorąc pod uwagę, że światło było tak słabe i że w tę stronę pada cień, jest bardzo mało prawdopodobne, że dobrze pani widziała. Czy jest pani pewna, że to była Teresa Arundell, a nie po prostu jakaś kobieta w szlafroku?

— Doprawdy, panie Poirot — oburzyła się panna Lawson — jestem najzupełniej pewna! Dobrze wiem, jak Teresa wygląda. To była ona. Wszystko się zgadza: ciemny szlafrok i ta duża błyszcząca broszka z inicjałami — dobrze to widziałam.

— Zatem nie ma wątpliwości. Zauważyła pani inicjały?

— Tak, T.A. Znam tę broszkę. Teresa często ją zakładała. Och, mogę przysiąc, że to była Teresa — i przysięgnę, jeśli będzie trzeba!

W jej głosie brzmiała niezwykła jak na nią pewność i zdecydowanie. Poirot spojrzał na nią — i znowu w jego wzroku było coś dziwnego. Patrzył na nią jak gdyby z wyższością, oceniająco... ale również z dziwną pewnością.

— Zatem pani jest gotowa przysiąc? — upewnił się.

— Jeśli... jeśli to będzie konieczne. Ale sądzę, że... czy będzie konieczne?

Poirot jeszcze raz zmierzył ją taksującym spojrzeniem.

— To będzie zależało od wyników ekshumacji — rzekł.

— Eks... ekshumacji?

Poirot złapał pannę Lawson za ramię. We wzburzeniu o mało nie runęła głową w dół po schodach.

— Całkiem możliwe, że będzie ekshumacja — rzekł.

— Ale przecież... to takie nieprzyjemne! Mam na myśli, że rodzina będzie się sprzeciwiać, i to mocno.

— Przypuszczalnie ma pani rację.

— Jestem pewna, że nie będą chcieli o tym słyszeć!

— Ale jeśli tak zdecyduje Ministerstwo Spraw Wewnętrznych...

— Ale dlaczego, panie Poirot? To znaczy, przecież nic...

— Co nic?

— Nic się nie stało.

— Tak pani myśli?

— Oczywiście. Jak to, przecież to niemożliwe! Przecież pielęgniarka i doktor, i w ogóle...

— Niech, się pani nie martwi — powiedział łagodnie, uspokajająco Poirot.

— Och, ale nie potrafię! Biedna panna Arundell! Żeby choć Teresa była w domu, kiedy ona umarła...

— Ale wyjechała w poniedziałek, zanim ciotka źle się poczuła, prawda?

— Wczesnie rano. Widzi pan, ona nie mogła mieć z tym nic wspólnego!

— Miejmy taką nadzieję — odparł Poirot.

— Och, Boże — panna Lawson załamała ręce. — To najgorsza rzecz, o jakiej słyszałam. Wszystko mi się w głowie miesza.

Poirot spojrział na zegarek.

— Musimy już iść. Wracamy do Londynu — rzekł. — . A pani, *mademoiselle*, zostanie tutaj jakiś czas?

— Nie... nie... Właściwie nie mam żadnych planów. Chciałam dzisiaj wrócić. Przyjechałam tylko załatwić pewne sprawy.

— Rozumiem. Zatem do zobaczenia, *mademoiselle*, i proszę mi wybaczyć, jeśli zasiałem w pani niepokój.

— Niepokój? Panie Poirot, jestem chora! O, Boże, jaki ten świat jest zły! Jaki potwornie zły!

Poirot uciał te lamenty, ściskając jej dłoń.

— Racja. A pani jest stale gotowa przysiąc, że w wolny poniedziałek po Wielkanocy widziała pani Teresę Arundell klęczącą na schodach?

— Tak, mogę przysiąc.

— I również może pani przysiąc, że widziała pani świetlisty obłok otaczający głowę panny Arundell w czasie seansu?

Panna Lawson otworzyła oczy ze zdumienia.

— Panie Poirot... niech pan z tego nie stroi sobie żartów.

— Nie żartuję. Pytam poważnie.

— To niezupełnie był obłok — odparła z godnością panna Lawson. — Raczej początek materializacji. Świetlista wstęga. Mam wrażenie, że zaczynała przybierać kształt jakiejś twarzy.

— Niezwykle interesujące. *Au revoir, mademoiselle*, i proszę o tym nikomu nie mówić.

— Oczywiście... oczywiście... Do głowy by mi nie przyszło...

Odjeżdżając, długo jeszcze widzieliśmy pannę Lawson, spoglądającą za nami ze zdziwioną miną.

# Rozdział dwudziesty trzeci

## Doktor Tanios składa wizytę

Ledwie wyszliśmy od panny Lawson, zachowanie Poirota uległo gwałtownej zmianie. Miał ponurą i zawziętą minę.

— *Dépêchons nous*\*, Hastings — rzekł. — Jak najszybciej musimy wrócić do Londynu.

— Chętnie — odparłem, przyspieszając tempa, żeby dotrzymać kroku Poirotowi. Rzuciłem spod oka spojrzenie na jego poważną twarz.

— Co podejrzewasz? — spytałem. — Chciałbym, żebyś mi to zdradził. Czy wierzysz, że na schodach była Teresa Arundell?

Zamiast odpowiedzieć, Poirot zapytał mnie:

— Czy nie odniosłeś wrażenia — zastanów się, zanim odpowiesz — że w relacji panny Lawson było coś nieprawdopodobnego?

— Co masz na myśli? Co było nieprawdopodobnego?

— Gdybym wiedział, tobym cię nie pytał.

— A dlaczego nieprawdopodobnego?

— Otóż to. Nie potrafię wskazać nic konkretnego. Ale kiedy z nią rozmawiałem, coś w jej wypowiedzi uderzyło mnie jako nierzeczywiste... jakby nie zgadzał się jakiś drobny szczegół... właśnie, o to chodzi, jakby coś było niemożliwe...

— Panna Lawson jest pewna, że widziała Teresę!

— Tak, tak.

— Ale przecież światło było bardzo słabe. Nie wiem, czy można mieć zupełną pewność.

— Nie, nie, Hastings. Wcale mi nie pomagasz. Chodziło o jakiś szczegół... już wiem, coś związanego z sypialnią.

— Z sypialnią? — powtórzyłem, próbując przywołać w pamięci wygląd pokoju. — No cóż, nie mogę ci pomóc.

Poirot zirytowany potrząsnął głową.

— Dlaczego znowu poruszyłeś temat spirytyzmu?

— Ponieważ jest ważny.

— Co jest ważne? Świetlista wstęga, jak określiła to panna Lawson?

— Pamiętasz, jak panny Tripp opisały ten seans?

— Wiem, że zobaczyły aureolę wokół głowy starszej pani — zaśmiałem się. — Ja bym tam nie powiedział, że była świętą. Panna Lawson bardzo się jej bała. Biedna kobieta, żal mi jej było, kiedy opowiadała, jak leżała bezsennie, zamartwiając się na śmierć, że kupiła za mało pieczeni.

— Tak, to było ciekawe.

— Po co jedziemy do Londynu? — spytałem, gdy wróciliśmy do zajazdu U George'a i Poirot poprosił o rachunek.

— Natychmiast musimy spotkać się z Teresą Arundell.

— I dowiedzieć się prawdy? Ale czy ona i tak wszystkiemu nie zaprzeczy?

— *Mon cher*, klękanie na schodach nie jest zbrodnią. Mogła przecież podnosić zgubioną szpilkę albo robić coś równie niewinnego!

— A skąd zapach farby?

Umilkliśmy, ponieważ przyszedł kelner z rachunkiem.

Wracając do Londynu, bardzo mało mówiliśmy. Nie lubię rozmawiać, gdy prowadzę, a Poirot był tak zajęty osłanianiem wąsów szalikiem, by ochronić je przed zgubnym działaniem wiatru i pyłu, że nie miał głowy do rozmów.

Do domu wróciliśmy za dwadzieścia druga.

Drzwi otworzył nam George, kamerdyner bez skazy, bardzo typowy Anglik.

— Czeka na pana jakiś pan Tanios, sir — oznajmił. — Siedzi tu od pół godziny.

— Doktor Tanios? Gdzie on jest?

— W salonie, sir. Szukała pana również jakaś dama. Bardzo się zmartwiła, że nie ma pana w domu. To było jeszcze, zanim pan zadzwonił, zatem nie mogłem jej powiedzieć, kiedy pan wróci do Londynu, sir.

— Jak wyglądała?

— Wzrostu około pięć stóp i siedem cali, ciemne włosy i jasnoniebieskie oczy. Ubrana w szarą

spódnicę i szary płaszcz. Kapelusza miała zsunięty na tył głowy, zamiast na prawe oko.

— Pani Tanios! — wykrzyknąłem stłumionym głosem.

— Wydawała się bardzo zdenerwowana, sir. Mówiła, że sprawa jest ogromnie ważna i że musi pana szybko znaleźć.

— O której to było godzinie?

— Około wpół do jedenastej.

Poirot potrząsnął głową i ruszył do salonu.

— Już drugi raz nie udało mi się dowiedzieć, co pani Tanios ma mi do powiedzenia. Co ty na to, Hastings? Może to zrzędzenie losu?

— Do trzech razy sztuka — pocieszyłem go. Poirot z powątpiewaniem potrząsnął głową.

— Ba, ale czy będzie ten trzeci raz? Chodź, dowiemy się, czego chce od nas jej mąż.

Doktor Tanios siedział w fotelu, czytając jedną z książek Poirota z dziedziny psychologii. Na nasz widok zerwał się na równe nogi i podszedł się przywitać.

— Proszę wybaczyć mi, że pana niepokoję. Mam nadzieję, że nie ma mi pan za złe, że uparłem się czekać na pana w domu.

— *Du tout, du tout*\*. Proszę, niech pan siądzie. Może napije się pan kieliszek sherry?

— Dziękuję. Przyznam się, że mam coś na swoje usprawiedliwienie, panie Poirot. Ogromnie martwię się o żonę.

— O żonę? Bardzo mi przykro. A co się stało?

— Może widział się pan z nią ostatnio?

Pytanie wydawało się całkiem naturalne, ale zadając je, doktor rzucił dziwne spojrzenie na Poirota.

— Nie widziałem jej od czasu wczorajszego spotkania w hotelu — odparł Poirot.

— Aha. Myślałem, że może przyszła tu spotkać się z panem.

Nalewając sherry do kieliszków, Poirot odpowiedział nieco roztargnionym tonem:

— Niestety. Czy jest jakiś powód, żeby chciała się ze mną spotkać?

— Ależ nie.

— Dziękuję. Bardzo dziękuję — powiedział doktor Tanios biorąc kieliszek. — Nie, nie ma powodu, ale... szczerze mówiąc, martwię się stanem jej zdrowia.

— Ach, jest słabowita?

— Jej ciało — rzekł doktor — jest zdrowe. Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego samego o jej umyśle. Boję się, panie Poirot, że żona znajduje się na krawędzi załamania nerwowego.

— To przykra wiadomość, doktorze.

— Od pewnego czasu to narastało. Przez ostatnie dwa miesiące jej stosunek do mnie całkowicie się zmienił. Stała się nerwowa, łatwo ją przestraszyć, i ma przedziwne zwidy... prawdę mówiąc, urojenia.

— Naprawdę?

— Owszem. Cierpi na to, co się popularnie zwie manią prześladowczą.

Poirot współczująco cmoknął.

— Zatem pan rozumie mój niepokój!

— Naturalnie, naturalnie. Ale niezupełnie pojmuję, dlaczego pan z tym przychodzi do mnie. W czym mogę pomóc?

Doktor Tanios wydawał się nieco skępowany.

— Pomyślałem sobie, że żona mogła — a może dopiero to robi — naopowiadać panu jakichś niesamowitych rzeczy. Mogła powiedzieć, że czuje się przeze mnie zagrożona albo coś w tym rodzaju.

— Ale dlaczego miałaby z tym przyjść do mnie? Doktor Tanios uśmiechnął się. Jego uśmiech był uroczy — serdeczny, a zarazem smutny.

— Jest pan słynnym detektywem, panie Poirot. Od razu się zorientowałem, że żona jest pod wrażeniem wczorajszego z panem spotkania. W jej obecnym stanie sam fakt spotkania detektywa musiał wyrzucić silne wrażenie. Wydaje się bardzo prawdopodobne, że postanowiła pana poszukać i... i zwierzyć się panu. W przypadkach chorób nerwowych to normalne. Chorzy najczęściej odwracają się od swoich najbliższych.

— To smutne.

— Ale prawdziwe. Bardzo kocham swoją żonę — w jego głosie zabrzmiała ogromna czułość. — Zawsze uważałem, że była dzielna, godząc się na poślubienie mnie, mężczyzny zupełnie innej rasy, i wyjazd do dalekiego kraju. Zostawiła wszystko, co było jej znane, swoich przyjaciół... W ostatnich dniach zacząłem mocno się martwić. Widzę tylko jedno wyjście...



— Co takiego?

— Całkowity spokój i odpoczynek oraz odpowiednie leczenie. Znam doskonały ośrodek, prowadzony przez wybitnego psychiatrę. Natychmiast chciałbym ją tam zabrać. Ośrodek mieści się w Norfolk. Wypoczynek i izolacja od wszelkich wpływów zewnętrznych — tego właśnie potrzebuje. Jestem przekonany, że miesiąc lub dwa fachowej opieki mogłyby przynieść ogromną poprawę.

— Rozumiem — odparł Poirot.

Wypowiedział te słowa rzeczowym tonem, nie zdradzającym jego uczuć.

Tanios znowu rzucił mu szybkie spojrzenie.

— Dlatego właśnie byłbym bardzo wdzięczny, gdyby dał mi pan znać, jeśli żona tu przyjdzie.

— Naturalnie, zadzwonię do pana. Nadal mieszka pan w hotelu Durham?

— Tak, zaraz tam wracam.

— A żony tam nie ma?

— Nie, wyszła od razu po śniadaniu.

— I nie powiedziała, gdzie idzie?

— Ani słowa. To zupełnie do niej niepodobne.

— A dzieci?

— Zabrała ze sobą. — Rozumiem. Tanios wstał.

— Dziękuję bardzo, panie Poirot. Nie muszę dodawać, żeby nie zwracał pan uwagi, jeśli zacznie opowiadać jakieś fantastyczne historie na temat zastraszania czy prześladowania. Taka jest, niestety, natura jej choroby.

— Ogromnie deprymujące — powiedział współczująco Poirot.

— Ma pan rację. Choć się wie, że takie właśnie są objawy tej choroby, to jednak nie sposób nie czuć się urażonym, kiedy ktoś tak bliski zwraca się przeciw tobie, a jego miłość zamienia się w niechęć.

— Ogromnie panu współczuję — rzekł Poirot, podając rękę gościowi.

— A propos — powiedział Poirot, gdy Tanios był już w drzwiach.

— Słucham?

— Czy przepisywał pan swojej żonie chloral? Tanios wyraźnie się wzdrygnął.

— Nie... chociaż nie jestem pewien. Ale nie ostatnio. Wydaje się, że nabrała niechęci do środków nasennych.

— Ach. Podejrzewam, pewnie dlatego, że panu nie wierzy?

— Panie Poirot! — zawołał Tanios ze złością i ruszył w kierunku detektywa.

— To mogłoby tłumaczyć się chorobą — wyjaśnił gładko Poirot.

— Tak, tak, naturalnie.

— Przypuszczam, że wszystko, co jej pan daje do jedzenia lub picia, traktuje z podejrzliwością. Pewnie boi się, że chce ją pan otruć?

— Drogi panie, ma pan rację. Zatem słyszał pan o takich wypadkach?

— Naturalnie, w moim zawodzie od czasu do czasu człowiek się z tym spotyka. Ale nie będę pana zatrzymywał. Może żona czeka na pana w hotelu.

— Prawda. Mam nadzieję, że tak będzie. Bardzo się niepokoję.

Szybkim krokiem opuścił pokój. Poirot podszedł do telefonu. Poszukał czegoś w książce telefonicznej i poprosił o połączenie z pewnym numerem.

— *Allô, allô*, czy to hotel Durham? Może mi pan powiedzieć, czy pani Tanios jest w hotelu? Słucham? TANIOS. Tak, właśnie tak. Ach, rozumiem.

Odłożył słuchawkę.

— Pani Tanios wyszła z hotelu wcześniej rano. Wróciła o jedenastej, nie wysiadając z taksówki poczekała, aż zostanie zniesiony jej bagaż, i odjechała.

— Czy Tanios wie, że zabrała bagaż?

— Myślę, że jeszcze nie.

— Gdzie pojechała?

— Trudno powiedzieć.

— Myślisz, że wróci?

— Możliwe, nie wiem.

— Może napisze?

— Może.

— Co my w związku z tym robimy? Poirot, zmartwiony, pokręcił głową.

— Teraz nic. Szybko zjemy obiad, a potem pójdziemy spotkać się z Teresą Arundell.

— Wierzysz, że osoba na schodach to była ona?

— Skąd mogę wiedzieć? Jednego jestem pewien. Panna Lawson nie mogła widzieć jej twarzy. Zobaczyła wysoką postać w ciemnym szlafroku, to wszystko.

— I broszkę.

— Mój drogi, broszka nie jest częścią ciała! Można ją odpiąć. Można ją zgubić, pożyczyć, a nawet ukraść.

— Innymi słowy, nie chcesz wierzyć w winę Teresy Arundell.

— Chcę posłuchać, co ma do powiedzenia w tej sprawie.

— A co, jeśli pani Tanios wróci?

— Załatwię to. George wniósł omlet.

— Słuchaj, George — rzekł Poirot. — Jeśli ta pani wróci, poproś, żeby poczekała. Jeżeli doktor Tanios przyjdzie, kiedy ona tu będzie, w żadnym wypadku go nie wpuszczaj. Kiedy zapyta o żonę, powiedz mu, że jej nie ma. Rozumiesz?

— Doskonale, sir.

Poirot zabrał się za omlet.

— Sprawa się komplikuje — zauważył. — Musimy postępować bardzo ostrożnie, bo inaczej morderca znów zaatakuje.

— Wtedy mógłbyś go złapać.

— Niewykluczone, ale wolę ocalić niewinnego, niż skazać winnego. Musimy być bardzo, ale to bardzo ostrożni.

# Rozdział dwudziesty czwarty

## Teresa zaprzecza

Gdy się zjawiliśmy, Teresa akurat zbierała się do wyjścia.

Wyglądała niezwykle atrakcyjnie. Malutki fantazyjny kapelusik zsunięty był zawadiacko na jedno oko. Z rozbawieniem zauważyłem, że Bella Tanios miała wczoraj jego tanią imitację, w dodatku — jak to zauważył George — zsuniętą na tył głowy, zamiast na bok nad oko. Przypomniałem sobie, że w trakcie rozmowy zsuwała kapelusz coraz dalej.

— Czy mógłbym zabrać pani dwie minutki, *mademoiselle*? — spytał uprzejmie.

Teresa zaśmiała się.

— Nie ma znaczenia. Zawsze spóźniam się co najmniej trzy kwadranse. Równie dobrze mogę spóźnić się godzinę.

Poprosiła nas do bawialni. Ku mojemu zdumieniu z fotela przy oknie podniósł się doktor Donaldson.

— Znasz pana Poirota, Rex, prawda?

— Spotkaliśmy się w Market Basing — odparł sztywno doktor Donaldson.

— Słyszałam, że udawał pan, że pisze życiorys mojego dziadka— pijaka — rzekła Teresa. — Rex, kochanie, zostaw nas samych.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Teresa patrzyła rozkazująco, ale Donaldson pozostawał niewzruszony. W końcu Teresa zdenerwowała się.

— W porządku, niech cię diabli. Możesz zostać.

Doktor Donaldson zachował niezmacony spokój.

Z powrotem usiadł na fotelu przy oknie, a na poręczy położył książkę. Zauważyłem, że to było coś na temat przysadki.

Teresa zajęła ulubiony stołek i z niecierpliwością spojrzała na Poirota.

— I co, widział się pan z Purvisem? Jak poszło?

— Są pewne... możliwości, *madame* — odparł wymijająco Poirot.

Teresa popatrzyła na niego z namysłem, a następnie zerknęła na doktora. Wydawało mi się, że miało być to dla Poirota ostrzeżeniem przed nadmierną otwartością.

— Ale relację wolałbym zdać, dopiero kiedy zdobędę więcej materiału.

Na twarzy Teresy pojawił się lekki uśmiech.

Poirot ciągnął:

— Byłem dziś w Market Basing i rozmawiałem z panną Lawson. Niech mi pani powie, *mademoiselle*, czy w nocy trzynastego kwietnia (to były święta Wielkanocy) klękała pani na schodach, po tym jak wszyscy poszli już spać?

— Mój drogi panie, co za dziwne pytanie. Po co miałabym to robić?

— Nie pytam, po co miałyby pani to robić, ale czy pani to robiła.

— Skąd mam wiedzieć? Wydaje mi się to mało prawdopodobne.

— Widzi pani, panna Lawson mówi, że pani klękała. Teresa wzruszyła ramionami.

— Czy to ma znaczenie?

— Ogromne.

Panna Arundell patrzyła na detektywa z niedowierzaniem. Poirot uprzejmie odwzajemniał spojrzenie.

— Wariactwo! — powiedziała.

— *Pardon?*

— Czyste wariactwo, nie sądzisz, Rex? Doktor Donaldson odkasznął.

— Przepraszam pana, panie Poirot, ale jaki jest cel tego pytania?

— To proste — odparł mój przyjaciel, rozkładając ręce.

— Ktoś u góry schodów wbił gwóźdź i pomalował go lakierem, aby nie odróżniał się od listwy przy podłodze.

— To jakieś nowe czary?

— Nie, *mademoiselle*, sprawa jest prostsza i mniej wyszukana. Następnego wieczoru, we wtorek, ktoś przeciągnął mocną nić od gwoźdźcia do balustrady, w wyniku czego panna Arundell zahaczyła o nią nogą i spadła ze schodów.

— Nadepnęła na piłkę Boba! — zaprotestowała Teresa.

— Pardon, to nieprawda.

Nastąpiła chwila ciszy. Przerwał ją doktor Donaldson.

— Przepraszam bardzo, a jakie ma pan dowody na poparcie tego stwierdzenia?

— Dowodem jest gwóźdź — odparł spokojnie Poirot — słowa własnoręcznie napisane przez pannę Arundell oraz to, co widziała panna Lawson.

Teresa odzyskała głos.

— Ona mówi, że to ja, prawda? Poirot lekko skinął głową.

— Co za kłamstwo! Nie miałam z tym nic wspólnego!

— Klęczała pani na schodach z całkiem innych powodów?

— Wcale nie klęczałam na schodach!

— Niech pani uważa, *mademoiselle*.

— Ale to prawda! Ani razu, przez cały czas, jak tam byłam, po udaniu się na spoczynek nie wychodziłam z pokoju.

— Panna Lawson poznała panią.

— Pewnie widziała Bellę Tanios lub którąś z pokojówek.

— Mówi, że to była pani.

— Co za kłamczucha!

— Poznała pani szlafrok i broszkę.

— Broszkę? Którą broszkę?

— Tę z pani inicjałami.

— Ach, tę! Ależ kłamie!

— Zatem pani zaprzecza, że to była pani?

— Jeśli to sprawa tylko mojego słowa przeciwko jej...

— To pani lepiej potrafi kłamać, co?

— Prawdopodobnie ma pan rację — odparła spokojnie. — Ale w tym wypadku mówię prawdę. Nie zastawiałam pułapki ani nie modliłam się, ani nie podnosiłam nic z podłogi — w ogóle nic nie

robiłam na schodach.

— Ma pani tę broszkę?

— Chyba tak. Chce ją pan zobaczyć?

— Bardzo proszę, *mademoiselle*.

Teresa wyszła z pokoju. Zapadła niezręczna cisza. Doktor Donaldson patrzył na Poirota tak, jak zapewne patrzył na ciekawy przypadek anatomiczny.

Wróciła Teresa.

— Proszę.

Niemal rzuciła broszkę Poirotowi na kolana. Broszka była duża, efektowna, wykonana z chromowanej lub nierdzewnej stali, w kształcie okręgu, w który wpisane były litery T.A. Musiałem przyznać, że była na tyle duża, że pani Lawson łatwo mogła zobaczyć ją w lustrze.

— Już jej nie noszę. Znudziła mi się — powiedziała Teresa. — W Londynie jest ich zatrzęsienie. Teraz każda kuchta ma taką samą.

— Ale kiedy ją pani kupowała, musiała dużo kosztować?

— Tak, na początku te broszki były oryginalne.

— Kiedy to było?

— W zeszłym roku, na Boże Narodzenie. Tak, chyba się nie mylę.

— Pożyczała ją pani komuś?

— Nie.

— Miała ją pani w Littlegreen House?

— Pewnie tak. Tak, na pewno, przypominałam sobie.

— Czy zdarzało się tak, żeby nie miała jej pani przy sobie? Może zostawiała ją pani w pokoju?

— Nie. Była przypięta do zielonego swetra, który co dzień zakładałam.

— A w nocy?

— Też była przy swetrze.

— A sweter?

— Sweter leżał na krześle.

— Jest pani pewna, że nikt nie zabrał broszki i nie oddał jej następnego dnia?

— Jeśli pan chce, możemy tak powiedzieć w sądzie — to znaczy, jeśli pan uważa, że to najlepsze kłamstwo, jakie możemy wymyślić. Ale jestem pewna, że nic takiego się nie zdarzyło. Pomysł, że ktoś chce mnie zrobić, jest ponętny... tyle że chyba nieprawdziwy.

Poirot zmarszczył brew. Wstał, przypiął broszkę do klapy marynarki i podszedł do toaletki w drugim końcu pokoju. Stał przed lustrem, a potem zaczął powoli się cofać, badając rezultat.

— Imbecyl ze mnie — jęknął nagle. — Oczywiście! Z ukłonem oddał broszkę Teresie.

— Ma pani całkowicie rację, *mademoiselle*. Broszka cały czas była w pani posiadaniu. Wykazałem się żalosną tępotą.

— Lubię skromnych ludzi — odparła Teresa, niedbale przypinając broszkę.

— Jeszcze coś? — spytała. — Powinnam już iść.

— Nic, co nie mogłoby poczekać.

Teresa podeszła do drzwi. Poirot dodał spokojnym głosem:

— Jest, naturalnie, sprawa ekshumacji.

Teresa zatrzymała się w pół kroku. Broszka upadła jej na ziemię.

— A cóż to za pomysł?

— Możliwe, że zostanie ekshumowane ciało panny Emilii Arundell — wyjaśnił Poirot.

Teresa stała nieruchomo zaciskając dłonie.

— Czy to pańska sprawka? — zapytała ze złością. — Nie można tego zrobić bez zgody rodziny!

— Nie ma pani racji, *mademoiselle*. Można to zrobić na wniosek Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

— Mój Boże! — zawołała.

Odwróciła się i zaczęła szybko chodzić po pokoju.

— Naprawdę nie ma powodu tak się przejmować, Tereso — rzekł spokojnie Donaldson. — Wprawdzie nawet dla kogoś z zewnątrz nie jest to miła perspektywa, ale...

— Nie bądź głupcem, Rex — przerwała mu.



— Czy myśl o ekshumacji niepokoi panią, *mademoiselle*?

— Oczywiście, że tak! To nieprzyzwoite. Biedna ciotka Emilia. Po cóż ta ekshumacja?

— Sądzę — wtrącił Donaldson — że wynikły wątpliwości w sprawie przyczyny śmierci. — Spojrzał pytająco na Poirota. — Przyznam, że jestem zdumiony. Myślę, że nie ma wątpliwości, że panna Arundell zmarła po długiej chorobie śmiercią naturalną.

— Kiedyś mówiłeś mi coś o królikach i chorobie wątroby — rzekła Teresa. — Już zapomniałam, ale to było jakoś tak, że wstrzykuje się królikowi krew człowieka z żółtym zanikiem wątroby, potem wstrzykuje się krew tego królika drugiemu królikowi, a potem krew tego drugiego królika człowiekowi i ten człowiek zaczyna chorować na wątrobę.

— To był tylko przykład seroterapii — wyjaśnił cierpliwie Donaldson.

— Szkoda, że potrzeba aż tylu królików — powiedziała beztrosko Teresa. — Nikt z nas nie hoduje królików.

Naraz zwróciła się do detektywa i zapytała zmienionym głosem:

— Panie Poirot, czy to prawda?

— Owszem, to prawda... choć jest sposób, aby tego uniknąć, *mademoiselle*.

— Musimy tego uniknąć! — szepnęła. — Za wszelką cenę!

Poirot wstał.

— Takie jest pani polecenie? — spytał oficjalnym tonem.

— Tak, takie jest moje polecenie.

— Ale, Tereso — wtrącił Donaldson.

Teresa odwróciła się do narzeczonego i krzyknęła:

— Bądź cicho! To w końcu była moja ciotka, nie twoja! Dlaczego miałabym się zgodzić na ekshumację mojej własnej ciotki? Nie wiesz, że zaraz pojawią się wzmianki w prasie, plotki i inne nieprzyjemności?

Znowu odwróciła się do Poirota.

— Musi pan temu zapobiec! Daję panu wolną rękę. Niech pan robi, co pan chce, byle tylko do tego nie dopuścić!

Poirot skłonił się oficjalnie.

— Zrobię, co się da. *Au revoir, mademoiselle, au revoir*, doktorze.

— Och, niech pan już idzie! — zawołała. — I weźmie ze sobą tego świętego Leonarda\*. Żałuję, że was w ogóle spotkałam.

Wyszliśmy z pokoju. Tym razem Poirot nie przytknął ucha do dziurki od klucza, ale wyraźnie zwlekał.

I nie na próżno. Usłyszeliśmy wysoki, czysty głos Teresy.

— Nie patrz tak na mnie, Rex — powiedziała tonem, w którym kryło się wyzwanie. Nagle głos się jej załamał. — Kochanie!...

Teraz odezwał się opanowany Donaldson.

— Ten człowiek chce ci zaszkodzić.

Poirot uśmiechnął się szeroko. Pociągnął mnie za rękaw i wyszliśmy na klatkę schodową.

— Chodź, święty Leonardzie, *C'est drôle, ça!*\* Mnie żart wydał się wyjątkowo głupi.

# Rozdział dwudziesty piąty

## Leżę i myślę

Nie, pomyślałem sobie, podążając za Poirotem, co do tego nie ma wątpliwości. Panna Arundell została zamordowana i Teresa dobrze o tym wie. Ale czy ona sama tego dokonała, czy też jest jakieś inne wytłumaczenie?

Bała się — to prawda. Lecz o kogo? O siebie czy kogoś innego? Czy tym kimś mógł być spokojny, pedantyczny, powściągliwy młody człowiek?

Czy starsza pani zmarła na sztucznie wywołaną chorobę?

Do tego miejsca wszystko pasowało: ambicje Donaldsona, jego nadzieje, że po śmierci ciotki Teresa odziedziczy pieniądze. Nawet fakt, że w dniu wypadku był w Littlegreen House na obiedzie. Jakże łatwo byłoby zostawić otwarte okno i wrócić głęboką nocą, aby przeciągnąć morderczą nitkę! Ale przecież nie mógł wbić gwoźdźca.

Tak, to musiała zrobić Teresa, jego narzeczona i współniczka. Gdyby ze sobą współpracowali, rzecz byłaby prosta. W takim wypadku przypuszczalnie Teresa zajęłaby się też nitką. Pierwsza zbrodnia, która się nie udała, była jej dziełem. Druga, udana — dziełem Donaldsona.

Tak, wszystko pasowało.

Choć pewnym faktom brakowało wytłumaczenia. Dlaczego Teresa wypaplała informacje o sposobach wywoływania choroby wątroby u ludzi? Wyglądało na to, że nie zdaje sobie sprawy... Ale jeśli tak... Czuję się coraz bardziej zagubiony. Przerwałem snucie spekulacji i spytałem Poirota:

— Gdzie idziemy?

— Wracamy do mnie. Może czeka na nas pani Tanios.

Te słowa skierowały moje myśli na zupełnie inne tory.

Pani Tanios! Następna zagadka! Jeśli winni byli Donaldson i Teresa, to co w tym wszystkim robią pani Tanios i jej uśmiechnięty mąż? Co ona mogła chcieć powiedzieć Poirotowi i dlaczego jej mąż tak bardzo nie chciał do tego dopuścić?

— Poirot — powiedziałem .pokornie. — Jestem kompletnie skołowany. Chyba nie tkwią w tym wszyscy razem?

— Syndykat zbrodni? Rodzinny? Nie, nie tym razem. W tym wypadku wyraźnie widać piętno tylko

jednego umysłu. Bardzo jasna psychologia.

— To znaczy, że zrobiła to albo Teresa, albo Donaldson, ale nie obydwójce? Czy to on wbił gwóźdź pod jakimś zupełnie niewinnym pretekstem?

— Mój drogi, w chwili, gdy usłyszałem opowieść panny Lawson, zdałem sobie sprawę, że są trzy możliwości. Pierwsza, że panna Lawson mówi prawdę, druga, że wymyśliła tę historię z jakichś własnych powodów, trzecia, że panna Lawson wierzy w to, co mówi, ale identyfikacja opiera się wyłącznie na broszce, a jak już zaznaczyłem, broszka nie jest częścią osoby — łatwo ją zdjąć.

— Tak, lecz Teresa upiera się, że cały czas ją miała.

— Ma rację. Pomiąłem mały, ale istotny fakt.

— To niepodobne do ciebie, Poirot — powiedziałem poważnym tonem.

— *N'est ce pas?* Przecież każdy popełnia błędy.

— To sprawa wieku!

— Wiek nie ma z tym nic wspólnego — odparł chłodno Poirot.

— No, co to za ważny fakt? — spytałem, gdy wchodziliśmy na klatkę schodową.

— Pokażę ci.

George otworzył nam drzwi. Na pytanie Poirota pokręcił głową.

— Nie, sir. Nie było pani Tanios. Ani nie dzwoniła. Poirot wszedł do salonu. Przez chwilę chodził tam i z powrotem po pokoju. W końcu zbliżył się do telefonu. Najpierw zadzwonił do hotelu Durham.

— Tak, proszę. A, pan Tanios? Mówi Herkules Poirot. Czy żona wróciła? Ach, nie. Coś takiego, zabrała bagaż... i dzieci... Nie wie pan, dokąd poszła?... Zgadzam się z panem... naturalnie... Czy mogę zaofiarować panu moje umiejętności zawodowe? Mam doświadczenie w takich sprawach... Można to załatwić dyskretnie... Nie, naturalnie, że nie... Tak, to prawda... Oczywiście, oczywiście. Będę respektował pańskie życzenia.

Odłożył słuchawkę.

— Nie wie, gdzie jest — powiedział z namysłem. — Myślę, że mówi prawdę. W jego głosie, brzmiała autentyczna troska. Nie chce iść na policję, to rozumiem. Tak, to rozumiem. Nie chce również mojej pomocy. To już nie jest całkiem zrozumiałe. Chce, żeby się znalazła, ale nie chce, żebym to ja ją znalazł. Zdecydowanie, nie chce, żebym to był ja... Wydaje mu się, że sam potrafi załatwić tę sprawę. Uważa, że nie uda jej się pozostać długo w ukryciu, bo ma przy sobie bardzo mało pieniędzy. NO i dzieci. Tak, myślę, że wkrótce ją znajdzie. Ale, Hastings, wydaje mi się, że my będziemy troszeczkę szybsi. To ważne, żebyśmy byli szybsi.

— Myślisz, że ona naprawdę jest trochę szurnięta? — spytałem.

— Myślę, że jest w stanie ogromnego napięcia nerwowego.

— Ale nie na tyle, żeby zamykać ją w domu dla umysłowo chorych?

— Na pewno nie.

— Wiesz, Poirot, niezupełnie to rozumiem.

— Wybacz moje słowa, Hastings, ale nic z tego nie rozumiesz.

— Jest tyle... spraw pobocznych.

— Naturalnie. Pierwszym zadaniem systematycznego umysłu jest oddzielić sprawy poboczne od głównych.

— Powiedz, Poirot, czy cały czas zdawałeś sobie sprawę, że jest ośmiu możliwych podejrzanych, nie siedmiu?

— Wziąłem ten fakt pod uwagę od chwili, w której Teresa Arundell wspomniała, że ostatni raz widziała doktora Donaldsona podczas obiadu w Littlegreen House czternastego kwietnia — odparł oziębło. ,

— Nie rozumiem... — urwałem.

— Czego nie rozumiesz?

— Jeśli Donaldson chciał pozbyć się panny Arundell metodą naukową, to znaczy poprzez szczepienie, nie rozumiem, dlaczego uciekł się do tak prymitywnej metody jak nić w poprzek schodów.

— *En verite*, Hastings, czasami tracę do ciebie cierpliwość! Jedna z tych metod jest naukowa i wymaga specjalistycznej wiedzy, prawda?

— Tak.

— A ta druga jest zwykła, najprostsza, każdy by potrafił to zrobić. Mam rację?

— Naturalnie.

— To pomyśl, Hastings, Pomyśl. Rozsiądź się wygodnie w fotelu, zamknij oczy i rusz głową.

Posłuchałem Poirota.

To znaczy rozsiadłem się wygodnie, zamknąłem oczy i usiłowałem wypełnić trzecią część polecenia Poirota. Niestety, bez rezultatu.

Gdy otworzyłem oczy, zauważyłem, że Poirot przygląda mi się z uwagą, jak niania swemu podopiecznemu.

— *Eh bien?*

Uczyniłem desperacką próbę naśladowania Poirota.

— Wydaje mi się, że osoba, która zastawiła pułapkę, nie potrafiłaby zaplanować morderstwa naukowego.

— Właśnie.

— I wątpię, czy umysł ścisły, wprawny w rozwiązywaniu problemów naukowych, pomyślałby o czymś tak dziecinnie prostym, jak nic — poza tym tu zbyt dużą rolę odgrywa przypadek.

— Bardzo logiczne rozumowanie. Ośmielony, ciągnąłem:

— Dlatego jedynym rozsądnym rozwiązaniem jest to, że za każdym razem kto inny planował morderstwo.

— Nie sądzisz, że to zbyt duży zbieg okoliczności?

— Sam mówiłeś, że w niemal każdej sprawie znajdzie się jeden zbieg okoliczności.

— To prawda. Przyznaję.

— No właśnie.

— A kogo widzisz w roli zbrodniarzy?

— Donaldsona i Teresę Arundell. Udana zbrodnia jest autorstwa doktora. A jeśli chodzi o nieudany zamach, wiemy, że wmieszana jest Teresa Arundell. Możliwe, że działali niezależnie od siebie.

— Tak lubisz powtarzać „wiemy”. Mogę cię jednak zapewnić, że niezależnie od tego, co ty wiesz, ja nic o tym nie wiem, żeby Teresa Arundell była w nią wplątana.

— A historia panny Lawson?

— Historia panny Lawson to tylko historia panny Lawson. Nic więcej.

— Ale mówiła...

— Mówiła, mówiła... Zawsze jesteś gotów traktować to, co ludzie mówią, jakby to był dowiedziony fakt. Słuchaj, *mon cher*, powiedziałem ci kiedyś, że z historią panny Lawson jest coś nie tak?

— Pamiętam. Ale nie potrafiłeś określić, co takiego.

— Teraz już wiem. Za małą chwilę pokażę ci coś, na co ja, imbecyl, powinienem był od razu zwrócić uwagę.

Podszedł do biurka i z szuflady wyciągnął arkusik brystolu i nożyczki. Zabronił mi podglądać i zaczął coś wycinać.

— Cierpliwości, Hastings, za moment przystąpimy do doświadczenia.

Posłusznie odwróciłem oczy.

Po chwili Poirot wydał okrzyk zadowolenia. Schował nożyczki, wyrzucił ścinki kartonu do kosza i podszedł do mnie.

— Nie patrz, jak będę ci przypinał coś do płaszcza. Nie protestowałem. Skończywszy, Poirot pociągnął mnie przed lustro w sypialni.

— Teraz, Hastings, przyjrzyj się sobie w lustrze. Masz modną broszkę ze swoimi inicjałami, tylko, *bien entendu*, nie jest ona ani z chromowanej stali, ani ze złota, ani ze srebra, lecz ze zwyczajnej tektury!

Spojrzałem w lustro i uśmiechnąłem się. Poirot ma niebywale zręczne palce. Wyciął broszkę bardzo dokładnie przypominającą tę należącą do Teresy Arundell: moje inicjały, AH, w kółku.

— *Eh bien* — rzekł. — Jesteś zadowolony? Masz elegancką broszkę ze swoimi inicjałami.

— Bardzo ładna — przyznałem.

— Prawda, że nie błyszczy w świetle, ale sam przyznasz, że można by ją zobaczyć z daleka.

— Nie wątpię w to.

— Właśnie. Rzadko ogarniają cię wątpliwości. Najbardziej typowa dla ciebie jest łatwowierność. A teraz, Hastings, bądź tak dobry i zdejmij płaszcz.

Dziwiąc się nieco, spełniłem prośbę. Poirot również zdjął płaszcz i, odwracając się do mnie tyłem, włożył mój.

— A teraz powiedz, czy dobrze jest mi w twojej broszce, z twoimi inicjałami?

Odwrócił się przodem. Przez chwilę patrzyłem, nic nie pojmując. Nagle zrozumiałem.

— Jakież ze mnie głupiec! Oczywiście, na broszce jest HA, nie AH!

Poirot promieniał.

— Naturalnie. Teraz rozumiesz, co w historii panny Lawson uderzyło mnie jako nieprawdopodobne. Powiedziała, że na broszce dobrze widziała inicjały Teresy. Ale widziała ją w lustrze! Zatem, jeśli w ogóle widziała inicjały, to odwrócone!

— Może zdała sobie sprawę, że są odwrócone?

— *Mon cher*, czy ty sam nie zdałeś sobie z tego sprawy dopiero teraz? Czy nie wykrzyknąłeś: Ha, Poirot, pomyliłeś się, to jest HA, nie AH? A przecież jesteś o wiele bardziej inteligentny niż panna Lawson. Nie przekonasz mnie, że kobieta, która tak mętnie myśli, obudzona gwałtownie w środku nocy i jeszcze niezbyt przytomna, zda sobie sprawę, że AT oznacza naprawdę TA. Nie, to zupełnie nie pasuje do panny Lawson.

— Była przekonana, że to Teresa — odparłem powoli.

— To już lepiej. Pamiętasz, przyjacielu, wspomniałem jej, że nie mogła widzieć twarzy osoby na schodach — a co ona na to? Mówi o broszce Teresy, nie zdając sobie sprawy z tego, że fakt, iż widziała ją w lustrze, zadaje kłam temu, co chciała dowieść.

Rozległ się ostry dzwonek telefonu. Poirot podniósł słuchawkę.

Powiedział kilka obojętnych słów.

— Tak, tak... z pewnością. Tak, pasuje. Chyba po południu. Doskonale, o drugiej.

Rozłączył się i odwrócił do mnie z uśmiechem.

— Doktor Donaldson bardzo chce się ze mną spotkać. Przyjdzie jutro o drugiej. Posuwamy się naprzód, *mon ami*!



# Rozdział dwudziesty szósty

## Pani Tanios nie chce mówić

Kiedy następnego dnia rano, po śniadaniu, przyszedłem do Poirota, zastałem go pogrążonego w pisaniu.

Podniósł dłoń na przywitanie, po czym wrócił do swojego zajęcia. Po chwili zebrał kartki, włożył je do koperty i dokładnie ją zakleił.

— Co robisz, staruszkule? — zażartowałem. — Pisziesz sprawozdanie ze śledztwa, które zamkniesz w sejfie, na wypadek, gdyby ktoś cię sprzątnął z tego świata?

— Nie mylisz się tak bardzo, jak myślisz, Hastings — odparł poważnie.

— Czy przewidujesz, że nasz morderca naprawdę stanie się niebezpieczny?

— Morderca zawsze jest niebezpieczny. Zdumiewające, jak często się o tym zapomina.

— Coś nowego?

— Dzwonił doktor Tanios.

— Nadal ani śladu żony?

— Niestety.

— Zatem w porządku.

— Nie jestem pewien.

— Do licha, Poirot, chyba nie myślisz, że ktoś ją zakatrupił?

Poirot pokręcił głową.

— Przyznam jednak, że wolałbym wiedzieć, gdzie jest.

— Znajdzie się.

— Zawsze podziwiam twój beztroski optymizm.

— Na Boga, Poirot, nie sądzisz chyba, że znajdą ją pociętą na kawałki w paczkach albo w jakimś kufrze?

— Uważam, że niepokój doktora jest nieco przesadny, nic więcej. Najpierw powinniśmy porozmawiać z panną Lawson.

— Chcesz jej uświadomić błąd z broszką?

— Z pewnością nie. Wolę to trzymać w zanadrzu, aż nadejdzie odpowiedni moment.

— Co chcesz jej powiedzieć?

— *Mon ami*, dowiesz się we właściwej chwili.

— Pewnie nowe kłamstwa?

— Czasami zachowujesz się obraźliwie. Można by pomyśleć, że znajduję przyjemność w wygłaszaniu kłamstw.

— Niekiedy odnoszę wrażenie, że tak właśnie jest. Jestem tego nawet pewien.

— To prawda, że czasami gratuluję sobie pomysłowości — przyznał naiwnie Poirot.

Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Poirot spojrział na mnie z wyrzutem.

Gdy dotarliśmy do Clanroyden Mansions, zostaliśmy wprowadzeni do tej samej zatłoczonej bawialni co poprzednio. Po chwili wpadła panna Lawson, jeszcze bardziej nieprzytomna niż zwykle.

— Och jej, dzień dobry, panie Poirot. Takie zamieszanie... przepraszam za bałagan. Ale od samego rana wszystko stoi na głowie. Jak tylko przyszła Bella...

— Co pani mówi? Bella?

— Tak, Bella Tanios. Zjawiała się pół godziny temu, razem z dziećmi. Biedaczka, jest kompletnie wyczerpana. Nie wiem, co zrobić. Widzi pan, uciekła od męża.

— Uciekła od niego?

— Tak mówi. Oczywiście nie wątpię, że miała powód.

— Zwierzyła się pani?

— No... niezupełnie. Prawdę mówiąc, nic nie chce wyjaśnić. Cały czas tylko powtarza, że go zostawiła i że nic jej nie zmusi do powrotu.

— To poważny krok.

— Pewnie! Prawdę mówiąc, gdyby był Anglikiem, radziłabym jej... no, ale nie jest Anglikiem... Bella wygląda bardzo dziwnie, biedactwo, jakby była... wystraszona. Co on mógł jej zrobić? Słyszałam, że Turcy są czasami bardzo okrutni.

— Doktor Tanios jest Grekiem.

— Tak, oczywiście, jest odwrotnie, to znaczy to ich zazwyczaj zabijają Turcy. A może Ormianie? Wszystko jedno, nie chce nawet o tym myśleć. Sądzę, że nie musi wracać do niego, zgadza się pan ze mną? Ona mówi, że nie wróci... Nawet nie chce, żeby wiedział, gdzie jest.

— Aż tak źle?

— Widzi pan, chodzi o dzieci. Boi się, że on zabierze je do Smyrny. Biedna kobieta, jest w strasznym położeniu. Nie ma pieniędzy, żadnych. Nie wie, gdzie ma iść i do kogo się zwrócić. Chciałaby zarabiać na utrzymanie, ale to nie jest takie proste. Dobrze o tym wiem. Ona nie ma żadnego zawodu.

— Kiedy opuściła męża?

— Wczoraj. Noc spędziła w hoteliku koło dworca Pacllington. Przyszła do mnie, bo nie ma nikogo innego.

— A pani zamierza jej pomóc? To bardzo szlachetne.

— Widzi pan, uważam to za swój obowiązek. Choć, oczywiście, to nie takie proste. Mieszkanie jest zbyt małe, nie ma miejsca... i w ogóle.

— Mogłaby pani umieścić ją w Littlegreen House.

— Pewnie tak, ale mąż mógłby ją tam znaleźć. Na razie wynajęłam dla niej pokoje w hotelu Wellington na Queens Road. Zameldowała się tam jako pani Peters.

— Ach tak — rzekł Poirot.

Przez chwilę milczał, po czym powiedział:

— Chciałbym zobaczyć się z panią Tanios. Widzi pani, wczoraj przyszła do mnie, ale mnie nie było.

— Och, naprawdę? Nie mówiła mi o tym. Zapytam ją, dobrze?

— Gdyby pani była taka dobra.

Panna Lawson wybiegła z pokoju. Po chwili dobiegł nas jej głos.

— Bello, Bello droga, wyjdiesz zobaczyć się z panem Poirotem?

Nie słyszeliśmy odpowiedzi Belli, ale wkrótce weszła do bawialni.

Jej wygląd mnie zaszokował. Oczy podkrążone, policzki blade, ale znacznie bardziej uderzyło mnie jej zachowanie. Była przerażona, z byle powodu podskakiwała do góry i cały czas

nasłuchiwała.

Poirot powitał ją najtroskliwiej, jak potrafił. Uścisnął podaną sobie ręką, podsunął pani Tanios krzesło i podał jej poduszkę. Błądą, przestraszoną kobietę traktował z rewerencją należną królowej.

— A teraz, *madame*, porozmawiajmy. Słyszałem, że wczoraj mnie pani szukała.

Kiwnęła głową.

— Bardzo żałuję, że nie było mnie w domu.

— Tak... Ja też żałuję, że pana nie było.

— Pani przysła, żeby mi coś powiedzieć?

— Owszem. Chciałam...

— *Eh bien*, jestem do usług.

Pani Tanios nie odpowiedziała. Siedziała nieruchomo, kręcąc pierścionkiem na palcu.

— I cóż, *madame*?

Powoli, prawie niechętnie, pokręciła głową.

— Nie — odparła. — Nie ośmielę się.

— Pani się nie ośmieli?

— Nie. Gdyby... gdyby on się dowiedział... och... zrobiłby mi coś strasznego!

— Ależ *madame*, to absurd.

— Nie, to nie absurd, wcale nie absurd. Pan go nie zna...

— Mówiąc „go”, ma pani na myśli swojego męża, *madame*?

— Naturalnie.

Poirot milczał, a potem rzekł:

— Wczoraj pani mąż przyszedł do mnie.

Na jej twarzy pojawił się wyraz przerażenia.

— Och nie! Pan mu nie powiedział... nie, oczywiście, że nie! Nie mógł pan. Nie wiedział pan, gdzie mieszkam. Czy on mówił... że jestem umysłowo chora?

— Twierdził, że jest pani na krawędzi załamania nerwowego.

Pokręciła głową, nie dając się oszukać.

— Nie, powiedział, że jestem umyślowo chora albo że zapadam na chorobę umysłową. Chce mnie zamknąć, żebym nigdy nie mogła nikomu wyjawić...

— Wyjawić... czego?

Potrząsnęła głową. Nerwowo wyłamując palce, mruknęła:

— Boję się...

— Ale, *madame*, kiedy tylko pani mi powie, będzie pani bezpieczna. Nie będzie już tajemnicy. Ten fakt automatycznie zapewni pani bezpieczeństwo.

Kobieta nic nie odparła. Cały czas nerwowo przekręcała obrączkę na palcu.

— Musi pani to zrozumieć — łagodnie perswadował Poirot.

— Skąd mam wiedzieć... Och, jakie to straszne: On potrafi być taki przekonujący! I jest lekarzem! Ludzie będą jemu wierzyli, a nie mnie. Wiem, że tak będzie. Sarna bym tak zrobiła.

— Nie chce pani dać mi tej możliwości? Rzuciła mu zmartwione spojrzenie.

— Skąd wiem, że pan nie jest po jego stronie?

— Nie jestem po niczyjej stronie, *madame*. Zawsze stoję po stronie prawdy.

— Nie wiem — westchnęła bezradnie pani Tanios. — Nic nie wiem.

Zaczęła mówić coraz więcej i szybciej, słowa wpadały na siebie.

— To było straszne, ciągnęło się przez całe lata. Co i raz widziałam, co się dzieje. I nie mogłam nic z tym zrobić ani nikomu powiedzieć. Przecież były dzieci. To był koszmar. A teraz to... Ale ja do niego nie wrócę. Nie pozwolę mu zabrać dzieci! Pojadę gdzieś, gdzie mnie nie znajdzie. Minnie Lawson mi pomoże. Jest taka cudowna, po prostu cudowna. Nikt nie mógłby być lepszy. — Rzuciła okiem na Poirota i spytała: — Co on o mnie mówił? Czy wspominał, że mam urojenia?

— Mówił, *madame*, że zmienił się pani stosunek do niego.

Skinęła głową.

— I powiedział, że mam urojenia. Powiedział tak, prawda?

— Tak, *madame*, przyznaję, że ma pani rację.

— Sam pan widzi. Tak to będzie wyglądało. A ja nie mam dowodu.

Poirot odchylił się w fotelu. Kiedy znów się odezwał, mówił rzeczowo, bez emocji, jakby rozmawiał o czymś obojętnym.

— Czy podejrzewa pani swojego męża o usunięcie z tego świata panny Emilii Arundell?

— Nie podejrzewam, ja wiem — odparła natychmiast.

— Zatem, *madame*, pani obowiązkiem jest o tym powiedzieć.

— Ach, ale to nie takie proste.

— Jak ją zabił?

— Nie wiem, ale wiem, że ją zabił.

— Nie wie pani, jakim sposobem?

— Nie. Ale to ma coś wspólnego z tym, co robił wtedy w tę ostatnią niedzielę.

— Wtedy kiedy pojechał ją odwiedzić?

— Tak.

— Ale pani nie wie, jak to zrobił?

— Nie.

— To dlaczego — niech mi pani wybaczy pytanie, *madame* — jest pani taka pewna?

— Ponieważ — zawahała się — jestem pewna.

— Pardon, *madame*, ale czegoś pani nie chce zdradzić. Pani mi czegoś nie powiedziała.

— Tak.

— Słucham. Co to jest?

Bella Tanios zerwała się na równe nogi.

— Nie, nie! Nie mogę tego zrobić. Dzieci! To jest ich ojciec! Nie mogę, po prostu nie mogę...

— Ależ *madame*...

— Nie, powtarzam!!!

Prawie to wykrzyczała. Otworzyły się drzwi i weszła Minnie Lawson, z głową lekko przechyloną na jedną stronę i z wyrazem przyjemnego podniecenia na twarzy.

— Mogę wejść? Już skończyliście rozmawiać? Bello, moja droga, czy nie chcesz filiżanki herbaty albo zupy, a może trochę brandy?

Pani Tanios pokręciła głową.

— Nic mi nie jest. — Uśmiechnęła się słabo. — Muszę wracać do dzieci. Zostawiłam je, żeby się rozpakowały.

— Kochane aniołki — westchnęła panna Lawson.

— Tak lubię dzieci.

Pani Tanios odwróciła się nagle do niej.

— Nie wiem, co bym bez pani zrobiła — powiedziała.

— Pani była taka dobra!

— No, no, niech pani nie płacze. Wszystko dobrze się skończy. Powinna pani spotkać się z moim prawnikiem, to miły mężczyzna, taki sympatyczny, poradzi pani, co zrobić w sprawie rozwodu. Teraz łatwo się rozwieść, prawda? Wszyscy tak mówią. Och, dzwonek. Ciekawe, kto przyszedł.

Wybiegła z pokoju. Usłyszeliśmy szmer głosów w korytarzu. Wróciła panna Lawson. Weszła na palcach i cicho zamknęła za sobą drzwi.

— Och, Bello — szeptała podniecona, przesadnie artykułując dźwięki — to pani mąż. Nie wiem...

Pani Tanios dała susa w kierunku drzwi w drugim końcu pokoju. Panna Lawson energicznie kiwnęła głową.

— Tak, kochanie, niech pani tam idzie, a potem, jak go tu wprowadzę, może pani się wymknąć.

— Niech pani nie mówi, że tu byłam — szepnęła pani Tanios.

— Naturalnie, nic nie powiem.

Bella zniknęła za drzwiami. Poirot i ja podążyliśmy za nią. Znaleźliśmy się w małym pokoju stołowym.

Poirot podszedł do drzwi na korytarz, uchylił je odrobinę i zaczął nasłuchiwać. Kiwnął palcem.

— Droga wolna. Panna Lawson zabrała go do innego pokoju.

Wyszliśmy cichutko na korytarz, a potem na klatkę schodową. Poirot bezszelestnie zamknął za sobą drzwi.

Pani Tanios puściła się pędem po chodach, potykając się i chwytając poręczy. Poirot podtrzymał

ją.

— Spokojnie, tylko spokojnie. Udało się.

Dotarliśmy do wyjścia.

— Niech panowie mnie odprowadzą — poprosiła żałośnie pani Tanios. Wyglądała, jakby lada chwila miała j zemdleć. ;

— Naturalnie — odparł Poirot uspokajająco. Przeszliśmy na drugą stronę ulicy, skręciliśmy za róg: i znaleźliśmy się na Queens' Road. Wellington był małym, niepozornym hotelikiem, bardziej przypominającym pensjonat.

W pokoju pani Tanios opadła na sofę. Rękę położyła na sercu.

— O mały włos uniknęliśmy nieszczęścia! Teraz, *madame*, musi pani uważnie mnie posłuchać.

— Nic panu nie powiem, panie Poirot. Nie powinnam. Pan wie, co ja wiem... w co wierzę. Musi to panu wystarczyć.

— Prosiłem, żeby mnie pani posłuchała. Przypuśćmy — zaznaczam, że to tylko przypuszczenie — że znam prawdę. Przypuśćmy, że już zgadłem to, o czym pani mogłaby mi powiedzieć. To zmieniłoby sytuację, nieprawdaż?

Spojrzała na niego powątpiewająco.

— Niech mi pani wierzy, nie chcę pani zmusić do zdradzenia tego, czego pani nie chce zdradzić. Ale gdybym miał rację, to całkowicie zmieniłoby sytuację, prawda?

— Chyba... chyba tak.

— Doskonale. Niech mi pani pozwoli powiedzieć, że ja, Herkules Poirot, znam prawdę. Nie chcę, by uwierzyła mi pani na słowo. Proszę — rzucił jej na kolana grubą kopertę, którą widziałem już z samego rana. — W środku są fakty. Kiedy pani to przeczyta i jeśli będą zgodne z prawdą, proszę do mnie zadzwonić. Na papierze listowym jest mój numer.

Przyjęła kopertę niemal z niechęcią.

— A teraz jeszcze jedna sprawa — ciągnął żywo Poirot. — Natychmiast musi pani opuścić ten hotel.

— Dlaczego?

— Pojedzie pani do hotelu Coniston koło stacji Euston. Proszę nikomu o tym nie mówić.

— Ale przecież... przecież Minnie Lawson nie powie mężowi, że tu jestem.



— Tak pani myśli?

— Oczywiście. Ona jest całym sercem po mojej stronie.

— Ale pani mąż, *madame*, jest bardzo sprytny. Bez trudu wysonduje starszą kobietę. Jest ogromnie ważne, powtarzam, ogromnie ważne, aby mąż nie wiedział, gdzie się pani znajduje.

Przytaknęła bez słów.

Poirot podał jej kartkę papieru.

— Oto adres. Proszę się spakować i pojechać tam z dziećmi najszybciej, jak to możliwe. Rozumie pani?

Kiwnęła głową.

— Rozumiem.

— Musi pani myśleć o dzieciach, *madame*, nie o sobie. Przecież pani kocha dzieci.

Poirot poruszył właściwą strunę.

Policzki Belli Tanios lekko się zaróżowiły, podniosła głowę. Nie wyglądała już jak przestraszone popychadło, ale jak dumna, niemal ładna kobieta.

— Zatem załatwione — rzekł Poirot. Pożegnaliśmy się i wyszliśmy. Ale nie poszliśmy

daleko. Z okien pobliskiej kawiarenki, popijając kawę, obserwowaliśmy drzwi hotelu. Po jakichś pięciu minutach zobaczyliśmy na ulicy Taniosa. Nawet nie spojrzał na hotel Wellington. Minął go z opuszczoną głową i zniknął w wejściu na stację metra.

Dziesięć minut później ujrzelśmy, jak pani Tanios z dziećmi i bagażem wsiada do taksówki i odjeżdża.

— *Bien* — rzeki Poirot, podnosząc się z miejsca. — Zrobiliśmy, co do nas należało. Reszta w rękach bogów.

# Rozdział dwudziesty siódmy

## Wizyta doktora Donaldsona

Donaldson przyszedł punktualnie o godzinie drugiej. Był jak zwykle spokojny i opanowany.

Druga wizyta sprawiła, że zaintrygowała mnie jego osobowość. Najpierw uważałem go za nijakiego młodego człowieka. Zastanawiałem się, co energiczna, atrakcyjna kobieta jak Teresa mogła w nim widzieć. Teraz zacząłem zdawać sobie sprawę, że Donaldson bynajmniej nie był kimś, kogo się nie zauważa. Jego pedantyzm skrywał silną naturę.

Po wstępnej wymianie grzeczności Donaldson rzekł:

— Przyczyna mojej wizyty jest następująca: absolutnie nie rozumiem pańskiej roli w tej sprawie.

— Sądzę, że zna pan mój zawód? — spytał ostrożnie Poirot.

— Naturalnie. Zadałem sobie trud zebrania o panu informacji.

— Jest pan ostrożnym człowiekiem, doktorze.

— Lubię wiedzieć, na czym stoję — odparł oschle Donaldson.

— Ma pan umysł naukowca.

— Wszystkie informacje na pana temat pokrywają się. Bez wątpienia jest pan bardzo dobry w swojej dziedzinie. Cieszy się pan również opinią człowieka sumiennego i uczciwego.

— Pan mi pochlebia — mruknął Poirot.

— Dlatego nie potrafię wyjaśnić pana związku z tą sprawą.

— To bardzo proste!

— Wszystko tylko nie to. Najpierw zjawia się pan w roli pisarza biografii.

— Wybaczalne oszustwo, czyż nie? Trudno prowadzić śledztwo, ogłaszając wszem wobec, że jest się detektywem. Choć czasem i to się przydaje.

— Tak sądzą. — Głos doktora Donaldsona znowu zabrzmiał oschle. — Następnie składa pan wizytę Teresie Arundell i podsuwa jej myśl, że być może uda się obalić testament jej ciotki.

Poirot skinął głową.

— Śmiechu warte. Doskonale pan wie, że testament jest ważny i nic się nie da zrobić.

— Tak pan myśli?

— Nie jestem głupcem, panie Poirot.

— Nie, panie Donaldson, z pewnością nie jest pan głupcem.

— Wiem co nieco na temat prawa. Niewiele, ale zawsze. Tego testamentu w żaden sposób nie da się podważyć. Dlaczego pan udawał, że jest inaczej? Miał pan z pewnością swoje powody... być może powody, które panie Arundell nie przyszły do głowy.

— Wydaje się pan bardzo pewien jej reakcji. Na twarzy doktora pojawił się słaby uśmiech. Nieoczekiwanie powiedział:

— Wiem o Teresie o wiele więcej, niż ona myśli. Nie mam wątpliwości, że razem z Karolem zaangażowali pana do jakiegoś nieczystego przedsięwzięcia. Karol jest niemal całkowicie pozbawiony zmysłu moralnego. Teresa jest obciążona dziedzicznie i otrzymała złe wychowanie.

— Tak pan mówi o swojej narzeczonej? Jakby była zwierzęciem doświadczalnym?

Donaldson uważnie spojrzał na Poirota przez pince-nez.

— Nie widzę powodu przymykać oczu na prawdę, Kocham Teresę Arundell taką, jaka jest, a nie za to, co sobie o niej wyobrażam.

— Czy pan wie, że Teresa Arundell jest bardzo do pana przywiązana i że pragnie zdobyć pieniądze głównie w tym celu, aby pan mógł zaspokoić swoje ambicje?

— Oczywiście, że wiem. Już panu mówiłem, że nie jestem głupcem. Nie mam jednak zamiaru pozwolić, by Teresa ze względu na mnie wplątała się w jakieś nieczyste sprawy. Ona często zachowuje się jak dziecko. Potrafię własnymi siłami zrobić karierę. Nie powiem, że duży spadek by się nie przydał. Przyjąłbym go z radością. Wiele by ułatwił, ale i bez niego osiągnę to, co zamierzam.

— Jest pan pewien swoich zdolności?

— Może to zabrzmie zarozumiale, ale jestem pewien.

— Idźmy dalej. Przyznaję, że podstępem zdobyłem zaufanie panny Teresy Arundell. Pozwoliłem jej myśleć, że za odpowiednie wynagrodzenie mógłbym uciec się do metod... powiedzmy, nie zanadto uczciwych. Uwierzyła w to bez kłopotów.

— Teresie wydaje się, że dla pieniędzy każdy zrobi wszystko — potwierdził doktor rzeczowym tonem, jak gdyby stwierdzał oczywistość.

— To prawda. Sądzę, że to odnosi się również do jej brata.

— Przypuszczalnie nie ma rzeczy, której Karol nie zrobiłby dla pieniędzy.

— Widzę, że nie ma pan złudzeń co do swojego przyszłego szwagra.

— Nie mam. Uważam, że jest ciekawym przypadkiem. Podejrzewam głęboko zakorzenioną neurozę... ale nie rozmawiajmy na tematy— zawodowe. Wracając do naszej dyskusji. Zastanawiałem się, dlaczego postąpił pan w ten

sposób, i znalazłem tylko jedną odpowiedź. Jest dla mnie jasne, że podejrzewa pan albo Teresę, albo Karola o to, że maczali palce w śmierci panny Arundell. Nie, proszę nie zaprzeczać! Napomknięcie o ekshumacji było, jak sądzę, tylko trickiem, pozwalającym panu zbadać reakcję na tę informację. Czy podjął pan jakieś kroki, by zdobyć nakaz ekshumacji z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych?

— Będę z panem szczery. Jeszcze nie. Donaldson kiwnął głową.

— Tak myślałem. Sądzę, że wziął pan pod uwagę fakt, że panna Arundell mogła umrzeć śmiercią naturalną?

— Owszem, wziąłem to pod uwagę.

— Ale w duszy jest pan przekonany o swojej racji?

— Jak najbardziej. Jeśli napotyka pan na przypadek gruźlicy, który wygląda jak gruźlica, daje reakcje jak przy gruźlicy i w którym badania krwi dają wynik potwierdzający gruźlicę — wówczas przyjmuje pan, że to jest gruźlica, prawda?

— Tak pan to widzi? Zatem na co pan czeka?

— Na ostateczny dowód.

Zadzwonił telefon. Na znak Poirota podniosłem słuchawkę. Rozpoznałem głos.

— Kapitan Hastings? Tu pani Tanios. Może pan powiedzieć panu Poirotowi, że ma zupełną rację. Jeśli przyjdzie do mnie jutro rano o dziesiątej, to otrzyma to, o co prosi.

— Jutro o dziesiątej?

— Tak.

— Dobrze, powtórzę.

Poirot spojrzał pytająco. Skinąłem głową.

Detektyw zwrócił się do Donaldsona. Nagle zmienił się jego sposób zachowania — stał się pewien siebie, energiczny.

— Powiem panu jasno. Zdiagnozowałem tę sprawę jako morderstwo. Wyglądało jak morderstwo, wywoływało reakcje jak przy morderstwie — krótko mówiąc, to było morderstwo. Nie ma najmniejszej wątpliwości.

— Gdzie zatem kryje się wątpliwość? Bo odnoszę wrażenie, że jednak jest jakaś wątpliwość.

— Nie wiedziałem, kto jest mordercą. Ale już nie mam wątpliwości.

— Naprawdę? Pan już wie?

— Powiedzmy, że jutro będę miał w rękach ostateczny dowód.

Doktor Donaldson ironicznie uniósł brwi.

— Ach, jutro — powiedział. — Czasami jutro jest bardzo odległe.

— Wręcz przeciwnie — odparł Poirot. — Według mnie regularność, z jaką jutro zmienia się w dziś, jest ogromnie monotonna.

— Boję się, że przeze mnie zmarnował pan czas, panie Poirot.

— Ależ nie. Dobrze się stało, że się zrozumieliśmy. Doktor Donaldson lekko się uklonił i wyszedł z pokoju.

# Rozdział dwudziesty ósmy

## Następna ofiara

— To inteligentny człowiek — powiedział Poirot z namysłem.

— Trudno zgadnąć, do czego zmierza.

— Tak, jest trochę nieludzki. Ale bardzo bystry obserwator.

— Ten telefon był od pani Tanios.

— Domyśliłem się.

Powtórzyłem wiadomość. Poirot kiwnął głową.

— Dobrze. Świetnie idzie. Za dwadzieścia cztery godziny, Hastings, będziemy wiedzieli, na czym stoimy.

— Jestem trochę skołowany. Kogo właściwie podejrzewamy?

— Doprawdy, nie wiem, kogo ty podejrzewasz, Hastings! Pewnie każdego po kolei.

— Czasem odnoszę wrażenie, że lubisz doprowadzać mnie do takiego stanu.

— Och nie, przecież nie zabawiałbym się w taki sposób.

— Nie byłbym tego pewien.

Poirot potrząsnął głową. Wydawał się nieco roztargniony. Patrzyłem na niego w skupieniu.

— Coś się stało? — spytałem.

— Mój przyjacielu, zawsze się denerwuję, kiedy sprawa zbliża się do końca. Jeśli coś nie wyjdzie...

— Czy to prawdopodobne?

— Nie sądzę. — Urwał, a po chwili dodał, marszcząc brwi: — Wydaje mi się, że zabezpieczyłem się na każdą ewentualność.

— To zapomnijmy o zbrodni i chodźmy do teatru.

— *Ma foi*, Hastings, to doskonały pomysł! Spędziliśmy bardzo miły wieczór, choć popełniłem

błąd, zabierając Poirota na sztukę o oszustach. Chciałbym wszystkim czytelnikom udzielić jednej rady: nigdy nie należy zabierać żołnierza na sztukę o wojnie, żeglarza na sztukę o morzu, Szkota na sztukę o Szkotach, detektywa na sztukę kryminalną, a aktora najlepiej nie zabierać w ogóle na żadną sztukę! W każdym wypadku lawina zabójczej krytyki jest nieco przerażająca. Poirot nieustannie narzekał na niewłaściwą psychologię, a brak porządku i metody u detektywa, będącego głównym bohaterem, doprowadzał go do szaleństwa. Rozstając się ze mną, Poirot ciągle wyjaśniał, jak cała sprawa mogłaby być rozwiązana już w pierwszej połowie pierwszego aktu.

— Ale w takim wypadku nie byłoby sztuki! — wytknąłem mu.

Poirot musiał przyznać mi rację.

Następnego dnia rano już parę minut po dziewiątej wchodziłem do salonu Poirota. Poirot jadł przy stole śniadanie, jak zwykle otwierając listy.

Zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę.

— Czy to pan Poirot? — spytał zadyszany damski głos. — Ach, to pan, kapitanie Hastings. — Kobieta chlipnęła.

— Czy to pani, pani Lawson?

— Tak! Zdarzyła się rzecz straszna!

— Co takiego?

— Ona, to znaczy Bella, wyprowadziła się z hotelu Wellington. Poszłam tam wczoraj po południu i powiedziano mi, że wyjechała. Nie mówiąc mi ani słowa! Niesłychane! Zaczynam się zastanawiać, czy właściwie doktor Tanios nie miał racji. Tak miło o niej mówił i był tak zmartwiony, a teraz wygląda na to, że miał rację.

— Ale co się stało, pani Lawson? Czy chodzi tylko o to, że pani Tanios wyprowadziła się z hotelu, nie informując pani o tym?

— Och nie! Gdyby tak było, to jeszcze nic by się nie stało. Choć pomyślałam, że to co najmniej dziwne. Doktor Tanios obawia się, że ona nie jest całkiem... że jest nie całkiem... pan wie, o co mi chodzi. On to nazwał manią prześladowczą.

— Rozumiem — (do diabła z tą kobietą) — ale co się stało?

— O, to takie straszne. Umarła we śnie. Przedawkowała jakiś środek nasenny. Biedne dzieci! To takie smutne! Odkąd się dowiedziałam, cały czas płaczę.

— Skąd pani wie? Jak to się stało?

Kątem oka zauważyłem, że Poirot przestał otwierać listy i słucha mojej rozmowy z panną Lawson. Nie miałem ochoty ustępować mu miejsca. Obawiałem się, że panna Lawson zaczęłaby swoje

lamenty od początku.

— Zadzwonili do mnie z hotelu Coniston. Zdaje się, że znaleźli moje nazwisko i adres w jej torebce. Och, drogi panie Poirot, to znaczy kapitanie Hastings, czy to nie straszne? Te biedne dzieci zostały bez matki.

— Jest pani pewna, że to wypadek? Nie mówili nic o samobójstwie?

— Co za okropny pomysł, kapitanie Hastings! O Boże, nie jestem pewna. Myśli pan, że to możliwe? To byłoby straszne. Oczywiście, wydawała się załamana, ale nie miała powodu. Chciałam powiedzieć, że nie robiłabym żadnych kłopotów, jeśli chodzi o pieniądze.

Chciałam się z nią podzielić, naprawdę. Droga panna Arundell na pewno by sobie tego życzyła. Myśl, że mogłaby się zabić, jest przerażająca... ale może tego nie zrobiła... ci ludzie z hotelu mówili, że to był przypadek.

— Co zażyła?

— Coś nasennego. Veronal. Nie, chloral. Tak, to był chloral. Och, drogi kapitanie, co pan myśli...

Bezceremonialnie odłożyłem słuchawkę i odwróciłem się do Poirota.

— Pani Tanios... Podniósł dłoń.

— Wiem, co masz zamiar powiedzieć. Nie żyje, prawda?

— Tak. Przedawkowała środek nasenny. Chloral. Poirot wstał.

— Chodź, Hastings, musimy się tam bezzwłocznie udać.

— Czy tego właśnie się obawiałeś wczoraj wieczór? Kiedy powiedziałeś, że zawsze denerwujesz się przed zakończeniem sprawy?

— Tak, bałem się, że umrze jeszcze jedna osoba.

Twarz Poirota była skupiona i poważna. Kiedy jechaliśmy na miejsce, prawie nic nie mówił. Kilka razy pokręcił głową.

— Nie uważasz... — spytałem nieśmiało — że to może być wypadek?

— Nie, Hastings, to nie był wypadek.

— Jak, na Boga, dowiedział się, gdzie ona jest? Poirot tylko potrząsnął głową.

Coniston był nieładnym hotelem w pobliżu dworca Euston. Poirot, okazawszy bilet wizytowy, niemal sterroryzował obsługę, aby dostać się do gabinetu dyrektora.



Fakty były proste.

Pani Peters, pod takim nazwiskiem się zameldowała, z dwójką dzieci zjawiała się koło wpół do pierwszej. O pierwszej zjedli obiad.

Około czwartej przyszedł jakiś mężczyzna z listem dla pani Peters. List posłano jej do pokoju. Po kilku minutach zeszła z dziećmi i walizką. Dzieci poszły z mężczyzną. Pani Peters wyjaśniła w recepcji, że będzie potrzebowała tylko jeden pokój.

Nie wydawała się specjalnie przygnębiona, przeciwnie — sprawiała wrażenie spokojnej i opanowanej. O wpół do ósmej zjadła obiad i wkrótce potem wróciła do pokoju.

Rano pokojówka znalazła ją nieżywą.

Doktor, którego wezwano, stwierdził, że nie żyje od kilku godzin. Na stoliku nocnym znaleziono pustą szklankę. Narzucił się wniosek, że przypadkowo przedawkowała środek nasenny. Doktor powiedział, że chloral jest dosyć niebezpiecznym środkiem. Nic nie wskazywało na samobójstwo. Nie znaleziono żadnego listu. Przy przeszukiwaniu jej rzeczy w celu zawiadomienia rodziny natrafiono na nazwisko i adres panny Lawson, z którą skontaktowano się telefonicznie.

Poirot spytał, czy znaleziono jakieś listy czy dokumenty. Na przykład list przyniesiony przez mężczyznę, który przyszedł po dzieci. Okazało się, że nie, ale w kominku był zwęglony papier.

Poirot z namysłem kiwnął głową.

O ile wiadomo, nikt nie odwiedzał pani Peters — z wyjątkiem mężczyzny, który zabrał dzieci.

Sam zapytałem portiera o jego wygląd, ale ten nie potrafił powiedzieć nic konkretnego. Mężczyzna średniego wzrostu, jasnowłosey, wysportowany, nie rzucający się w oczy. Nie, był pewien, że nie miał brody.

— To nie Tanios — mruknąłem do Poirota.

— Mój drogi Hastings! Naprawdę wierzysz, że zadawszy sobie tyle kłopotów, aby odseparować dzieci od ojca, pani Tanios zgodziłaby się potulnie oddać je bez najmniejszego protestu? Nie, niemożliwe!

— Kim zatem był ten mężczyzna?

— Z pewnością ktoś, komu pani Tanios ufała, a raczej jakiś pośrednik, przysłany przez kogoś, komu pani Tanios ufała.

— Mężczyzna średniego wzrostu — zastanawiałem się.

— Nie zwracaj sobie głowy jego wyglądem, Hastings. Jestem pewien, że mężczyzna, który zabrał dzieci, jest nieistotny. A jego zleceniodawca wolał ukryć się w cieniu.

— I list pochodził właśnie od niego?

— Tak.

— Ktoś, komu ufała pani Tanios?

— Najwyraźniej.

— A teraz list został spalony?

— Kazano jej go spalić.

— A co z opisem sprawy, który jej dałeś? Poirot, z ponurą miną, odparł:

— Też został spalony. Ale to nie ma znaczenia.

— Jak to?

— Nie ma — bo wszystko jest w głowie Herkulesa Poirota.

Wziął mnie pod ramię.

— Chodźmy stąd, Hastings. Nie interesują nas sprawy umarłych, lecz żywych. To właśnie nimi musimy się zająć.

# Rozdział dwudziesty dziewiąty

## Dochodzenie w Littlegreen House

Była jedenasta rano następnego dnia.

W Littlegreen House zebrało się siedem osób.

Herkules Poirot stał przy kominku. Teresa siedziała na sofie, a Karol na poręczy, z dłonią na ramieniu siostry. Doktor Tanios spoczywał w głębokim fotelu. Miał zaczerwienione powieki, a na rękawie nosił czarną opaskę.

Na krześle przy okrągłym stole usiadła właścicielka domu, panna Lawson. Ona również miała zaczerwienione powieki, a włosy w jeszcze większym nieładzie niż zazwyczaj. Doktor Donaldson z kamienną miną zajął miejsce na wprost Poirota.

Przyglądając się każdej twarzy po kolei, poczułem przyływ zainteresowania.

Przez lata znajomości z Poirotem uczestniczyłem w niejednej podobnej scenie. Małe grono ludzi, na zewnątrz wszyscy opanowani, na twarzach maski dobrego wychowania. I wtem Poirot zrywa maskę z jednej twarzy i ukazuje się prawdziwe oblicze zabójcy!

Nie ma wątpliwości. Jedna z tych osób jest mordercą. Ale kto? Cały czas nie miałem pewności.

Poirot chrząknął — nieco pompatycznie, jak zwykle — i zaczął mówić.

— Zebraliśmy się tutaj, panie i panowie, aby zbadać sprawę śmierci Emilii Arundell, która nastąpiła pierwszego maja. Istnieją cztery możliwości: że była to śmierć z przyczyn naturalnych, śmierć w wypadku, samobójstwo i morderstwo z ręki osoby lub osób nieznanymi.

Nie przeprowadzono dochodzenia, ponieważ przyjęto, że zmarła z przyczyn naturalnych, i tak podał doktor Grainger na świadectwie zgonu.

W wypadku, kiedy wątpliwości co do przyczyny zgonu wyłaniają się dopiero po pochówku, następuje ekshumacja. Z pewnych racji opowiadałem się przeciw temu rozwiązaniu. Główna z nich to ta, że moja klientka na pewno by sobie tego nie życzyła.

— Pańska klientka? — przerwał doktor Donaldson. Poirot odwrócił się do niego.

— Moją klientką jest panna Emilia Arundell. Zająłem się tą sprawą na skutek jej życzenia.. Ona gorąco pragnęła uniknąć skandalu.

Pominę następne dziesięć minut, by uniknąć niepotrzebnych powtórzeń. Poirot opowiedział o

otrzymanym liście, wyjął go i głośno odczytał. Następnie wspomniął kroki, które podjął po przybyciu do Market Basing i o odkryciu sposobu, w jaki spowodowano wypadek.

Tu urwał, znowu chrząknął, i kontynuował:

— Teraz chciałbym pokazać państwu, jak dotarłem do prawdy. Pragnę przedstawić wierną, jak mi się wydaje, rekonstrukcję wydarzeń.

Na początek koniecznie musimy uświadomić sobie, co działo się w głowie panny Arundell. Sądzę, że to dość proste. Spadła ze schodów, a winą za upadek obarczono psią piłkę. Panna Arundell wiedziała jednak, że niesłusznie. Leżąc w łóżku, przypomina sobie okoliczności upadku i dochodzi do wniosku, że ktoś specjalnie nastawał na jej zdrowie, a być może — życie.

Sprecyzowawszy ten wniosek, zaczyna zastanawiać się, kto to mógł być. W domu było siedem osób: czworo gości, jej towarzyszka i dwie służące. Z tych osób tylko jedną może całkowicie wykluczyć, gdyż nie odniosłaby żadnej korzyści z jej śmierci. Nie bardzo podejrzewa służące, gdyż obie są u niej od lat i zna ich przywiązanie. Zostają zatem cztery osoby, trzy z rodziny i jedna spowinowacona przez małżeństwo. Każda z tych czterech osób odniosłaby, pośrednio lub bezpośrednio, korzyści z jej śmierci.

Panna Arundell znalazła się w trudnym położeniu, ponieważ ma silne poczucie więzi rodzinnych. Ponadto nie lubi, jak to się mówi, publicznie prać brudów. Z drugiej strony nie ma ochoty darować próby morderstwa.

Podejmuje decyzję i pisze do mnie list. Ale to nie wszystko. Robi drugi krok, który, jak mi się zdaje, został podyktowany przez dwa motywy. Pierwszy to niechęć do całej rodziny. Podejrzewała wszystkich po kolei i postanowiła im się nie dać. Drugi, ważniejszy motyw, to pragnienie ocalenia życia. Z tą myślą napisała do pana Purvisa, swego prawnika, i poprosiła go o zmianę testamentu na korzyść tej jedynej osoby w domu, która jej zdaniem nie mogła mieć nic wspólnego z wypadkiem.

Na podstawie tego, co napisała w liście do mnie, jak i jej późniejszych działań, mogę stwierdzić, że od niejasnych podejrzeń skierowanych przeciwko czterem osobom panna Arundell przeszła do konkretnych podejrzeń wobec jednej osoby. W jej liście do mnie zaznacza konieczność trzymania sprawy w tajemnicy, gdyż wchodzi w grę honor rodziny.

Panna Arundell, wychowana według wiktoriańskich zasad, mogła mieć na myśli tylko jedno: że wszystko wskazuje na osobę noszącą to samo nazwisko, przypuszczalnie męzczyznę.

Gdyby podejrzewała — pana Taniosa, z pewnością z równą skwapliwością zadbałaby o swe bezpieczeństwo, ale znacznie mniej martwiłaby się o honor rodziny. Gdyby chodziło o Teresę Arundell, honor rodziny wchodziłby w grę, ale w znacznie mniejszym stopniu niż w wypadku Karola.

Karol był jednym z Arundellów. Dziedzicem nazwiska! Przyczyny jej podejrzeń są oczywiste. Już kiedyś omal nie okrył nazwiska niesławą. Wiedziała, że jest nie tylko potencjalnym, ale również faktycznym przestępcą. Sfałszował jej nazwisko na czeku. Po fałszerstwie posuwa się o krok dalej — do morderstwa!

Co więcej, dwa dni przed wypadkiem miała z nim dwuznaczną rozmowę. Poprosił ją o pieniądze, ona odmówiła, a wówczas on rzucił lekko, że jak będzie dalej tak postępować, to ktoś ją kiedyś sprzątnie. Na to odparła, że potrafi zadbać o siebie. Bratanek odpowiedział: „Nie bądź taka pewna”. A dwa dni później zdarza się ten wypadek.

Trudno się dziwić, że leżąc w łóżku i rozmyślając nad tym wydarzeniem doszła do wniosku, że to z pewnością Karol Arundell nastawał na jej życie.

Kolejność wypadków jest zupełnie jasna. Rozmowa z Karolem. Wypadek. List do mnie, napisany w wielkiej rozterce. List do prawnika. We wtorek, dwudziestego pierwszego, pan Purvis przynosi testament i panna Arundell podpisuje go.

Karol i Teresa Arundellowie przyjeżdżają na następny weekend i ich ciotka natychmiast stara się zapewnić sobie bezpieczeństwo. Mówi Karolowi o zmianie testamentu. Nie tylko mówi, ale nawet pokazuje go! Według mnie to absolutnie jednoznaczne. Uświadamia swemu niedoszłemu mordercy, że zbrodnia nic mu nie da.

‘Prawdopodobnie myślała, że Karol przekaze tę wiadomość siostrze. Ale on tego nie uczynił. Dlaczego? Myślę, że miał powód — czuł się winny. Wierzył, że to

przez niego sporządziła nowy testament. A dlaczego czuł się winny? Bo próbował zabić ciotkę czy tylko dlatego, że skradł trochę gotówki? I jedna, i druga przyczyna mogłaby wyjaśnić niechęć do podzielenia się tą informacją. Zatem nic nie powiedział, mając nadzieję, że ciotka zmięknie i zmieni zdanie.

Wydawało mi się, że dobrze odtworzyłem to, co czuła panna Arundell. Następnie postanowiłem sprawdzić, czy jej podejrzenia były słuszne.

Podobnie jak ona, ja również przekonałem się, że podejrzenia ograniczają się do wąskiego kręgu, konkretnie siedmiu osób. Karol i Teresa Arundellowie, doktor Tanios i jego żona, dwie służące i panna Lawson. Należało jeszcze wziąć pod uwagę ósmą osobę, doktora Donaldsona, który przyszedł tego wieczoru na obiad, ale o jego obecności dowiedziałem się później.

Tych siedem osób można zaliczyć do dwóch kategorii. Sześć z nich w mniejszym lub większym stopniu korzystało na śmierci panny Arundell. Gdyby zbrodnię popełnił ktoś z nich, wówczas motywem byłby najpewniej zwykły zysk materialny. Druga kategoria składała się z jednej osoby, panny Lawson. Ona nie odniosłaby korzyści ze śmierci chlebobawczyni, lecz skutek wypadku odniosła znaczną korzyść w późniejszym czasie! Co znaczyło, że jeśli to panna Lawson ukartowała ten tak zwany wypadek...

— Nic takiego nie zrobiłam! — przerwała panna Lawson. — To haniebne, mówić takie rzeczy!

— Cierpliwości, *mademoiselle*. Proszę łaskawie nie przerywać — powiedział Poirot.

— Muszę zaprotestować! — zachnęła się panna Lawson. — Uważam, że to haniebne, co pan mówi, po prostu haniebne!

Poirot nie zwracał na nią uwagi.

— Mówiłem, że jeśli panna Lawson ukartowała ten wypadek, musiała mieć zupełnie inny cel. To znaczy załatwiła sprawę tak, by panna Arundell podejrzewała własną rodzinę i by się od niej odsunęła. To było możliwe! Zacząłem szukać informacji potwierdzających lub przeczących tej hipotezie i odkryłem jeden ważny fakt. Gdyby panna Lawson pragnęła zrzucić podejrzenia na rodzinę panny Arundell, na pewno by ujawniła, że pies spędził noc poza domem. Tymczasem przeciwnie, panna Lawson robiła wszystko, aby panna Arundell się o tym nie dowiedziała. Dlatego, powiedziałem sobie, panna Lawson z pewnością jest niewinna.

— Mam nadzieję — rzuciła ostro panna Lawson.

— Następnie wziąłem pod rozwagę problem śmierci panny Arundell. Zazwyczaj po pierwszym usiłowaniu morderstwa następuje drugie. Wydało mi się znaczące, iż panna Arundell zmarła dwa tygodnie po wypadku. Rozpocząłem dochodzenie.

Doktor Grainger nie uważał, żeby było coś niezwykłego w śmierci jego pacjentki. To nieco osłabiło moją teorię. Jednak analizując wypadki ostatniego wieczoru przed atakiem choroby, odkryłem istotny fakt. Panna Izabela Tripp wspomniała świetlistą aureolę wokół głowy pani Arundell. Jej siostra to potwierdziła. Naturalnie, poniesione wyobrażenia mogły wymyślić tę historyjkę, ale odniosłem wrażenie, że coś musiało im ją zasugerować, że musiały mieć jakąś podstawę. Panna Lawson podzieliła się ze mną inną ciekawą informacją. Wspomniała, że z ust pani Arundell wychodziła świetlista wstęga, tworząca świetlistą mgiełkę nad jej głową.

Jak widać, pomimo różnic w opisach, fakty się zgadzają. Jeśli pominiemy całą tę otoczkę spirytystyczną, sprowadzają się do tego, że tego wieczoru panna Arundell miała fosforyzujący oddech.

Doktor Donaldson niespokojnie poruszył się w fotelu. Poirot skinął głową.

— Już pan rozumie. Nie ma aż tak wielu fosforyzujących środków. Pierwszy, który przyszedł mi do głowy, okazał się tym, którego szukałem. Przeczytam państwu krótki fragment z artykułu na temat zatrucia fosforem. „Jeszcze zanim wystąpią objawy chorobowe, oddech osoby cierpiącej na zatrucie fosforem może być fosforyzujący” Właśnie to widziały w ciemności panny Tripp i panna Lawson, fosforyzujący oddech panny Arundell, tę świetlistą aureolę. Ale wróćmy do artykułu. „Gdy wystąpią wszystkie objawy żółtaczki, organizm jest nie tylko zatruty fosforem, ale ponadto cierpi na wszelkie uboczne skutki zatrzymania wydzieliny żółciowej we krwi; co więcej, nie ma istotnych różnic między objawami zatrucia fosforem a niektórymi dolegliwościami wątroby, na przykład żółtym zanikiem wątroby”.

Widzą państwo, jak sprytnie zostało to obmyślane? Pani Arundell od lat cierpiała na dolegliwości wątrobowe. Objawy zatrucia fosforem wyglądałyby po prostu jak następny atak tej samej choroby. Nic nowego, nikogo by to nie zaskoczyło.

O, jak dobrze zostało to zaplanowane! Zagraniczne zapałki, może trutka na szkodniki? Nietrudno zdobyć fosfor, a już bardzo mała dawka jest śmiertelna. Dawka lecznicza wynosi od jednej setnej do

jednej trzydziestej grana.

*Voilà!* Sprawa staje się jasna, wprost oczywista! Naturalnie lekarz się nie zorientował, gdyż — jak się przekonałem — ma słaby węch. Nie wyczuł zapachu czosnku w oddechu — a to jeden z objawów zatrucia fosforem. Nie miał podejrzeń, ale dlaczego miał je mieć? Nie było żadnych podejrzanych okoliczności. A o tym, co mogłoby być wskazówką, nigdy by się nie dowiedział, a nawet gdyby się dowiedział, to i tak potraktowałby jako spirytystyczne bzdury.

Wnioski z zeznań panny Lawson i panien Tripp upewniły mnie, że zostało popełnione morderstwo. Pytanie, przez kogo? Wyeliminowałem służbę — nigdy by im nie przyszło do głowy popełnić zbrodni w ten sposób. Wyeliminowałem pannę Lawson, gdyż gdyby miała z nią coś wspólnego, nie paplałaby o świetlistej ektoplazmie. Wyeliminowałem również Karola Arundella, ponieważ widział testament i wiedział, że nic nie zyska na śmierci ciotki.

Została jego siostra Teresa, doktor Tanios, jego żona i doktor Donaldson, który — jak się dowiedziałem — w dniu wypadku na schodach był zaproszony na obiad.

Na tym etapie miałem bardzo mało materiału. Musiałem opierać się na psychologii, odkryć, jaki typ osobowości pasował do tych przestępstw. Obie zbrodnie były do siebie podobne. Były proste. Wymagały sprytu i praktycznych umiejętności, jak też pewnej wiedzy — ale nie dużej. Łatwo dotrzeć do informacji na temat zatrucia fosforem, a sam materiał również nietrudno dostać, szczególnie za granicą.

Najpierw wziąłem pod uwagę mężczyzn. Obydwaj są lekarzami, obydwaj są inteligentni. I jeden, i drugi mógłby zauważyć przydatność fosforu w tym konkretnym przypadku, ale pomysł przeciągnięcia nitki w poprzek schodów nie pasował do mężczyzny — tu wyczuwało się kobiecy umysł.

Na początku zająłem się Teresą Arundell. Jest odważna, bezwzględna i pozbawiona zbytnich skrupułów. Zawsze miała to, czego pragnęła, a teraz bardzo potrzebowała pieniędzy, zarówno dla siebie, jak i dla mężczyzny, którego kocha. Ponadto jej zachowanie wyraźnie wskazywało na to, że wie, iż ciotka została zamordowana.

Słyszałem ciekawą wymianę zdań pomiędzy nią a bratem, która nasunęła mi myśl, że obydwójce podejrzewają się wzajemnie o tę zbrodnię. Karol próbował zmusić ją do oświadczenia, że wiedziała o testamencie. Dlaczego? Bo gdyby wiedziała, nie można by jej podejrzewać o morderstwo. Natomiast ona najwyraźniej nie wierzyła stwierdzeniu Karola, że panna Arundell mu go pokazała! Uważała je za wyjątkowo niezręczny wybieg, mający na celu odwrócenie od siebie podejrzeń.

Pojawiła się jeszcze jedna ważna wskazówka. Karol wyraźnie nie chciał użyć słowa „arszenik”. Potem odkryłem, że wypytywał dokładnie ogrodnika o szkodliwość jakiegoś herbicydu. Jego intencje są całkiem jasne.

Karol Arundell niespokojnie poruszył się na krześle.

— Myślałem o tym — przyznał — ale... chyba nie mam dosyć odwagi.

Poirot skinął głową.

— Dokładnie. To nie pasuje do pana charakteru. Pańskie przestępstwa będą zawsze wypływały ze słabości. Kradzież, fałszerstwo — tak, to łatwe, ale nie morderstwo! Zabija człowieka, który może zostać opętany jedną myślą.

Poirot powrócił do wykładu.

— Doszedłem do wniosku, że Teresa Arundell miała wprawdzie wystarczająco dużo silnej woli, by wprowadzić taki zamysł w życie, ale trzeba było wziąć pod uwagę również inne fakty. Ta kobieta nigdy nie musiała sobie niczego odmawiać, żyła pełnią życia, była samolubna — a taka osoba nie zabija, chyba że w porywie gniewu. Tymczasem byłem pewien, że to ona odsypała truciznę z puszki.

Teresa odezwała się nagle:

— Powiem prawdę. Myślałam o tym. Rzeczywiście zabrałam trochę herbicydu z puszki w Littlegreen House. Ale nie mogłam tego zrobić! Zbyt lubię żyć... nie mogłabym nikomu tego zrobić... Może jestem zepsuta i samolubna, ale do pewnych rzeczy nie jestem zdolna. Nie potrafiłabym zabić człowieka! Poirot kiwnął głową.

— Prawda. I nie jest pani aż taka zła, jak się pani przedstawia, młoda damo. Jest pani tylko młoda... i lubi brawurę.

Poirot ciągnął dalej:

— Pozostała pani Tanios. Jak tylko ją zobaczyłem, od razu wiedziałem, że się boi. Ona zauważyła, że się zdradziła, i natychmiast postanowiła obrócić to na swoją korzyść. Przekonująco zagrała kobietę, która boi się o męża. Nieco później troszkę zmieniła taktykę. Zrobiła to bardzo sprytnie — ale mnie nie zwiodła. Kobieta może albo bać się o męża, albo bać się męża, ale nie jedno, i drugie naraz. Pani Tanios zdecydowała się na tę drugą rolę i zagrała ją bardzo przekonująco — aż do najdrobniejszego szczegółu, na przykład tego wyjścia do holu niby po to, żeby mi coś powiedzieć. Kiedy zjawił się mąż, udała, że nie może przed nim mówić.

Od razu zdałem sobie sprawę, że ona nie boi się męża, tylko go nie lubi. I wyczułem, że znalazłem charakter, jakiego szukałem. To nie jest kobieta, która folguje swoim zachciankom, lecz osoba nie spełniona. Nieładna dziewczyna, prowadząca nudne życie, niezdolna przyciągnąć uwagę mężczyzny, którzy się jej podobają, i w końcu, aby nie zostać starą panną, wychodząca za mąż za człowieka, na którym jej nie zależy. Wyczułem w niej narastające niezadowolenie z życia w Smyrnie, pozbawionego wszystkiego, na czym jej zależało. Potem przychodzą dzieci i namiętna miłość do nich.

Mąż ją kochał, ale ona w głębi duszy coraz bardziej go nie lubiła. Spekulował jej pieniędzmi i wszystko stracił — to następny zarzut przeciwko niemu.

Tylko jedna nadzieja oświeślała jej monotonne życie: oczekiwanie na śmierć ciotki Emilii. Śmierć ciotki oznaczała dla niej pieniądze, niezależność, środki na kształcenie dzieci — proszę pamiętać, że przykładła uwagę do wykształcenia, była córką profesora!



Zbrodnię mogła zaplanować, a przynajmniej rozważyć, przed przyjazdem do Anglii. Znała nieco chemię, gdyż pomagała ojcu w laboratorium. Wiedziała, na co cierpi panna Arundell, i zdawała sobie sprawę, że do wypełnienia jej planów najlepiej nada się fosfor.

Gdy zjawiała się w Littlegreen House, przyszła jej na myśl prostsza metoda. Psia piłka, nić nad górnym schodkiem. Prosty pomysł.

Nie udało się. Nie sędzę, aby zdawała sobie sprawę, że panna Arundell zna prawdę. W końcu pani Arundell podejrzewała wyłącznie Karola. Wątpię, czy zmienił się jej stosunek do Belli. A tymczasem ta zamknięta w sobie, nieszczęśliwa i ambitna kobieta spokojnie i z determinacją przystąpiła do wprowadzania w życie pierwotnego planu. Znalazła doskonałą metodę podania trucizny: w kapsułkach, które pani Arundell zażywała po posiłku. Otworzenie kapsułki, wsypanie do środka fosforu i ponowne zamknięcie było dziecinnie proste.

Nafaszerowaną kapsułkę włożyła z powrotem do pudełeczka. Wcześniej czy później panna Arundell na pewno ją połknie. Mało prawdopodobne, aby ktoś podejrzewał otrucie. A nawet gdyby tak było, ona będzie daleko od Market Basing.

Wolała jednak się zabezpieczyć. Kupiła w aptece podwójną dawkę chloralu, podrabiając na recepcie podpis męża. Nie wątpię, że zaopatrzyła się w chloral na wypadek, gdyby wszystko się wydało.

Jak już mówiłem, od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczyłem, byłem przekonany, że pani Tanios jest osobą, której szukam, ale nie miałem żadnego dowodu. Musiałem działać bardzo ostrożnie. Obawiałem się, że gdyby pani Tanios zorientowała się, że ją podejrzewam, mogłaby popełnić następną zbrodnię. Co więcej, wydawało mi się, że już ją zaplanowała. Teraz jedynym celem w jej życiu było uwolnić się od męża.

Pierwotnie obmyślane morderstwo przyniosło gorzkie rozczarowanie. Całe pieniądze przypadły pannie Lawson! To był cios, ale ona od razu sprytnie przystąpiła do działania. Zaczęła drążyć sumienie panny Lawson, które już i tak nie było spokojne.

Słowa Poirota przerwał nagły szloch. Panna Lawson płacząc w chusteczkę, zaczęła:

— To było straszne! Jestem taka niegodziwa! Bardzo niegodziwa! Widzi pan, zaciekawiał mnie testament, to znaczy zaczęłam się zastanawiać, po co panna Arundell zrobiła nowy. I kiedyś, kiedy spała, udało mi się otworzyć szufladę biurka. Okazało się, że zostawiła wszystko mnie! Naturalnie, nigdy do głowy mi nie przyszło, że była taka bogata. Myślałam, że zostawi może kilka tysięcy... to wszystko. I pomyślałam, dlaczego nie? Krewni nic o nią nie dbają! Kiedy była już bardzo chora, poprosiła o testament. Byłam pewna, że zechce go zniszczyć... Właśnie wtedy zachowałam się niegodziwie. Powiedziałam jej, że odesłała go do pana Purvisa. Biedactwo, była taka zapominalska. Nigdy nie pamiętała, co robiła. Uwierzyła mi. Powiedziała, że muszę napisać do niego list z prośbą, by go przyniósł z powrotem, a ja przyrzekłam, że to zrobię.

Och, a później jej się pogorszyło i już o niczym nie myślała. A potem umarła. Kiedy odczytano testament i okazało się, że to tyle pieniędzy, poczułam się okropnie. Trzysta siedemdziesiąt pięć

tyśięcy funtów! Gdybym wiedziała, że to aż tyle, to bym tego nie zrobiła. Poczułam się, jakbym zdefraudowała te pieniądze! I nie wiedziałam, co robić. Tego dnia, gdy przyszła do mnie Bella, powiedziałam jej, że podzielę się z nią po połowie. Jestem pewna, że od razu byłoby mi lepiej.

— Widzicie? — skomentował Poirot. — Pani Tanios była na drodze do osiągnięcia celu. Dlatego nie chciała podwazać testamentu. Miała własne plany w tym względzie i nie mogła sobie pozwolić na robienie przeciwniczki z panny Lawson. Naturalnie udawała, że zgadza się z życzeniami męża, ale wyraźnie dała do zrozumienia, jakie są jej prawdziwe odczucia.

W tym czasie miała dwa cele: chciała uwolnić siebie i dzieci od doktora Taniosa i otrzymać swą część majątku. Gdyby jej się udało, mogłaby razem z dziećmi żyć w Anglii na wysokiej stopie.

Z upływem czasu nie potrafiła już ukrywać niechęci do męża. Prawdę mówiąc, nawet nie próbowała. A on, biedny człowiek, poważnie się martwił. Jej czyny musiały być dla niego zupełnie niezrozumiałe. Tymczasem były bardzo logiczne. Udawała kobietę żyjącą w ciągłym strachu. Gdybym nabrał podejrzeń — a była przekonana, że tak właśnie jest — chciała, bym uwierzył, że to jej mąż popełnił morderstwo. I w każdej chwili mogło nastąpić drugie morderstwo, które — jestem przekonany — miała już obmyślane. Wiedziałem, że ma śmiertelną dawkę chloralu. Bałem się, że zainscenizuje jego samobójstwo i przyznanie się do winy.

I ciągle nie miałem dowodów! Właśnie wtedy, kiedy już popadłem w zwątpienie, natknąłem się na coś! Panna Lawson powiedziała, że widziała, jak Teresa Arundell klęczała na schodach w nocy w Poniedziałek Wielkanocny. Wkrótce odkryłem, że panna Lawson nie mogła widzieć wyraźnie Teresy Arundell, to znaczy nie na tyle wyraźnie, by rozpoznać jej rysy. Mimo to była pewna, że rozpoznała Teresę. Pod naciskiem zdradziła, że zauważyła broszkę z inicjałami Teresy: TA.

Na moją prośbę panna Teresa Arundell pokazała mi tę broszkę. Jednocześnie zaprzeczyła temu, że we wspomnianym czasie była na schodach. Najpierw pomyślałem, że być może ktoś pożyczył sobie jej broszkę, ale kiedy spojrzałem na nią w lustrze, nagle doznałem olśnienia. Budząc się, panna Lawson widziała niewyraźną postać z jasnymi inicjałami TA. Wyciągnęła wniosek, że to była Teresa.

Ale jeśli widziała w lustrze inicjały TA, to naprawdę musiały być to litery AT, ponieważ obraz w lustrze jest odwrócony.

Wszystko było już jasne! Matka pani Tanios nazywała się Arabella Arundell. Bella jest zdrobnieniem. AT znaczy Arabella Tanios. W tym, że pani Tanios ma taką samą broszkę jak Teresa, nie było nic dziwnego. Na Boże Narodzenie broszki były oryginalne, ale do wiosny stały się bardzo modne, a zauważyłem, że pani Tanios, na ile pozwalały jej skromne środki, naśladowała ubrania i kapelusze kuzynki.

Jeśli o mnie chodzi, sprawa była rozwiązana. Ale co miałem zrobić? Postarać się o wniosek ekshumacji z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych? Dałoby się to zrobić. Może mógłbym udowodnić, że panna Arundell została otruta fosforem, choć nie było to pewne. Ciało zostało pochowane dwa miesiące temu. Słyszałem, że w kilku przypadkach otrucia fosforem nic nie znaleziono i wyniki sekcji były niejednoznaczne. Ale nawet gdyby dało się udowodnić otrucie, czy mógłbym wykazać, że pani

Tanios kupowała lub posiadała fosfor? Bardzo wątpię, ponieważ zapewne zaopatrzyła się w niego za granicą.

W tym właśnie momencie pani Tanios zrobiła zdecydowany krok. Opuściła męża, licząc na litość panny Lawson, oraz oskarżyła go o morderstwo.

Byłem przekonany, że jeśli temu nie zapobiegnę, pan Tanios padnie następną ofiarą. Pod pretekstem zapewnienia jej bezpieczeństwa podjąłem kroki, by ich od siebie oddzielić. Nie bardzo mogła mi się sprzeciwić. Tymczasem naprawdę chodziło mi o jego bezpieczeństwo! A potem... potem... — umilkł.

Po kilku minutach, blady na twarzy, podjął na nowo:

— Ale to było rozwiązanie tymczasowe. Musiałem zrobić coś, aby morderca nie mógł więcej zabić. Musiałem ochronić niewinnego. Napisałem rekonstrukcję zbrodni i wręczyłem ją pani Tanios.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Och, Boże, to dlatego się zabiła — wykrzyknął doktor Tanios.

— Czy tak nie jest lepiej? — spytał łagodnie Poirot. — Ona sama uważała to za najlepsze wyjście. Są przecież dzieci.

Doktor Tanios ukrył twarz w dłoniach.

Poirot podszedł i położył mu rękę na ramieniu.

— Tak musiało być. Proszę mi wierzyć, że to było konieczne. Wkrótce zginęłyby nowe osoby. Najpierw pan, potem możliwe że panna Lawson. I tak dalej.

— Chciała, żebym wziął mieszankę na sen — powiedział łamiącym się głosem doktor Tanios. — Ale w jej twarzy zobaczyłem coś... wylałem ją. To wtedy zacząłem podejrzewać chorobę umysłową...

— Może tak pan o tym myśleć. Częściowo to prawda. Choć nie w medycznym rozumieniu tego słowa. Ona wiedziała, co robi...

— Była za dobra dla mnie... — powiedział żałośnie doktor Tanios.

Dziwne epitafium dla morderczyni!

# Rozdział trzydziesty

## Ostatnie słowo

Niewiele zostało do dodania.

Wkrótce po zebraniu w Littlegreen House Teresa poślubiła doktora. Znam ich dość dobrze i nauczyłem się cenić Donaldsona — jego jasność widzenia, siłę charakteru i głęboką ludzkość. Dodam, że jego zachowanie jest nadal tak suche i kostyczne jak poprzednio. Jego żona naśmiewa się z tego w żywe oczy. Teresa jest niebywale szczęśliwa i całkowicie zajęta karierą męża, który zdobywa sławę jako specjalista w dziedzinie gruczołów bezprzewodowych.

Panna Lawson, po ostrym ataku wyrzutów sumienia, z trudem dała sobie wyperswadować oddanie wszystkiego, aż do ostatniego pensa. Pan Purvis dokonał satysfakcjonującego wszystkich zainteresowanych podziału majątku panny Arundell pomiędzy panną Lawson, Teresę i Karola Arundellów oraz dwoje dzieci doktora Taniosa.

Karol w niecały rok przepuścił swoje pieniądze i teraz, jak mi się wydaje, próbuje szczęścia w Kolumbii Brytyjskiej.

Przytoczmy jeszcze dwa zdarzenia.

— Spryciarz z pana, co? — zaczęła Poirota panna Peabody, gdy któregoś razu wyszliśmy za furtkę Littlegreen House. — Wszystko zatuszowane! Nie będzie ekshumacji. Przyzwoitość zachowana.

— Nie ma wątpliwości, że panna Arundell zmarła na żółty zanik wątroby — odparł grzecznie Poirot.

— To bardzo dobrze — odparła. — A słyszałam, że Bella Tanios przedawkowała środek nasenny?

— Tak, to smutne.

— Nieszczęśliwa kobieta, zawsze pragnęła tego, czego nie miała. Tacy ludzie czasami szwankują na umyśle. Miałam kiedyś dziewczynę do pomocy w kuchni. To samo. Brzydka była, martwiła się tym. Zaczęła pisać anonimy. Tak, tak. Ale i tak nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

— Taką mam nadzieję, *madame*.

— No cóż — rzekła panna Peabody — przyznam, że ładnie pan zatuszował tę sprawę. Naprawdę ładnie.

Ruszyła w swoją drogę.

Za plecami usłyszałem żalosne „hau”.

Odwrociłem się i otworzyłem furtkę.

— Chodź, staruszk — powiedziałem.

Bob, z piłką w zębach, wyskoczył na chodnik. — Nie możesz iść z tym na spacer. Bob westchnął i niechętnie zostawił piłkę w ogrodzie. Spojrzał na nią niespokojnie i wrócił do mnie. Popatrzył na mnie, jakby mówił:

— Jeśli tak pan każe, to pewnie tak trzeba. Westchnąłem.

— Daję słowo, Poirot, dobrze jest znów mieć psa.

— Łup wojenny — odparł Poirot. — Ale pozwól sobie przypomnieć, przyjacielu, że to mnie panna Lawson podarowała psa, nie tobie.

— Może i tak — rzekłem. — Ale ty nie masz właściwego podejścia do psa. Nie rozumiesz psiej psychiki! Natomiast ja i Bob świetnie się rozumiemy, Prawda?

— Hau! — potaknął energicznie Bob.

---

\* *fr.* Nie przerywaj.

\* *fr.* Nigdy w życiu.

\* *fr.* To ciekawe, prawda?

\* *fr.* Stara sztuczka.

\* *fr.* Dzielny pies.

\* *fr.* Tutaj: Co takiego?

\* *fr.* Dla nas dobry befsztyk

\* *fr.* Przeciwnie

\* Tytuł nadawany wybitnym adwokatom

\* *fr.* Nie, to nie to.

\* *fr.* To wspaniale.

\* *fr.* Gorący bulion.

\* *fr.* To zdumiewające!

\* *fr.* Pospieszmy się.

\* *fr.* Ależ skąd, ależ skąd

\* Święty Leonard był patronem więźniów.

\* *fr.* To śmieszne!